

EPEA

ALMANACH

bież. W



KSIĄŻNICA PODLASKA IM. ŁUKASZA GÓRNICIEGO
ZWIĄZEK LITERATÓW POLSKICH
ODDZIAŁ W BIAŁYMSTOKU
BIAŁYSTOK 2002

Redakcja:
Jan Leończuk
Wiesław Szymański

Korekta:
Teresa Jabłońska

W książce wykorzystano reprodukcje prac
Edwarda Jurszewicza

TOM I

ISBN 83-88248-67-7



821.162.1-82

Skład i druk:
Wydawnictwo PRYMAT
15-879 Białystok, ul. Św. Rocha 10A, lok. 108
tel. (85) 744 63 49, 0602 766 304

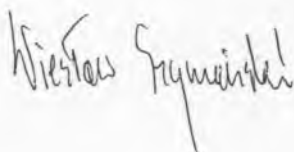
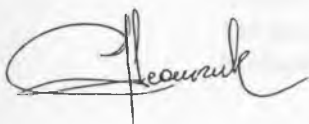
KP Białystok-EO-2002/1756/11

Od Redakcji

Oddajemy w Twoje ręce, drogi Czytelniku, pierwszy numer almanachu EPEA. Znajdziesz w nim wiersze dobre i przyzwoite, prozę znakomitą i dobrą, recenzje, esej; nawet bajki, aforyzmy i fraszki.

Jeśli w czasach rozchwiania podstawowych wartości moralnych, rozpadu systemów totalitarnych i nie tylko; zaniku najbardziej ludzkich odruchów – jeśli w tych czasach słowo – nie koniecznie poetyckie – cokolwiek jeszcze znaczy poza medialnym newsem – zapraszamy Ciebie, drogi Czytelniku, byś pochylił się nad tym słowem. W wierszu, w opowiadaniu, w zwięzłości aforyzmu...

Słowo STĄD, bez kompleksów i podziałów, bez czołobitności, pokory pełne ale i odkrywające swoją siłą, zauroczeń, zapatrzeń, zamyśleń. Słowo – epea, wyrosłe na północno-wschodnim skrawku Rzeczypospolitej...



JERZY BINKOWSKI

Dom na skroni

Widowisko oklaskiwał
z coraz mniejszą mocą

Jego uwagę zatrzymała
kropla w kąciku oka

Łza?
deszcz?

Pomyślał:
Krew

Krew
to jednak nie była

W kąciku oka
z błota
srebrne jaskółki
budowały dom

* * *

Jeżeli w oczodołach załęgły się myszy
to znaczy że oczy były popielate

Jeżeli wyrosły chabry
to on był chrobry o oczach modrych

Jeżeli oczodoły świeciły pustką
to znaczy że tamtędy przechodził
anioł gorejący

On

Przeglądał w mętnej wodzie
cienie zaplątane w wodorosty

Wydobywał z dna jęki
i zatopione okręty

w dzban gliniany składał

Dzwony ciężkie od wykrzykników

1.06.2001. Gdynia-Białystok

* * *

Jak liść
opadłeś z krzyża

Jesteś ciszą
w ołtarzu

Milczymy

MIECZYŚLAW CZAJKOWSKI

*** * ***

Dokąd płyną te czarne chmury
Zapamiętane wymyślone
Przeze mnie
Dokąd płynę ja - człowiek
Początku wieku
Chciałbym zatrzymać
Swoją czas
Przesiać go raz jeszcze
Jak złoty piasek
Oddzielić
Od mułu rzeki

*** * ***

Potykam się o wystające
Kamienie
Szarość wypełniam barwami
Wspomnień

Ich pamięć jest częścią
Trwania
Ich czas - miejscem
W historii

Jak odcisk buta
Tkwię jak stróż nocny
W zamkniętej bramie
Budzi mnie pobrzękiwanie
Kluczy

* * *

Szukam siebie jak denara
Na dnie zatopionego
Statku
W Mare Nostrum

Mój krzyk jest gestem
Zamkniętych powiek
Chcę przyjąć siebie
W zapomnianą
Jasność poranka

Mój duch wierzga jak
Niesforne zwierzę
Spoglądam na niego chłodno
Okiem zranionego lwa

On śmieje mi się w twarz
I gestem Rejtana
Rozrywa na piersiach
szaty i woła: -
Mane - Tekel - Fares!

* * *

Zamknij furtkę skrzypiącą
I drzwi opuszczonego domu
Niech chrzęst chropawy

Nie przywołuje żałobnej pieśni
Chcę usłyszeć melodię północy
Z wieży starego
Ratusza

Spotkają się wtedy nasze twarze
W wodzie czarnej pod mostem
Ze złamaną barierą
I uśmiechnie się do nas słońce
I las
Cień rybitwy przetnie
Nurt rzeki

Daugavpils, 1998 r.

* * *

Leniwa rzeka nad łąkami
Pies bawiący się piłką
Na ganku opuszczonego
Domu
Niedopita kawa w dzbanku

Zmurszała ławka pod spróchniałym
Krzyżem
I twarz dziewczyny
O oczach
Jak migdały

Jej cień przemknął chyłkiem
I skrył się za grzywą
Konia

Pamięć jak pieczęć zostawia
Swoją ślad
W martwym krajobrazie

ROMAN CZEPE

* * *

słońce zamyka swój dziennik
po zmierzchu przekłada stronę
dyskretnie i cicho
cicho - i cierpliwie
- i tak przez cały rok
nieco może nawet monotonnie
by ostatniej nocy nagle
obrzygać po wypiciu kałuży szampana

wołanie idzie górą
woła po imieniu
karmi się moim cieniem i ciałem
co się na ziemi spotkały
nie wiedząc dlaczego

wydaje się że trzeba zadać głupie pytanie
aby nie okazać wzruszenia
gdy podejrzewa się że nic
nic nie dzieje się przypadkowo
choć nikt nie wie jakie to ma znaczenie

zatrzymać się
zdjąć buty i kapelusz
odczuć przez chwilę zawrót ziemi
wokół osłupiałej głowy światowida

dzień kończy pisać zdanie
chowa biżuterię i złotą monetę
na jutrzejszy kiermasz zgorszenia

noc noc noc
nie tak to sobie odczytałem

* * *

ta ziemia rodzi ciernie i osty
wiedzieliśmy że tak będzie - moja ukochana
ale czyż nie mieliśmy
trwać - z nadzieją i wbrew nadziei
dzieląc radość
i pijąc łzy

pięć srok wyleciało na drogę
sąsiad od dawna sucho kaszle za ścianą
słowa pozamykały usta
zbyt wiele już wiemy
by cokolwiek mieć do powiedzenia

natarczywość godzin daje znać o sobie

powiem tylko że nigdy
nigdy nie zapomnę że byłaś ze mną
w czas
o którym chcielibyśmy zapomnieć
dopisując słowa do raportu
z oblężenia

miła moja ja w szarości
ty w błękicie
ziemia wciąż rodzi cierń i oset
a ja patrzę z podziwem
i śmieję się jak tropisz
nasze pierwsze siwe włosy

zauroczony jak wtedy
pamiętasz - bieглиśmy pierwszy raz
bramą tęczy
którą pozwoliłaś dedykować sobie
gdy ukradłem ją niebu

TADEUSZ DAWIDEJT

Cztery stany materii

widziałem zatrzymany deszcz
na leśnej ścieżce
pośród nawarstwionych igieł i piasku
zachowały się
odciski opadłych kropel
i wyglądały jak zaschłe

słuchałem wiatru wytrąconego z wiania
i podobnego już bardziej
do pisku lelka i przelotu nietoperza

przeczuwałem krajobraz
ale nie poprzez łabędzie szyje
czy przepływające fale zmierzchów
na które już niejednego próbowano nabrać
a także owe
liście przypominające chude ryby
ryby zakręcone w kształt liści
księżyc napuszczony jak rasowy puszczyk
las w nitkę ściągnięty
i każdy inny szczegół
nie znaczą więcej niż by można

byłem w swoim sosie
ale w jakże niewygodnym wyborze

Coś

coś się wydarzyło
ale nie wiem
nawet nie dlatego
że nie pamiętam
i nie dosłyszałem
przeszło mimo uszu

coś obok jest
ale nie dla mnie
nie mam na to wpływu
wzrok może zawieść
przecucie może opuścić
pomyłę się w osądach

coś w tym będzie

Domowieję

weź na przebudzenie
doradzał mi domowy lekarz
ale nie pomył
z proszkiem na sen
albo na przeczyszczenie
koniecznie na przebudzenie
bo domowieje nam wszystko
i nie tylko lekarze
są domowi
ale i kina biblioteki sztuka
stamtąd też wieje domem
jak wiatrem przemian

JÓZEFA DROZDOWSKA

Konie pływające się w Biebrzy

Irence i Wojtkowi

Widziałam je kąpiące się w rzece
całym stadem
Nie umiałam dostrzec
gdzie są fale rzeki a gdzie ich kare grzywy
Gdzie gwiazdy tylko co weszły nad Jagłowem
a gdzie iskry kopyt
pędzących bagiennym brzegiem ku wodzie
gdzie końskie kłęby a gdzie wiry rzeczne
nie poddające się jej nurtowi
Wiatr zamilkł na ten moment
stada gęsi otuliły zakola
na podobieństwo anielskich skrzydeł
Było ich kilkanaście
a mnie się zdawało że widzę ich tysiące
kare gniade i deresze
W chrapach ich grało
jak gdyby ktoś harfę i lutnię obudził
nagłym klaśnięciem w dłonie
Strzechy stodół szczytami przeglądające się
w wodzie łowiły ich złotopłame oczy
i nanizując na siebie
przeplatały promieniem księżyca
A one nic tylko co jakiś czas
rżały za tym blaskiem bledszym niżli marzenie
i parszając polewały się nawzajem wodą
A gdy ocierając się o siebie

wychodziły z niej wstrząsając grzywami
zmiotły z nieba bledniejące coraz bardziej
nad Jagłowem gwiazdy
I zdawało mi się wtedy
że zdartej chusty nocy
nikt już w tym miejscu
nie zawiąże

Stogi na łąkach

Stasi Aleksandrowicz

Jesień zarumieniła łąki
turzyce brązowieją
jakby na zawołanie
Cała ich słodycz
złożona została w stogach
jak gdyby tylko po to
by mogły się na nich
wesprzeć deszczowe chmury
Powracające wieczorami
z pastwisk krowy
wszystkie dzienne sprawy
niechętnie wydzwaniają łańcuchami
- może już jutro poproszy
śniegiem i nie wygonią
ich nad rzekę
Stogom na łąkach
towarzyszyć wnet będą
jedynie bezlistne brzeziniaki
Biebrzański świat
odkryje przed Niebem
swą nagość

HENRYK GAŁA

Stropy jasności

Widziałeś, wszyscy widzieli
tę wieżę babel.

Jak z piasku na plaży, w porannym słońcu,
jak ulepione z wyschłego błota
sypały się do środka jej doniebane stropy,
do samego środka przerażenia.

Chwytając się, tonącymi w ogniu palcami,
brzytwy podejrzenia, że to film jeszcze jeden,
nie do spełnienia fikcja, zaczynałeś jednak
uciekać od ekranu.

Ja do dziś uciekam.

Tak samo, jak od sześćdziesięciu lat
kryję się w sobie przed dźwiękiem syreny,
zbiegam do najbliższej piwnicy
kiedy pulsują w niebie dudniące motory.

Widzieliśmy. Wtedy, jedenastego
jak Hieronim Bosch, w kilka sekund, domalował
naszych strąconych do swojego piekła.

Widziałem,
i wiem, że oni widzieli.

I co z tego, że nagranie można cofać,
że w replayu można uciąć obraz
na chwilę
zanim nadleciał pierwszy boeing
piąty koń apokalipsy

Że

Nie było wojny
a my wciąż odbudowujemy.
Nie było bitwy
a szukamy trupów,
zbieramy cudze pamiątki.

To z tego bierze się głos,
co budzi nas czasem
i domaga się, byśmy nie wierzyli
faktom.

Głos, że sobą stroimy tylko
kogoś innego.
Że nasze było gdzie indziej
i przepadło porzucone.
Że zaspaliśmy
i święto się skończyło.



Dobry wieczór

Stał pomiędzy dwoma domami,
w przesmyku wieczornego powiewu
pojazdów z kanału ulicy,
w prześwicie resztek dziennego światła,
wysoko, na jednej ze ścian.

Widziałem tego człowieka
krócej niż trwa sprawdzenie sygnału
na przejściu dla pieszych
lecz jestem pewien, że - lekko pochylony -
stukął palcem w litą skałę ściany
i nasłuchiwał stamtąd - Kto tam?
albo - Proszę!
aby móc odpowiedzieć - Dobry wieczór.

KS. TADEUSZ GOLECKI

Nie było wojny
a my wciąż odbudowujemy.
Nie było bity
a szliśmy trupów
szpiegami cudze państwa.

Niepotrzebna poezja na Skałce,
zbędne słowa ranią tylko ciszę.
W cieniu grobów uklęknąć wystarczy
by na nowo wieszczów usłyszeć.

Powiew śmierci w podziemiach kościoła;
śpią zmęczeni jak Jakub po walce.
„Jedźmy, nikt nie woła.”
Niepotrzebna poezja na Skałce.

Dobry wieczór

Poeci chodzą Droga Mleczna
i z gwiazd tkają dywany
na dni i nocy osnowie;
budzą się i zasypiają
dnem rozdygotanym,
krótką myślą zapisaną słowem
jak płatki śniegu wiosennego
na dłoniach naszych ciepłych,
na wargach...

Poeci trwają wierszem
wczoraj i dzisiaj,
na zawsze.

* * *

Nie krzyw się na miłość
jak na kilo cytryn,
nawet niedojrzała
może wnet urośnie.
Kukułka – podrzutka
a kuka o szczęściu,
słowiki zaś śpiewu
uczą się od wiatru.
Zachód słońca to jeszcze
nie pełnią księżyca,
a strumyk, choć rwący,
nie staje się rzeką.
Popatrz jak kasztany
otwierają serca,
jeżowate łuski
są tylko na pokaz.
Nie mów, że to wszystko
poznane, już było.
Rozum za rozumny
aby pojąć miłość.

HALINA KABAC

* * *

Pamięci Małgosi

Drobna ręka, na której
Każdy dołek wycalowany,
Każdy skóry załamek.

Czoła gładka równina,
Gdzie myśli załążki
Ból rodził i zabijał.

Kąciki ust znużone,
Gdzie zaniechane uśmiechy
I słów przymarłych tysiące.

Wszystko się stało kształtem ostatecznym.

Kuba

Wiktorowi

Rośnie w oknie wilczomlecze,
Gdzie tkwił twój pysk kosmaty.
Pan – bez ciebie – podobny jest
Do innych panów, tylko bardziej samotny.
Żaden brzdąc nie pyta:
Gdzie ta Kuba.

Twoje ciche ucieczki nikogo nie ranią.
Nikt nie walczy o puste miejsce na tapczanie.
Tylko kury i muchy stały się bezczelne,
Odkąd nie słyhać skomlenia za zamkniętymi drzwiami.

Włóczykiju, włóczęgo, włóczyduszo czarna,
Co robisz na tych łąkach,
Na których nas nie ma?

Zły sen

TAM
Są podziemne perony
Bez pociągów
Zimno i smród
Ostre światło
Wywleka torby po chipsach
I pety
TAM
Kiwam się całą wieczność
Z tęsknoty
Za wiatrem
Wędrowną
Przestrzenią...



KS. RYSZARD KOTKOWICZ

Światło

*„O, zaiste, błogosławiona noc,
która była godna poznać czas i godzinę
Zmartwychwstania...”*

Nocy rozjaśniona świecą paschalną
Nocy zmagania życia ze śmiercią
uświęcona imieniem Jezusa
mocą Ducha
obecnością Ojca
- bądź pozdrowiona

Nocy - darze życia
dla spalonego grzechem wnętrza człowieka
bądź pozdrowiona

Nocy drżącej ziemi
i złamanej pieczęci
świadku zwiniętych płócien
i odwalonego kamienia
bądź pozdrowiona

Wielbię cię
świadku Zmartwychwstałego

Zapalasz nadzieję
Nocy

Wielkanoc, 97

Zasłony

Ja
nienarodzony człowiek
okryłem się zasłoną
intymności
zdarł ją obiektyw
producenta pornografii

osłonę wód
w łonie matki
rozdarły
narzędzia chirurgiczne

zaciągnięto nade mną
zasłonę śmierci

Opłatek A.D. MCMLXXXI

niebo obrusem - bielą śniegów
od Tatr do Bałtyku
przykryło stół w ojczyzny domu

na obrusie opłatek
chleb pojednania

trzynastego na śnieżnej bieli
gąsienicami czołgów
stratowane ulice miast
szesnastego na bieli śnieżystej
węglowy pył
strząśnięty z rozerwanych łańcuchów
stąpionych kilofów
kamieni z hałd
na bieli śnieżnej

pył spod zrywanych tablic
wyważanych drzwi

wśród bieli i nocy
kręgiem solidarnym
kotwicami nadziei złączone
stoją Krzyże Gdańskie

przez noc i biel
świadkowie Czerwca 56
idą
liną związane Krzyże Poznańskie

na bieli śniegu
rozzuceniem ramion
leżą
Krzyże Śląska
bracia zabici przez braci
górnicy kopalni Wujek
purpurą krwi pieczętują dokument
odnowy domu ojczyzny

na białym obrusie opłatek
czeka na dłonie dzielące

gdzie są twoje dłonie

24 XII 81

AGNIESZKA KROTKE

* * *

Dzike trawy na wykrotach
Powiedziały mi,
Że dzień będzie cieplejszy
A noc gorąca od marzeń.

Drobne fale na rzece
Powiedziały mi
Że chłód ziemi
Odpęzł po cichu za drzewa.

Jestem tu znowu
I kiedy usłyszę
Krzyk nocnych ptaków
I kroki wśród traw
Wiem,
Że znalazłam się bliżej...

(Maj 2000 r.)

* * *

Elizje Desperat

Ciszej serce...
To tylko ptak
Podniósł głowę
I popatrzył w niebo...
Ciszej...
To tylko gwiazda spadła mimochodem
A światło rozlało się bielą

Jak strumień mleka na schodach...
Posłuchaj;
Szum wiatru,
Drzewa jak psy
Wyją do księżycy
A życie to nic...
To taka próba
Przed następnym byciem...

(Wrzesień 2000 r.)

* * *

Jonasz! Jonasz!
W brzuchu wielkiej ryby –
- w drewnianym domu na przedmieściach miasta
Dzielnica śliska
Pokryta mułem i łuską
Nad twarzą Jonasza gadające chmury
Zupełnie bez Aniołów

„Joni bez dłoni”
W brzuchu śliskiej dzielnicy
Rozśmiesza los do rozpuku
I wrzeszczy do zegarka
Że lecą samoloty
Że świat już dawno spłonął
Że nie ma co ratować...

Jonasz durnowaty
Jest od dawna sam
Ma łydki całe w strupach
I tylko jedną rękę
Łzy drażą mu policzki
Spadają na ulice
Wsiakają w piach

(Lipiec 2001 r.)

ELŻBIETA MICHALSKA

PROWINCJONAŁKI (z pretensją do haiku)

*

Gawron przed stodołą
Naśladuje gospodarza
Słoma w dziobie - ależ zarost!

*

Znasz nazwę tej małej
Planety
Leżącej w gnieździe pliszki?

*

Zakopałem pióro
Do ziemi.
Wyrośnie z niego ptak?

*

Na zdjęciu różowe
I gładki celofan
Tych lilii już nie ma.

*

Dwa tygodnie
mówił białym wierszem
Krzak jaśminu.

*

Litery Szekspira czarne
Moje litery
Słone i gorące.

*

Świeco pozwól ćmie
Choć przez chwilę,
Być szczęśliwą.

*

Piękno ucieknie,
gdy zdejmiesz pajęczynę
Ze starej lampy.

*

Pokorny król
Kaczeniec
Otoczony błotem.

*

Pomidory w torbie
Jak opięte koszulą piersi
Wracam z przepustki.

*

Mysz zakochała się
W Lodowym Soplu.
Mróz nie zawsze niesie śmierć.

*

Krawcowa wszywa
Serca z pluszu tym co już
Się odkochały.

*

Pusta ulica.
Kioskarka czyta książki
O miłości.

*

W jednej dłoni sandały
W drugiej torebka
Skąd ona przychodzi?

*

Rozcięta gruszka
Wcale nie przypomina
Tamtej kobiety.

*

W kościele
Przyjaciółka przyjaciółce
Poprawia ramiączko biustonosza.

*

Za podszewkę
Pałta kanonika
Włazła mysz.

*

Święty Antoni
Jakiż z niego
Śliczny kawałek gliny

IRENA MISZTAL

To „Coś”

Artyzmu nie można się nauczyć.
Talent można tylko doszlifować,
dokręcić śrubki i ubrać kwiatami.
Artystą trzeba się urodzić!
Trzeba mieć zakodowane słowa,
barwy, obrazy, dźwięki
w sobie, w tajnikach swej jaźni!
Może - w piersi, w sercu czy mózgu?
Nie wiem, w którym z organów...
Ale to „Coś” jest,
to istnieje,
żyje w tobie
i zabić się nie da!
Możesz walczyć, borykać się z tym,
pragnąc wyrwać to „Coś” z korzeniami...
Ale wróci - jak noc i jak dzień
zmusi tworzyć, uiścić na zewnątrz!
Bo nie możesz nauczyć się być,
nim być
i nie możesz zaprzestać
nim być,
gdy jesteś -
złym czy dobrym artystą!...

Elk, 21.02.1988 r.

Wojownikom o wolność

Wy - nie pożółkłe i zeschłe już liście,
Drzewom obdarte w noc deszczem brzemienne,
Mknące bezradne w wichury poświście
Gdzieś na skonanie, gdzieś w dal bezimienną...

Wy nie śniegowe opłatki gwiazdziste,
Z niebios wygnane w grudniowy czas słońca,
Aby utracić, co piękne i czyste,
Runąć na niżej i zagnieść się w błoto...

Wy - to nasiona rzucone na rolę
Kiedy ich siewca przemierzał zagony...
Mróz was nie zwarzy, nie zdławią kąkole,
Ani „rozdziobią nas kruki i wrony”!

Owoc wydacie stokrotny, bogaty!
A gdy już surmy zwycięskie zadźwięczą,
Z tajg, stepów, pustyni wróćcie do chaty
Pułap ustrajać „słoneczkiem i tęczą”...

A gdy ktoś wcześniej - opuści... „piekiełko”,
Padnie od kuli, w obozie czy celi...
- Ziemia go przyjmie jak muszla perełkę: -
Z prochów niewinnych powstają - Mściciele!

Długopol, 1942 rok

ZOFIA OLEK-REDLARSKA

* * *

Lekkością
mi jesteś
za oceanem
cichych kroków
Połamałeś patyki
suchego lasu,
Wracają bociany
do strzech nad Wigrami
Cicho kwili
gniazdo ptasie,

Jesteś, lekkością
mi jesteś...

Jakiś szmer...
Jeziora szept,

Zachód słońca
schowany w Twoją
kieszę...

Płyniemy nad lasem
Sosny potulnie
chylą głowy,
by nikt nie zakłócił
bezdechu

To spadł
Wieczór
kulą słońca
w nasze ramiona
Nie czułam jego ciężaru

* * *

Brudne szyby
okno
starej kamienicy,
s na parapecie kot
i stara, brzydka
doniczka
z fiołkiem
- takim,
jak lubię
chabrowym –

I znów
kocham życie!

Dlaczego
nie było
w tym
oknie
firanki?



IRENA SŁOMIŃSKA

* * *

gwiazda spadła czyjś czas na ziemi
dobiegł końca
w męczarni śmierci
dojrzeła światło wewnętrzne
drogowskaz marzenia

ciało takie upodlone bólem
i krzykiem i fizjologią
opada jak łachman
i jest już tylko smuga energii
poruszająca duchowe struny światła

a na twarzy maluje się spokój
zmięte maski te twarze
a jednak naszej czułości poddane
obróbce dotyku

my nie umiemy poza ciałem doznawać
świata i nasza kruchość
pozwala na przeżywanie materii
w całym jej dzikim pięknie
walce o przestrzeń i zabijaniu
żeby jeść

my z zabijania uczyniliśmy sztukę
wymyśliliśmy broń kunsztowną
i piękno zabijamy w masie

walka jest sztuką masową
trupy liczą się w tysiące
a ból się zwielokrotnia

lecz umieramy zawsze indywidualnie

* * *

białe są szpitalne sale i takie pełne
nadziei
ból przychodzi cwałem
o jakże przewrotny jest ból
i taki nieuchronny

kroplówki powolnym spadaniem mierzą
kropki naszych wyobraźni
o jakże piękny jest ruch
który jest tylko marzeniem

tabletki kolorowe krążki
znaczą upływ godzin
czas
stoi w miejscu na szpitalnym korytarzu
potem porusza się kaleki
drobnym kroczeniem

i jedyną dostępną wolnością
jest śmierć
tak naprawdę wciąż
boimy się tej
wolności

ANNA SOŁBUT

* * *

Zatrzymana
w pół drogi
odwracam twarz
do siebie
jedyne lustra
prawdy
w odbiciu przeszłości

światło pamięci
złamane pryzmatem czasu
wspomnieniem
zasuszonych kwiatów
rozkwitłych na nowo
w przedsionku serca

i cień zapomnienia
opadający
mgłą ciszy
nagłą
potrzebą milczenia
poza granicę
słabnącego wzroku

* * *

Musisz zatoczyć
pełne koło
począwszy

od punktu narodzin
odbić się
od pierwszych prawd
poznać
dno oświecenia -
człowiek bez serca
niebo bez ptaka

musisz odbić się
i wrócić
aby zrozumieć
że wszystko
odwołuje się do śmierci
to jedyny
punkt odniesienia

* * *

Tomaszkowi

Wróć synku
zanim będzie
za późno
o jeden krok
za daleko
by powstrzymać
ciekawość

tajemnice
są jak
ogrody Edenu
po to
by poszukiwać
strzegąc prawdy
najmniejszego krzewu

* * *

Życie
które wspinasz się
po pędach cywilizacji
i nie dla mnie
podejmujesz ryzyko
niebytu

zostań choć na moment
zatrzymaj się
pozwól poznać
dorosnąć
do głębin oddechu

* * *

Zapachem
skoszonej łąki
drogą przy kamieniu
gdzie siedlisko strzyg
na straży lasu
przed siebie
pomiędzy
łanami zbóż
kłaniających się
wiatrom i ziemi
w świat dzieciństwa
w progi domu
gdzie już światła zgasły
na przestrzeni lat
na pustej przestrzeni



LEONARDA SZUBZDA

W rocznicę ślubu

poprowadziłeś mnie
w niezwykle życie
zwyczajne

zmyliłam czujność serca
poprowadziłam cię
drogą do gwiazd

ja ptak
firanka w oknie

ty ściany domu
na rzece most

ulepione z tej samej gliny
dwa światy

* * *

stałam się z twojego zebra
twojego czasu i przestrzeni
żebyś nie był samotny

jesteś z moich słów i dotyku
jesiennej ciszy chmurnych spojrzeń
wyrzekłam się dla nich siebie

oswoiliśmy okna stół światło lampy
kalendarze rozstań i powrotów
dzień po dniu
zszywamy je cierpliwie
w życie

* * *

ty idziesz górą
ociosany ze złudzeń
świętek

a ja doliną
z głową w chmurach
próbuję zawrócić rzekę

odlegli
o wyciągnięcie ramion

o milczenie
z niczyjej winy

przyzywamy na pomoc
życie

* * *

jeszcze wczoraj
mieliśmy ptaki i niebo
miało być wieczne

jeszcze wczoraj
byłam obłokiem
zawieszonym
nad kuchennym stołem

nie przeczuwałam wiatru

na liście obecności
podpiszę się
w rubryce Miłość

zamiast dłoni
mam krzyż

* * *

wciąż o pierwszej
dlaczego nie o ostatniej

już nie płomiennej
ale cierplivej

z kubkiem herbaty
zamiast wyznań

wiernej
bez słów

zatroskanej o czyjś sen
i czyjąś zadyszkę na schodach

zapomnianej przez poetów
żywej na przekór życiu
srebrnowłosej miłości

EUGENIUSZ SZULBORSKI

Z wierszy włoskich

Święty Antoni

Ferdynand lubił się modlić
w wieku piętnastu lat
opuścił zatroskanych rodziców
przeniósł się na poletko
świętego Wincentego
w Kaimbrze mając dwadzieścia
pięć lat został kapłanem
później chciał być
męczennikiem w Maroku
a stał się Antonim
męczeństwem była tylko
małaryczna gorączka
i koniec snu o apostołstwie
zmarł jednak sam dla siebie
Asyż i święty Franciszek
Montepaolo koło Forli
kazanie do ryb w Remini
nad Marecchią
kazania kazania kazania
a osiołka nie zmuszał
by ominął wiązkę siana
Ferdynand w nauce
szukał spokoju duszy

Antoni nie znał strachu ani lęku
przed złymi ludźmi
w kazaniach wołał o dobro i pokój
hrabia Tiso przygotował Antoniemu
pustelnię w konarach drzewa
świątynię rozmyślań
i twierdził że franciszkanina
odwiedzał maleńki Jezus

W katakumbach

Umierała święta Cecylia
umierała i wyznawała wiarę
w Jedyne Boga
w Trójcy Jedyne
miecz zaznaczył szyję
tunika przykryła ciało
delikatne jak tkanina
i wiarę twardą a czystą
jak twardy marmur
pomnika

A na ścianie malowidło
Święta w pozycji oremus

Duch uleciał do Pana

Monte Cassino

Góra przechodziła obok nas
strojna budowlą klasztorną
i przycupniętymi kamieniami
Zastanawiające jak na nich

można było zbierać maki
do dziś wyrastające z polskiej krwi
W przedsionku Karol Wielki
ze swym mieczem
i zapadający już półmrok
Na tarasach cmentarza
trzeba było schylać się
by odczytać nazwiska
poległych tutaj
chłopców z Sokółki
Dąbrowy, Łomży...
Migotliwy płomień zniczy
nad grobem Andersa
który wśród swoich
zechciał lec
czerwone maki przecież
z jego chłopców krwi



WIESŁAW SZYMAŃSKI

Przebudzenie

Wbrew pospiesznym prorocstwom
I spóźnionym bredniom
Na przekór fałszywym prorokom
We własnym i wielu zaprzyjaźnionych krajach
Krainach
Ruinach
Wbrew samym sobie
Na pohybel wrogom – obudziłeś się

Promieniem słońca sprawdzasz
Tożsamość warg naszych
I nie naszych kobiet
Spotkanych z wyroku rozumu
I z przekleństwa serca
Cudzoładnych
I cudzołożnych

Dla pewności
Szczypiąc opuszkami mrozu
Wzgórza rozgrzanych pośladków
Sprawdzasz autentyczność
Weryfikujesz linie papilarne sutków
Grupę krwi i zawartość szampana
W mieszance pomadki i wina
Którą jeszcze wczoraj nazywałeś
Śliną

W zaułku świata
Z dala od wściekłych sprzątaczy Central Parku
I zwątpieniem milicjanta z Placu Czerwonego
/ ma kolor dojrzalej sinizny – oczywiście że
zwątpienie – nie milicjant/

w strumieniu białej ciszy
jesteś
jeden pocałunek krótszy niż oddech
wystarczy by świat
zacząć od nowa
nie oglądając się na koniec dwudziestego
czy początek trzydziestego
stulecia

Wyliczanka dla Henryka

Gasną łysiny tłustych bruków
Echo po sadach włóczy głosy
Śmieją się strachy do rozpuku -
Śmierć tępą kosą wiśnie kosi

W pętlę się rozsnuł dym cygara
Kolor w sekundzie traci whisky
Ciepła się w żyłach toczy fala –
I tylko tyle, i po wszystkim ...

mój cichy bracie – Przyjacielu
władco zaułków i rynsztoków
Aniele Bramy – wieczny Cieniu
Gdybyś tak zwolnił nieco kroku ...

Za trzy ósma

Znów za trzy ósma
A przecież wrzesień
Był wczoraj – usta
Boją się powiedzieć – jesień

Obrastamy w tłuszcz słów
W fałdy kont i lokat
Wraca serca skurcz
Tępy głos dzwonka

Starej woźnej z okiem
Wiejskiego cyklopa –
Taki widok z okien
Hotelu PanEuropa ?

Znów za trzy ósma
A jeszcze przed zmierzchem –
Spowiedzi za krótkie
Komunie nie pierwsze

Nocne świętokradztwa
Rozgrzeszenia łyż –
I kolejne kłamstwo
Że ósma za trzy

Że zdążymy jeszcze,
Bo wciąż mamy czas ...
A on w trybach rdzą trzeszczy,
Wskazówki zżarł żal.

JOLANTA BEZIUK

* * *

A kiedy już
Nie możesz
Być doskonały
Bądź dobry
A kiedy już
Nie możesz
Być kimś
Bądź sobą
A kiedy już
Nie możesz
Być bóstwem
Bądź człowiekiem

14 VI 1987



HALINA BIERNACKA

Muszelka

Jesteś maleńką muszelką
Na planecie Ziemia
A raczej jesteś jej połową
Rozłupaną przez burzę
Rozdartą
Falami wysmaganą

Czekasz że ktoś cię odnajdzie
Podniesie
Z piasku opłucze
Może urzeknie go twe piękno
Albo niezauważoną
Głębiej w piasek wgniecie

Będiesz czekać
Aż fale znowu cię pochwyć
I na łaskawy łód
Wyniosą miękko

Zatoka Hanauma, lipiec 1994 r.

Miasto nad Białą

Który to już raz
Poranny świt budzi miasto nad Białą
Tu gdzie dawniej szumiała puszcza zielona
W piaskach grzęzły karoce
Wkoło bił blask z okien pałaców

Kopciły fabryczne kominy
Zapach śledzi pod ratuszem
Stukot drewniaków po bruku
Swąd dymu i gruzu...

I głęboki oddech wolności

Przybywa nas nocą i dniem
Miasto też ma swoje ciało i duszę
I całą gamę barw nie zawsze tęczyowych
I całą gamę szumów i zgrzytów
Nie słyszymy siebie

Znikają uliczki i zaułki
Znikły bruki i rynsztoki
Ziemia cierpi
Pod ciężarem asfaltu i polbruku

Idziemy w trzecie tysiąclecie
Od drewnianej łyżki
Do plastiku i puszki coca-coli
A świadectwo świetności
WERSAL PODLASKI

Białystok, luty 2001 r.

SYLWIA CHORAŻY

Niebo

u Herberta oni są
jak dwie krople
zatrzymane na skraju twarzy
u Gałczyńskiego jadą
na dzień do Tomaszowa

a dziś
gubią uczucia
zarabiają pieniądze
na wspólne szczęście

nieprawda

jeszcze się dotykają
płatkami róż
ona mu wręcza uśmiech
on jej spojrzenie

śmieją się
i całują pod jemiolą
mówią
jeszcze nie wszystko stracone
pod naszym niebem

Śnieg

może są już nieaktualne
wczorajsze wartości
świat biegnie naprzód
miłość nie nadąży
za nieformalnymi związkami

Bóg przegrywa
w konfrontacji z naturą
interesy mniej kosztują
od przyjaźni

wciąż śni się
biały śnieg

Proces

życie
labirynt korytarzy
prawda ukryta za bramą
brak winy
wszak człowiek
nie może być winny

nagłe przebudzenie
zbyt późne jednak
czarni panowie
niczego nie wyjaśniają
znikąd pomocy

i zawsze jest tak
że wstyd nas
przeżyje

Przy nadziei

może umarły już wszystkie natchnienia
jak umiera ptak w klatce
albo kwiat wyrwany z ziemi

może wszystko zostało wypowiedziane
może trzeba złota milczenia
może nęci bardziej biel kartki
niż karawany wyrazów

a może to tylko przedśpiew
albo przedwiośnie
natchnień jeszcze nie rozbudzonych

może jeszcze się narodzą
gdy dojrzeją w łonie duszy
teraz trwa czas oczekiwania



MAŁGORZATA DOBKOWSKA

Film drogi

ucieczka do Kaliforni
wolność przestrzeń pomarańcze
mgła o poranku świtanie kropla rosy radość
do widzenia znad Zatoki San Francisco
kartka z podróży fikcja ucieczki
(ciało umysł zawsze podąża za nami)
gdy stoję na granicy czterech żywiołów
powietrza wody ziemi i zbitej kuli ognia
ja ich zlepek
a fala Bałtyku obmywa mi stopy
nierówną poszarpaną linią (brzegową)
zacierając utrwalając ślady
milknię pochłaniania wysoce jodowanym powietrzem
czeszę martwe pióra ręką myślę
o daremności ucieczki
o braku odpowiedzi w wyniku ogólnego braku odpowiedzi
i gdy czerwona kula obraca się ze mną w morzu
parska syczy i paruje
nadgryzam gorzką pomarańczę i wypluwam pestkę
możliwie daleko przed siebie na drugą stronę wody

Kalejdoskop

zwijam dłonie w lunetę i spoglądam przez nią
koncentruję się dostrzegam szczegóły
świeżo wyklute plecy połyskują w dali
oko bliźniego błyszczy jak w zegarku klejnot
muszelki we włosach tworzą wzór
który zapewne ma swoje znaczenie
w tym musi zawierać się mądrość świata
w dostrzeganiu szczegółów
które łączą się i tworzą całość obrazu
po drugiej stronie oczu w głowie
już przygotowany prywatny projektor
szybko poruszają się wyświetlają
nakładane na siebie przedziwne obrazy



BARBARA LACHOWICZ

Marzenie o domowych wierszach

Domowe wiersze –
Niewszędobylskie, nieświatowe
Pachną świątecznie przeszłością,
Złociście karmią powietrze
Mgiełką ukojenia,
Przy nich wszystko wydaje się
Lepsze.
One w bamboszach chodzą po dywanach,
Siadają na niezapisanych stronach –
Szukają miejsca na przetrwanie.
Chcą być zwyczajne –
Nie bose, nie głodne
I mieć czas na zamyślenia...
Przy stole usiąść czasami,
Z uśmiechem zajrzeć w oczy
Zza bukietu złotych tulipanów.
Pozbierać okruchy wspomnień
I nakarmić nimi jakąś głodną chwilę.
Lubią przymierzać buty
Stojące w progu
Zawsze gotowe do drogi,
Wiedzą: dom czeka na powroty...
Domowe wiersze – od narodzin,
Od miłości pierwszej...

Wysłałam z domu – nie zginęłam i nie wróciłam.
Zatrzymały mnie doświadczenia losu...

Szukającemu

Szukasz mnie, wiem.
Jakże ci powiem, gdzie jestem?
Szukaj mnie wśród gwiazd
W nieba błękicie,
W ptakach i w ptasich gniazdach,
W drzewach i w trawach,
I jeszcze pod ziemią,
Tam, gdzie się dżdżownice trudzą
Nad gleby urodzajem...
Zapraszam cię na spotkanie:
Będę szła przez świat na wskroś
I skrajem tego świata....

Powrót

Idę przez pola rodne
Zbieram trudy ziemi
I przez ogrody płodne
Podnoszę słoneczne uśmiechy
Niosę kosz dóbr wszelkich
Coraz pełniejszy
Przedemną jeszcze życia ściernisko
Za nim graniczna miedza
I dom
Dom mój odwieczny
Blisko

EDWARD LIPIŃSKI

* * *

Ty brzozo nie jesteś płaczką
lecz zamyśloną dziewczyną
z rozwianym bujnym włosom
pełna powagi i dostojeństwa
nucisz cichym głosem
pieśń o przelotnym ptaku
co siadł na twym ramieniu
i wtulił ufnie głowę w tve warkocze
pachnące słońcem i strumieniem
ty brzozo nie jesteś płaczką
bo w każdym twoim splocie
jest ciepło i marzenie
kołyszące się w takt snu przytulonego ptaka
ty brzozo jesteś dziewczyną
wysmukłą romantyczną
stojącą w krajobrazie ojczyzny mojej
ty brzozo jak czarodziejka
różdżkami swymi wiewasz
lekko i uroczyście
i czar przedziwny wlewasz w krajobraz
wypełniony zielenią liści

* * *

Rzeko
szemrząca wspomnieniami
szeptem fal wpisana
w historię miasta
płynąca przez krajobraz
powracających tęsknot
warkoczami wierzb pieszczona
wykołysana szumem trzcin
zasłuchana w wieczorne koncerty żab
i poranne arie ptaków
jesteś we mnie
w każdej kropli moich nurtów
orzeźwiasz ciało
rozkosznym chłodem
igrasz z twarzą pocałunkami
pianistej powierzchni wody
rozkołysanej wiosłami ramion
 chronisz brodzące
 wśród mokradeł bociany
 i gniazda krzykliwych czajek
rzeko
spięta stalowymi klamrami mostów
prowadzisz wprost
do konarów drzewa
wyrastających z moich korzeni
gdy wracam
by nacieszyć się
szumem jego gałęzi
posłuchać szmeru liści

KRYSTYNA PRZEKOP

* * *

Naród nie depcze
pamięci przodków
w wyżłobionej koleinie
i poczerniałym kawałku drewna
usłyszy pacierz
sprzed wieków

polnej drogi.

Obraz

W alkierzu
babcia zawiesiła obraz
Matki Bożej
z otwartym sercem.

Modliła się przed nim.

Kornik dziurawił ramy
papier wiotczał
z babcią.

Babcia umarła
alkierz opustoszał
tylko osamotniony obraz pozostał

Zamilkł kornik
ucichł szept modlitwy

I wypłowiło serce Maryi.

* * *

Czuwałam jak na pustyni
bez nadziei na światło oazy
aż dojrzałam Twój cień
i rozumiałam wszelkie pragnienia.

Byłam samotna
choć mijały lata,
wicher nas pchnął ku sobie
rzuciłam się w ramiona
a Ty podałeś
kubek wody

* * *

Wszystko
ma swoje granice
pusty pokój oparty o ścianę
drzwi zbyt łatwowieczne
w przychodzeniu
i odchodzeniu
a próg domu
pokorny i wybaczący
jakby nie znał granic.

A one powracają
w podrapanych
szybach
snów.

WIESŁAW RÓŻAŃSKI

Z Raju

Dziecięce sny o dorosłości
I dorosłe sny o dzieciństwie
Przenoszą nas w węzowej skórze
Pod drzewo wiadomości.

Lektyka myśli

Bo chociaż słońce, bo chociaż niebo,
Człowiek ulega pewnym potrzebom
I choć za uchem mądrze drap, drap,
Po cichu: kurczę pieczone, schab.

On nie z żelaza i nie z kamienia,
Lecz żywe bydlę i wciąż się zmienia
I choć w łysinę odkrywczę klap!
Po cichu: kurczę pieczone, schab.

Czasem myśl wzniosła go porywa,
Oczy rękoma wtedy zakrywa
I choć mu łezka spod rzęs kap, kap,
To w myśli: kurczę pieczone... schab...

Suwalszczyzna

Przestrzenie lubią chować się za pagórki
czekają aż ktoś je odkryje
wyciskając z siebie trud wędrowania

miedze nie poddają się geometrycznym zapędom
snują się na prawo i lewo
wynoszą zielone kręgosłupy
płosząc zające i ptaki

a schronienia tyle
że niepolicone
a źdźbeł poddania tyle
że nieustający ruch
we wszystkie strony

zielonoczarne smugi zagajników
przerzedzone dałą
i jeszcze ciemniejsze płoty lasów na końcu
dookoła

mokry błękit wypycha barwy tęczy
tęcza wciska w dół wysepki na jeziorach
w górę wyskakują co chwila koguty
i lecą aż do nieba

w uszach dzwoni cisza wigierskich dzwonów
przerywana rechotem żab

dzień snuje się leniwie
od wschodu do zachodu
nie poganiany.

WŁODZIMIERZ SAWCZUK

Piszę w kratkę

w garnku mleko
burzy się
białymi zębami nocy

dzieci dokarmione
pacierzem
wtuliły się do snu

Maryja
zwiastowała od Boga

lepsze juto

tylko wiara ojca
zagubiła ślad

i zwątpilem
a przy mnie
anioł stróż

cieniem przykrył
zwątpienie.

GRZEGORZ STANISŁAWSKI

Chodź

połóżmy się do łóżka chociaż
zabawki wciąż jeszcze są nie poskładane
może jutro
łatwiej zmieszczą się na półkach
będzie ślicznie
jak w sklepie na Boże Narodzenie
to dopiero jutro
teraz noc przed nami w ciepłe twego ciała
problemy staną się tak małe
że wystarczy ręką strzepnąć
jak kłujący okruch z prześcieradła
rozmasuję Ci plecy kręgosłup i szyję
będziemy się zagłębiać
w geografię ciała
by poczuć wąwozami płynące strumienie
każdy zakamarek
wypełnimy siłą która chyba wystarczy
by dobić do rana dzień odważnie przetrwać
kiedy powiem znowu
połóżmy się do łóżka
chociaż

* * *

zegar
jak brzytwą urojone światy
przywraca przestrzeń realną do bólu
lustro na ścianie w nim ten obcy
człowiek szuka pod łóżkiem porzuconych kapci

zanurzam się w wodę w bawełnę ręcznika
w śniadanie samochód kochankę i przepaść
niszczę stabilność czterech ścian beze mnie
piątą przemierzam szósta jest nade mną
sufit czy niebo nie widzę różnicy
czy się o beton rozbiję czy chmury
wyżej nie polecę
już chyba nie umiem
niżej
zakopią mnie sumienni bliźni

* * *

boli
dzień każdy bardziej otwieram oczy
nawet nie w centrum na obrzeżach świata
wszystkie rzeczy krzesła żyrafa płonąca kawa i ludzie
dzielę z nimi przestrzeń nieznośniej coraz
tworzę własne i tam za mną we mnie
przenoszę ten kryształ
tak doskonale ostry
że ruch każdy kaleczy
trwam prosząc go
by spokój mi dał gdziekolwiek
bytu doświadczam

JADWIGA SUTUŁA-KARP

czy data
z poprzedniego miesiąca
jest ważniejsza
niż twój dzisiejszy uśmiech

nie potrafisz
skupić uwagi
na jednym zdaniu

zdecydowanym ruchem
odrywasz kartkę
pobożnych życzeń

szklanką
łapiesz motyla
jesteś jak dziecko

nalewam herbatę
a ty obiecujesz
że nie usłyszę
gdy odejdziesz

jeszcze dziś
malujesz kwiaty
w swoim ogrodzie

* * *

podnoszę
puste słowa
wyrzucone z naszego życia

rosną
między nami
prawdy o wielu imionach

zacieramy starannie ślady
pozostawione
przez wczorajszą miłość
która tak pięknie tańczyła

teraz siedzi
smutna
na plaży
topi uśmiechy
i cudze szczęścia
w mętnej wodzie

* * *

odkrywam siebie
nocą
w dzień
wieczorem

jestem
o czasie
w twoim miejscu

a każde miejsce
jest w moim czasie

JUSTYNA WENCEL

* * *

najmocniej czuję
płomienie twoich dłoni
gdy zasypiam

noc parzy
ciemność trzaska
na palenisku dnia

rano stygnę
w białych płatkach
prześcieradła

* * *

nasz wjazd do jerozolimy łąki
odbył się niepostrzeżenie

jaskry i główki koniczyny
wytknęły miękkie kilimy
rozesłane pod stopami

obdarowałeś mnie
bukietem ciszy
zanurzyłam się
w płatkach milczenia
i tak płynęłam

a potem przyszły słowa
jak dojrzałe mlecze

młode sosny wyśpiewały hosanna
zielenią obsypał nas wiatr
ziemia westchnęła

czas zatrzymał się
jak modlitwa
pomiędzy grudkami różańca

* * *

zanim obróciłam się
twarzą
w pełną wiosnę
klon zmartwychwstał
w zielonej szacie
i koronie słońca
zajaśniał
i pobłogosławił podwórko
jabłoń panna młoda
odpłynęła łodzią pnia
w podróż poślubną
różanecznik nieśmiały
oblał się rumieńcem
forsycja
rozdawa wszystkie uśmiechy

**JAN
ZALEWSKI**

* * *

z pobitego lustra
wyjmuję po kawałku
twoją twarz
wygrzebuje z zakamarków pamięci
i układam tę mozaikę
częstka po częstce
jakie to trudne
i jak boli

* * *

ukrzyżowany po raz drugi
nie wstaniesz
nie weźmiesz krzyża
na ramiona
nie pójdziesz
pod górę Golgoty
na zatracenie

ukrzyżowany po raz drugi
przebaczysz

* * *

Kolędo moja która płyniesz
wśród nocnej ciszy wigilijnej
od lat tak samo mi znajoma
kolędo we mnie zapisana
betlejemska rymowanko
zdziecinniała
pachnąca sianem grudniowym
i trzejkrólową mirrą
wybaw mnie
od smutku
zmiłuj się
nad moim niepokojem

* * *

pastuszkowie przybywajcie
do stajenki pośpieszajcie
na swych lirach przygrywajcie
gorzkie żale zaśpiewajcie

zbladła betlejemska gwiazda
stajenkę śnieg zasypał
Maria poszła na nieszpory
i nie wraca
Józef chory
śpi pod płotem
a Dzieciątko z twarzą aniołka
niczego nie rozumie
czeka pierwszej gwiazdki
choć za oknem
Herod przyczajony
z karabinem
a na Golgocie
trzy krzyże wielkopostne
zwiastują alleluję

DARIUSZ ADAM ZELLER

* * *

Dwa światy płyną w deltach
mojego przebudzenia.
Mieszają się z pokorą ich nurty.
Okrywają moje oczy mgłą.

Nie zazdroścę dzieciom ich wigoru.
Zazdrość moja uległa zmęczeniu. Śpi.
Nie ma w niej ani krzty rozkoszy
radości widoku przemijania.

Nie zazdroścę starcom mądrości doświadczeń.
Im dalej w życie –
tym coraz bliżej snu.
Coraz mniej niepewności.

Pochylone głowy.
Drogi spopielale i mosty.
I słowa coraz pełniejsze.
„Moja wina, moja wina...”

I czyjś głos
z opuszczonego lasu.

Czasami wątpię
ale potem wierzę jeszcze głębiej...

Jezioro Białe

wrósł w szybę
śnieżnobiałymi piórami
i pierwszym przymrozkiem

dotykałem go chępliwie
obłapiałem spojrzeniem
ale on z wolna odpływał
i mieszał łyż z woskiem

chciałem go ucałować
poczuć choćby mimochodem
ale on już pióra pogubił i znikł
topiąc definitywnie swe zimne oblicze

w ogrzanej toni mego okna;
był pierwszym aniołem
którego poznałem

* * *

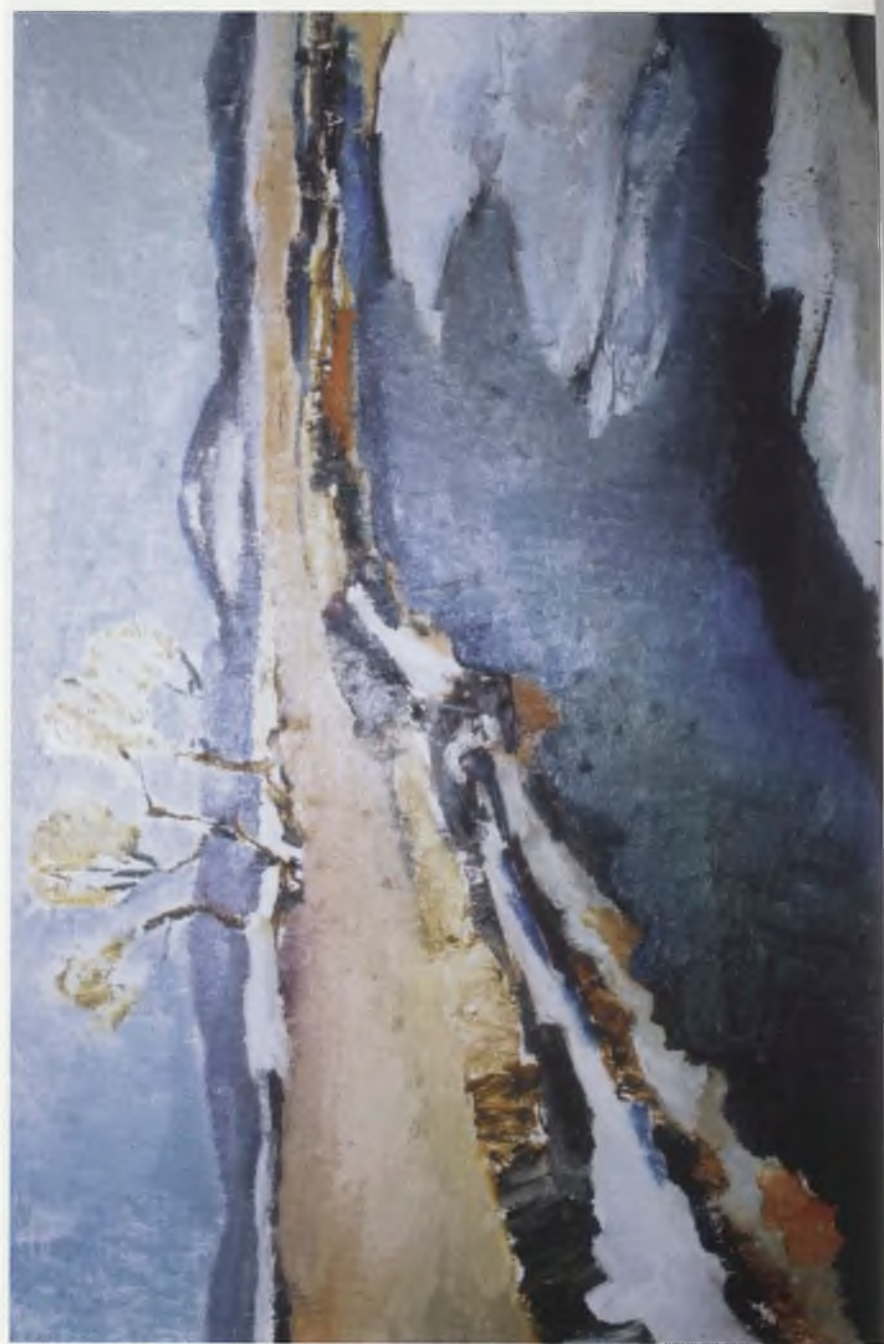
Chciałbym Cię znów dotknąć
Przeźroczysta – Ty – moja
Lecz – Ty – jak woda z kranu
Między palcami

Na świat
Gdzie polatanie

Wilgoć zrasza
Policzków trwogę

I mało Cię
I tak wiele...





Potęga Dobra. O Edwardzie Jurszewiczu i jego twórczości



Edward Jurszewicz - malarz, rysownik, rzeźbiarz w drewnie. Ur. w 1927 r. w Wilnie. Od 1945 r. mieszka i tworzy w Białymstoku. Z wykształcenia technik budowlany; wieloletni pracownik Biura Projektów i Urbanistyki MRN. Nieliczne

wystawy indywidualne w Białymstoku oraz udział w wystawach zbiorowych Amatorskiej Twórczości Plastycznej. Największe niespełnienie: projektowanie kościołów i ich wnętrz. Największe osiągnięcie: godne i ogromnie twórcze życie, wbrew warunkom, wciąż mniej przychylnym.

W „Ogólnopolskim Konkursie na Kapliczkę Przydrożną”, ogłoszonym w 2001 r. przez kościół pw. Św. Krzyża w Warszawie, p. Edward Jurszewicz otrzymał II nagrodę. Gratulujemy!

Jan Leończuk **Fragment „Zapiśnika”**

Najpierw dojrzałem rzeźbę Madonny z Dzieciątkiem. Ostre cięcia dłuta wyłoniły twarz zboląłą i pełną nadziei. Długo zauroczenie nie mijało, wreszcie w sklepie przy ul. św. Rocha zobaczyłem Ukrzyżowanego i Ostrobramską. Od tej pory cieszyłem się obecnością tych świątków w swoim domu. Padające światło w różnych porach dnia wydobywało zaskakujące refleksy. Rzeźby jakby ożywały i ludzkie piętno nosząc poczynały spowiadać się ze swojego utrudzenia. Fraszobliwy patrzył w sobie tylko znaną dal, skąd dochodziły pewnie jakieś smętne pienia. Może zbliżał się wieczór i kładł ciemną płachtę na rozszalałej zieleni, uciszając rozpaczliwe czyjeś wołanie? A może rosa rozsypywała lzy i księżyc piał się na niebo. Chrystus, odpoczywający za wsią, zamyślił się nad losem człowieka.

Potem, we wrześniowe przedpołudnie, w pracowni Edwarda Jurszewicza ujrzałem setki rzeźb. Postacie Chrystusa mieszały się ze starcami wędrującymi donikąd, w bezdomności i niezrozumieniu. Piętrzące się jakby w olbrzymim kosturze pielgrzymim wyrastały krucyfiksy obok Matek tulących Syna. Postacie, rzucone niedbale, leżały obok nietkniętych jeszcze siekierą klocków drzewa. I pan Edward, którego niekończąca się opowieść poprowadziła zaraz po wileńskich traktach. Starzy Żydzi, tajemnicze dorożki przy ulicze, gdzieś schodzącej w dół od Świętego Ducha, pątnicy u Ostrej Bramy...

Wiele obrazów, malowanych pospiesznym pociągnięciem pędzla, pełnych złowionego światła, z onirycznych pokładów dobytego. Zauroczony, przyglądam się fascynacjom twórcy. Wilno tętni swoim życiem. Utkane ze snu, odnajduje w białostockiej pracowni własne miejsce. Staje się bliższe. I pełniejsze od tamtych, tzw. repatriackich rozstań. I znowu, rzucone wcale nie pieczołowicie - mnóstwo rysunków: nerwowe, lekkie kreski, barokowa i gotycka architektura kościołów Wilna i Białegostoku, twarze Żydów, kapliczki, akwarele pałacu Branickich, dorożki. Słucham żywej, pospiesznej opowieści pana Edwarda. Zatrzymujemy się na mgnienie przy którymś z wileńskich zaułków; łączę te spotkania ze swoimi zauroczeniami. Prześcigamy się, biegnąc w stronę Bufałowej Góry. Potem Trzykrzyskiego Wzgórza. Wieża Świętego Jana, rozbielona czystością, wabi dumą i uniesieniem,

rozmodlona unosi nasze ziemskie marzenia, miesza je ze zgranatowanym niebem.

Pan Edward znowu uderza siekierką. Drzazgi, jak stracone złudzenia, ścielą się pod nogami. Wdzierający się chłód i gorączka wędrówki pospieszne są jak uderzenia siekiery, szukającej w twardej tkance drewna kształtów. Dziesiątki Frasobliwych to dziesiątki stanów Jego ducha i ludzkiego zmęczenia. Ten sam na pozór kształt w każdej rzeźbie nabiera innego wymiaru. To jest uparte szukanie doskonałości - w drewnie opornym, w zamaszystym pociągnięciu pędzla, w rysunku z pasją znajdującym właściwą linię.

W stercie obrazów odnalazłem widok młyna w Bobrowej. I pamięć powróciła w dzieciństwo. I poruszyło się koło młyńskie popędzane nurtem wody. I pan Edward Jurszewicz odnalazł na chwilę ukołysanie, gdzieś w Ziemi Zabłudowskiej. Uderzenia siekiery stają się spokojniejsze, a ja słyszę, że życie dotyka człowieka światłem. I wychodzę, obdarowany światłem i nadzieją.

Teresa Jabłońska **„Piękno jest jego powołaniem”***

„Tworząc artysta wyraża samego siebie”

Wyobraźnia z właściwą mu witalnością i swobodą obiega odległe horyzonty w twórczym podziwie, jednako urzeczona bezkresem Kosmosu i - białym kwiatkiem, prawie niewidocznym w bujnych puszczańskich trawach.

„W tych najmniejszych kwiatkach najwyraźniej widzę wielkość Boga. I delikatność. Jaki Bóg jest delikatny! Bo żeby wymyślić takie cuda, trzeba samemu takim być; w rzeczy stworzonej przejawia się Stwórca. W ludzkiej twórczości jest podobnie: zawierasz siebie w tym co robisz, chcesz czy nie.”

Chociaż najmocniej pociągały Artystę tematy egzotyczne, a niespełnionym marzeniem żyją w sercu klimaty południowych mórz, biała Grecja i żywioł Orientu, to z płócien przemawiają do odbiorcy rdzennie polskie motywy, z najczęściej w nich obecnym Podlasiem,

* Nagłówki są cytatami z Jana Pawła II „Listu do artystów”

bliskim na wyciągnięcie ręki.

W „schwytych na gorącym uczynku istnienia” pejzażach tkwi nie tylko ich niezaprzeczalne piękno, lecz - co ważniejsze - ich zasadnicza treść, wewnętrzna prawda, do której w procesie twórczym malarz przedziera się skupioną intuicją, niepodzielnością spojrzenia i uwagi. Obrazy pełne dynamizmu, nasyconych, śmiałych kolorów. „Kolo-rysta” - mówi o sobie. Jego prace powędrowały na inne kontynenty; jemu samemu nie została dana satysfakcja popularności.

„Nigdy nie zależało mi na tym, by zdobyć rozgłos. Ale bardzo zależało mi, by ludzie, zobaczywszy moje obrazy, nie mogli od nich oczu oderwać. Pochłaniało mnie mocowanie się z tematem, kolorem, kompozycją. Ideał - to było najważniejsze, nie - problematyczna sława.”

„Zawsze lubilem egzotykę. W Cyganach ona jest. Do dziś egzotyka mnie pociąga, choć - żadnych szans, by iść ku niej. Ale chciałbym Żydów porysować z bliska, pod Ścianą Płaczu. Żydów doskonale pamiętam z Wilna.”

„Podziwiam Greków, ich kulturę, muzykę, radość życia. Wilniuki mieli chyba podobne do Greków temperamenty i zdolność cieszenia się. Chciałbym porównać Grecję z Wilnem. Charakter ludzi w dużej mierze zależy od klimatu. Wilno miało klarowne powietrze, zdrowe wzgórza, gorące lata i surowe zimy. Babcia opowiadała, że wilki znad rzeki podchodziły aż pod dom, a sztachety pękały od mrozu.”

Artysta z duszą dziecka. Duma i - zwątpienie. Poczucie spełnienia i gorączka „zmarnowanego życia”. Samorodny talent, któremu przyszło borykać się z realiami PRL, bezwzględnej wobec niepokornych i nie chcących zdradzić swojej prawdy i swojej wolności za obietnice stanowiska, uznania, kariery.

Pocałować główkę Frasobliwego, bo taki zbiedzony; pogłodzić „łepiek” Dzieciątka, „łepiek niczym pastylka aspiryny”; a jeszcze... zaprosić Pana Jezusa na kopytka, bo udały się nadzwyczajnie - kto to potrafi oprócz kochającego artysty. Artysty z duszą dziecka.

Ukształtowały go, jak mówi, polskie Wilno i chrześcijańska, patriotyczna rodzina, w której panował prawie kult Komendanta i żywą była pamięć o „okrutniku” Wieszatielu, a Biblia Dziadka „była prawdziwie Księgą Świętą w domu. Leżała na ogromnym stole, zawsze otwarta na bieżącym czytaniu. Zgromadzeni przy stole słuchali jej codziennie, zanim usiedli do obiadu. Słowo Boże musiało być czytane powoli, z namaszczeniem. Dziadek swoją surowością budził respekt. Nie lubił pomyłek, więc czasami aż wstrzymywałem oddech: żeby czytającemu udało się nie pomylić. Stoi mi w oczach ta moja rodzina, jak „

Ostatnia Wieczerza". Dostojność, jakaś świętość w powietrzu. To za sprawą Dziadka i jego Biblii."

„Dzieła sztuki mówią o twórcach”

Mimo iż nie ma jego nazwiska wśród nazwisk tzw. renomowanych, jest dzieło, które zaświadcza o renomie tej twórczości. Kolekcjonerów obrazów Edwarda Jurszewicza pociągają tematy najchętniej przez niego malowane: rozlewiska, szuwary, zakola Narwi lub Supraśli, potężne dęby Puszczy Knyszyńskiej, stare młyny z Bobrowej, Międzyrzecza, Sikor...

„Rozlewiska uwielbiam. Tam jest jakiś specyficzny zapach, coś jakby kamforowego olejku i leciutko - błota, bagien. W Bokinach jak zobaczyłem pejzaż nadrzeczny - jeździłem piętnaście lat. To była moja Akademia Sztuk Pięknych. Wszystko z obserwacji, z kontaktu z przyrodą. Malowałem bez przerwy. Długo malowałem „Białe zieleńskie pływające po wodzie”, to był ulubiony motyw, złapał mnie. Choć te zieleńskie i teraz pojechałbym malować.

Jak staniesz w Bokinach na górze, to Łupiankę widać. I te potężne dęby, wierzyby... A Narew tam płynie bez przerwy meandrami, po bokach rozlewiska, pełne żaków; pełno ryb w żakach... Wracałem, gdy słońce już zaszło za wszystkie chmury, wszystkie horyzonty."

We wcześniejszych pracach pojawiają się tematy marynistyczne, sceny staromiejskie, Cyganki, tancerki w cyrku. Efektem ukochania Wilna są jego malownicze zaułki i kościoły, utrwalane na płótnach o niewielkim formacie (typowy dla obrazów p. Jurszewicza jest format większy, np. 130 x 70). Refleksem aury wileńskiej, tej przedwojennej, są postacie dziadów, dziś wydobywane z kawałka brzozy lub osiki, w dzieciństwie namiętnie rysowane na kalwaryjskich drózkach, dokąd zabierała go Babcia.

„To byli prawdziwi artyści. Lekko podpici, zarośnięci, to z bielmem na oku, to o kulach; podnosili nieustający rwetes, bezustanną żebrowanie. To był dziadowski, przepiękny koncert. Koncert na sto dziadów.

Lubiłem jarmarki na Kaziuka, na Rynku Starego Miasta. Ciągłe coś mnie tam urzało. Przyjeżdżali Tatarzy, byli Żydzi, Karaimowie, muzycanci; harmider, nieopisany zgiełk. Arabskie albo japońskie bazyry, to mnie nęci jako temat malarski: kłębowisko kolorystyczne, pogmatwane kompozycje, ciekawe konfiguracje..."

Ludzie różnych poglądów i różnych zawodów chcą mieć blisko siebie świętki, będące dziełem zadziwiająco pracowitych i „stwórc

czych" rąk Artysty. W mnogości upostaciowań czy to tematów sakralnych, czy świeckich - nie ma dwu jednakowych prac. Różnorodność formy i siły wyrazu, indywidualna ekspresja każdej rzeźby potwierdzają i skalę talentu, i tę ogólnie znaną prawdę, iż tworzenie jest ustawicznym poszukiwaniem i wydobywaniem nieskończonego bogactwa - z tworzywa i z głębi jestestwa twórcy. To sztuka klarowna. Na szlakach Puszczy Knyszyńskiej - kapliczki zawieszone na dębach i sosnach, m.in. przy szosie na Bobrowniki, to też świadectwo czystości formy. To źródło radości: myśl, że z przypadkowego spotkania człowieka z Miłością zrodzić się może tęsknota za Dobrem...

„Społeczeństwo bowiem potrzebuje artystów”

O jego drodze malarstwa łatwiej powiedzieć, że była kamienista, acz pasjonująca, niż cokolwiek innego.

Egzaminy do Akademii Sztuk Pięknych w Warszawie, z kolei w Krakowie, zdane, lecz studiowanie za każdym razem mu uniemożliwiono, a to pod pretekstem braku miejsc, a to wprost przepraszając, iż zagwarantowane wcześniej na podstawie wysokiej oceny prac miejsce rektorskie właśnie zajął kto inny, o czym zadecydował jeden telefon...

Później nie wyszło ze Związkiem Polskich Artystów Plastyków, choć jego kandydaturę wysunęli artyści tej miary co Józef Łotowski i Stanisław Wakuliński.

„Próbowałem dwukrotnie. Najpierw Warszawa. Zawiozłem kilka temper; Cyganki, chyba dziesięć aktów, miotlarza, wileńskich dziadów - rysunki piórkiem. Na ich podstawie zostałem dopuszczony do egzaminu, egzamin zdany. Efekt końcowy: „Z braku miejsc nie przyjęty.” Po egzaminie podszedł do mnie asystent profesora: „Zostawię numer telefonu. Dowie się pan o wynik.” Nie zadzwoniłem. Nie byłem przekonany co do słuszności płacenia za zdany egzamin. Może trzeba teraz żałować...

Po raz drugi - Kraków. Profesor Dobrzański z tamtejszej ASP projektował na początku lat sześćdziesiątych witraż w Jałowie. Zobaczył mój żuraw gdański w domu pani prof. inż. arch. Heleny Nowary; podobno patrzył, patrzył.

Zapytał mnie, patrząc na młyn z Bobrowej: „Jak pan to maluje?” I dodał: „Zabieram. Musi pan zdawać do ASP. Będzie pan mieć miejsce rektorskie.”

Wtedy posłałem pejzaże olejne. Dwu- czy trzydniowy egzamin: rysunek - akt, akt węglem, martwa natura temperą, portret starca. Jak Picasso, w jeden dzień zrobiłem wszystko. „Te prace, które pan nade-

ślał - powiedział prof. Dobrzański - wszystkie są dyplomowe."

Byłem niemal pewien.

Przed ogłoszeniem wyników wywołał mnie Rektor z prof. Dobrzańskim: „Dostaliśmy telefon. Miejsce rektorskie zajęte. Niestety, nie możemy pana przyjąć.” Przepraszali obydwaj, jeszcze na schodach. Wszystkie obrazy po powrocie zdjąłem ze ścian. Chciałem pociąć nożem. To był straszny cios.

Rzuciłem się na kaczeńce w Bokinach. Oczerety, szuwary, tataraki - ściany całe i ich odbicia w wodzie. Uchwycić chybotanie się trzciny, pochyłonych, aż dotykających lustra wody pod gwałtownym podmuchem wiatru... Trzcina jest nieugięta, przygina się, żeby się odgiąć, wyprostować. Trzcina jest cudowna."

Nurt niesprzyjających okoliczności zewnętrznych, choć dotkliwie odczuty, na szczęście okazał się słabszym od miłości do malarstwa. Impet tworzenia, ogromna psychiczna potrzeba malowania, urzeczywistniały się w bezpośrednim kontakcie z przyrodą, niełatwo pozwalającą wydrzeć sobie własne tajemnice. Przez kilkanaście lat codzienne niemal wyjazdy w plener owocowały doświadczeniem i setkami obrazów. Mimo żywiołowości wszystko w nich jest wyważone. Rozmach godzi się z subtelnymi tonami, w kipiącej feerii barw panuje ład harmonii. To malarstwo nie mieści się w kanonach realizmu. Od swego pierwowzoru tematy są różne odmiennością, której cechą podstawową jest kolorystyczna wyobraźnia i chyba romantyczna wizja świata, poetyckie w gruncie rzeczy jego postrzeganie. Oto wędrowiec przemierzając pory roku spotykanym krajobrazom hojnie przydaje kolorów...

Odbierane przez pryzmat kreatywnej wrażliwości, motywy zyskują na płótnach niezwykłą intensywność, kolorystykę światów wewnętrznych twórcy i jakąś przykuwającą nastrojowość. Toteż prace Edwarda Jurszewicza w niepowtarzalności artystycznego stylu są błędnie rozpoznawane przez odbiorców i zwolenników tego malarstwa.

Tak więc nie sukces, potocznie rozumiany, zadecydował o pasjonującej przygodzie z malarstwem pana Edwarda Jurszewicza. Największym sukcesem tej twórczości jest ona sama.

„Piękno jest poniekąd widzialnością Dobra”

Widać na pierwszy rzut oka, że Artysta prawdziwie kocha to, co robi. Nie zostawia z siebie nic „na zapas”, „na potem”, niejako stapia się z obrazem. To zjawisko zupełnego wyłączenia się stanowi dowód jakiejś tajemniczości aktu twórczego.

„Malarstwo to miłość. Do natury, do farb, do wszystkiego co żyje. I zaczynasz, bracie, nawet Boga lepiej rozumieć. Rzeczywiście, chyba Bóg jest Miłością. Trzeba kochać to, co się maluje; wtedy dobrze namalujesz. Pierwszy raz zakochałem się w trzcinach; z odległości nabrały cudownych odcieni: niebieskawa, beżowoszarawa zieleń... W 57 roku, jak zwykle uciekłem z pochodu pierwszomajowego do Bokin, a tam - kaczeńce! Jakie kaczeńce!...

Malarstwo to ciągle dojrzewanie do czegoś nowego, lepszego. Po namalowaniu, nagle widzę, wszystko bym zmienił. Ale nie poprawiałem. Zaczynałem drugie płótno. Chciałem ująć w obrazie owo coś ponadczasowe, zakryte przed człowiekiem, który albo nie bywa w takich krajobrazach, albo zmyka po chwili, albo widzi inaczej. Zwłaszcza zimowe pejzaże rodzą wyzwania: w zimie jest dużo agresji, nie tylko piękna, prawie że przerosty tej zimy nad człowiekiem. Krzepa jest niezbędna, żeby wytrwać. Bardzo lubię pejzaże zimowe; duży kontrast i pozorna łatwość malowania, bo zima jest trudniejsza niż lato.”

Podobnie się dzieje, kiedy pan Edward silnymi cięciami siekiery usuwa to, co przeszkadza w ukazaniu kształtu zobaczonego wcześniej w kawałku drewna. Istnieje wtedy jakby zjednoczony z materiałem poddawany zdecydowanej, szybkiej obróbce. Nieobecny w świecie, całkowicie pochłonięty powstającą rzeźbą.

Niegdyś bywały i diabły, przyczajone w pozornie statycznych formach. Pod zastygłym grymasem skrywały siły ciemności. Od tego tematu twórca odstąpił jednakże bezpowrotnie, doświadczwszy jakiejś niewytłumaczalnej zależności między rzeźbą a jej oddziaływaniem, wyczuwając jak gdyby ich niszczyielskie emanacje.

Tak drastyczne narzędzie, jakim jest siekiera, w rękach rzeźbiarza z nadzwyczajną delikatnością kształtuje uduchowione twarze, łagodne linie czułości, miękkość przytulenia albo wielkie cierpienie, albo dramat czy spokój śmierci. W każdej rzeźbie od nowa pojawia się tajemnica głębi. Uproszczenia i deformacje estetyczne jej właśnie służą. Nieważne, że drewno pęka. Z mnóstwa „wcielen” drewna, któremu człowiek użyczył istnienia, wyrasta sztuka bez pęknięć i dysonansów.

Nieważne, że pejzaże - nasycone dźwięczącym kolorem, o zmysłowej intensywności - czasem zostały rzucone na niezbyt równe blejtramy, albo że płótno dobrano niekoniecznie najstaranniej. Malarz gruntuje mocne lniane zasłony, przysposabia każdy materiał, jeśli nadaje się on do pokrycia farbami. W tym lekceważeniu spraw, w jego przekonaniu najzupełniej drugorzędnych, nietrudno dostrzec nieco-dzienną postawę twórcy. Jeśli ekscentryzm, to bez wątpienia nie ten

pracowicie wystudiowany i przez to mało ekscentryczny. Oryginalność w rozumieniu sztuki i jej roli to cecha jego osobowości, z zupełną odpornością na to, „co powie świat”.

W obrazach, oznaczonych zwykle tylko rokiem powstania i imieniem, wyczuwa się ogromne przestrzenie wolności ducha, „osobności” zarówno siebie świadomej, jak intuicyjnie wyrażanej.

Sytuacji, w jakiej postawiły go okoliczności życia, sytuacji pewnego wyizolowania - od czego zresztą nie uciekał, upatrując w samotności więcej zysków niż strat - tej sytuacji zawdzięcza twórca autonomię w realizacji artystycznych zamierzeń. Własny cel, widzenie świata w kosmosie kolorów, sposób kładzenia farb w stwarzaniu poezji pejzażu, miłość do piękna - wszystko własne.

Wciąż, mimo życiowych dramatów, coraz brutalniejszych form i warunków życia, które najmocniej uderzają w najwrażliwszych, mimo niespełnionych marzeń, ten człowiek nosi, choć w zmęczonym już sercu, ciągle jasną miłość do obrazów Ziemi i do ich Dawcy. I z taką jak dawniej radością mierzyłby się z tematem i dziś, gdy - jak się здаje - czas plenerów ze sztalugami przeminął. Jakże zatem jego prace miałyby nie nosić znamienia tej świetlnej smugi, przenikającej krajobrazy i przeszywającej ludzkie serca, i łączącej ludzkie serca z Nieśkończonością.

„Nawet gdyby Jezus nie był Bogiem, kochałbym Go tak samo. Za Jego naukę. Miłość nieprzyjaciół - to jest Boskie. A Bóg jest Artystą. Bóg musi być Malarzem. Narysował świat!”

Życie spięte niewidzialną a najmocniejszą klamrą - miłością: do Ziemi, do malowania, do odwiecznego Artysty. Niewypromowane, niezasłużenie pozostające w cieniu - wielkie tworzenie, pełne Dobra.

Z niewysłanego kwestionariusza

**Z: Kwestionariusz ewidencyjny członka ZPAP, Cz. II. p.10.
Zamierzenia twórcze na przyszłość:**

„(...) Namalowanie dużych cyklów: piękna Ziemi Podlaskiej (...) Wyjazd do Gdańska - uprawianie pejzażu marynistycznego, który mnie od dzieciństwa pociągał. Wszystko chciałbym malować, co jest związane z wodą i architekturą; Gdańsk spełnia wszystkie te warunki, jest piękny i romantyczny tak jak Podlasie.”

Z: Opinia wprowadzających

„...Wykazuje niepośledni talent, upór w pracy, zamiłowanie do malowania w terenie, w którym przesiadywał całymi dniami. Cechuje go skromność w ocenie swych osiągnięć i bezinteresowność.

Maluje dla satysfakcji, nie dla zysku.”

24 III 1979

Józef Łotowski, wiceprezes Z.O.

Okr. Białystok, Sekcja Malarstwa, leg. Nr 514,

„...maluje z ogromną pasją. Jego prace są impulsywne, pełne temperamentu, dużo w nich życia. Jest wybitnie zdolny. (...) Jest koleżeński, szczerzy w swoich wypowiedziach twórczych (...)

20 VIII 1979

Stanisław Wakuliński,

Okr. Białystok, Sekcja Rzeźby, nr leg. 2770

Z: Zaświadczenia dołączone do kwestionariusza

„(...) w konkursie dla artystów amatorów w czerwcu 1977 r. otrzymał jedną z trzech pierwszych nagród (...) W sierpniu 1977 r. wystawa indywidualna Edwarda Jurszewicza cieszyła się dużym zainteresowaniem zwiedzających.

11 IX 1978

L. Jesiecki,

kierownik Domu Kultury Budowlanych

„(...) W październiku 1976 r. miał u nas wystawę swego malarstwa (...) cieszyła się ona dużym powodzeniem zwiedzających; były liczne zakupy osób prywatnych i przedsiębiorstw, m.in. Z Grodna (...)

25 X 1978

Jerzy Rutkowski,

Dyr.. Miejskiego Przedsięb.

Wodociągów i Kanalizacji w Białymstoku

„Obie wystawy („Cyrk” i „Dorożki”), zorganizowane przeze mnie w 1963 i 1968 r. cieszyły się dużym powodzeniem i zyskały przychylne opinie zawodowych plastyków.”

1 XII 1978

Jerzy Gadowski

kierownik Domu Kultury Budowlanych

Z: Cz. III. Adnotacje władz naczelnych, Adnotacje władz okręgowych:

Chandra zielona. Artysta o...

Krzaczki

Zawładnęły mną na długi czas i wiele razy je malowałem. Wiatr je przechyla, listki - jak bazie na wiosnę, w szarobiałych tonacjach, jak u osiki. Srebrzyły się, bielily, migotały, znowu błyskały na mgnienie zielenią, taką mocną... Ich odbicia w wodzie jak gdyby pogłębiały, rozjaśniały wnętrza rzeki; wydobywały głębię jej toni. Wprowadzały kolor w szarą, brudną, aż brudną płaszczyznę wody. Zwłaszcza jesienią nurt był jak mocno zabrudzony, a wtedy krzaczki i ich wodne żywe portrety stawały się jeszcze piękniejsze i jeszcze bardziej niezbędne w zszarzałym pejzażu. Są mocne, niepokonane. Wytniesz taki - odrośnie. Jest w nim energia, dynamit życia, jak w wierzbach polskich.

Żeby uzyskać niebo w obrazie, trzeba mieć krzaczek. Krzaczek bez wody to nie jest w ogóle malowanie. Dopiero niebo ukryte w wodzie, w której odbija się nadrzeczny krzew; niebo poprzez jego gałązki - wtedy jest niebo w pejzażu: osadzone, przytrzymane, związane ściśle z ziemią, po prostu - niebo na ziemi (śmiech).

W Bokinach malowałem taki krzaczek dwa lata; temperą, akwarelą, olejną, potem chciałem go rzeźbić (śmiech), tak mnie zafascynował. Zabierałem wtedy Henia, sąsiada, bo zgodził się milczeć podczas malowania, więc mi nie przeszkadzał.

- Pan chciałby go zabrać ze sobą do domu. Cały pan w nim siedzi - powiedział raz Henio i nie pomylił się. A krzaczek rósł rozłoży-

sty tuż przy wodzie, gałęzie utopione do połowy; pił wodę z rzeki i rósł, aż szumiał - taki polski kaktus. Płynąłem raz koło niego, czuję - łódka szoruje po gałęziach - a ja po krzaczku przepływałem! Okolica tam przepiękna: na horyzoncie grzebień lasów, rozrzucone kopiaste czapy stodoł... Nasze polskie strzechy są najpiękniejsze.

Dla mnie krzaczki były żywymi, bliskimi istotami. Rośnie to jak odwrócona czasza parasola, jak ognisko Mojżeszowe. Od Łupianki Starej zaczynają się „królewskie bagna” (tak je nazywali tamtejsi ludzie), ciągną się aż do Uhowa. Tam właśnie często malowałem krzaczki. Tak mnie porwały, że do nich dostosowywałem wielkość płótna. Raz przyjeżdżam z ogromnym płótnem - a krzak jeszcze większy... (śmiech).

- Zostaniesz mistrzem od krzaczków - żartował nieżyjący już inż. Stanisław Bukowski i jego żona Placyda. Bukowski powiedział kiedyś:

- Kiedy ci zmarnieją oczy, zestarzejesz się - nie będziesz malował z takim pędem, z takim zapamiętaniem.

Zaprzeczam temu. Owszem, z latami dochodzi doświadczenie, ogromne (ale nie rutyna!), ale wciąż jest twórczy pęd we krwi. Na widok pięknego motywu - jakaś skupina drzew, głębia puszczy przesiana słońcem - dostaję nagle ciśnienia, łeb robi się jeszcze gorętszy niż zwykle. Dogłębne pragnienie, głód po prostu. Mocny głód malowania.

Ten obraz widział Wakuliński:

- Też próbowałem ten motyw namalować. Nic mi nie wyszło. Jak pan to robi?!

- Trzeba się zakochać w pejzażu, jak w dziewczynie.

Kaczeńce, wierzby

Kiedyś oniemiałem z wrażenia, zobaczywszy kaczeńce. Oślepiło mnie. Stałem na wzgórzach wokół Łupianki Starej: w dole rozlana szeroko żółta farba kaczeńców, nad głową paryski błękit nieba, chabrowe zakola rzeki... Dech zapiera, pojawia się nerwowość, gorączkowe pragnienie namalowania tego piękna.

Wierzby też kocham. Głowiaste, rosochate, przy rozjeżdżonych drogach. Błotniste drogi też lubiłem. W głębokich koleinach rozlane złoto, przed zachodem, albo wcześniej rano, tuż po wschodzie słońca. Wierzba jest jak Polak, niezniszczalna. Wypalą ją w środku - rośnie po bokach, krzaczasto, głbiasto, wytrwale.

O Krzysztofie Baczyńskim

Przeczytawszy kilka wierszy Baczyńskiego, pomyślałem „O, Boże! Takiemu człowiekowi pozwolić iść do Powstania?! To barbarzyństwo. Takiego POETĘ posyłać na śmierć? Ot, tak, na niemieckie kule? To najcięższy grzech tych, co na to pozwolili.

To co, że chciał?! Z Baczyńskim nie mieli prawa tak postąpić. Tacy ludzie rodzą się raz na 100 lat! Trzeba ich chronić. 20-osobowy patrol partyzancki powinien był go osłaniać przed hitlerowcami. Pozwolić zamordować takiego człowieka?! Przecież sam ze sobą się ledwo mordował. Pisać takie wiersze - jak można było?! Pozwolić go zabić?! Takiego rajskiego ptaka?

O Wiesławie Kazaneckim

To dla mnie wielkie odkrycie w 2000 roku.

To wieszcz. Po tych wierszach widać. Szkoda. Szkoda, że tak umarł młodo. I zaraz zacznę za Nim tęsknić. Bo ja odbieram duszę człowieka, czuję ją w swojej; dlatego będę za Nim tęsknił. Nie musiał umierać. Mógł żyć! Zabiły Go okoliczności, zabili Go mali ludzie.

A On sam - jak rozpalona do czerwoności cegła szamotowa. Żaroodporna. Nie do pokonania. Nikt Go nie mógł pokonać. On był nie do pokonania. Monolit, to widać w wyrazie twarzy.

A w słowach jest czysta poezja. Jaka szkoda, że Polacy tak nie umieją szanować swoich proroków. Powinni Go byli hołubić, stwarzać Mu korzystne warunki do życia, zamawiać tomiki wierszy - żeby mógł pisać. Zabiła Go ludzka małość.

Nie widzę głębszych, czystszych wierszy niż Jego. Są doskonałe. On sam był doskonały. To wieszcz.

O sztuce słowa mówionego

Kiedy słyszę, że czyta Łapicki albo Gogolewski, albo Świdorski czy Jasiukiewicz, od razu nadstawiam ucha. A innych nawet nie słyszę. Sztuka słowa mówionego to kunszt. Tak właśnie mówi Jan Paweł II. Słowo Boże jest święte w Jego ustach, namaszczone, trafia wprost do serca. Te same treści w ustach innych ludzi, przecież dobrych, mądrych, nie brzmią z taką nieodpartą mocą. Przechodzą jako obok. Papię jest pełen Ducha Świętego.

O miłości

* Gdybym był wtedy w Ogrodzie Oliwnym, kiedy Chrystus do nich przyszedł, a oni pospali się jak barany, Chrystus nie zostałby sam. Powiedziałbym: „Co tam. Przejdziemy przez to razem.” I też dałbym się ukrzyżować, głową u Jego stóp.

Trzeba mieć wielkie serce. Człowiek to serce. Jezus nie byłby wtedy samotny. Czasem człowiek potrzebuje czyjegoś serca, On wtedy potrzebował.

* W tym pejzażu jest chandra zielona. A jaka piękna. I idzie do mnie.

* Kocham piękno nie do opisanía.

* Ludzie dziś nie czują Chrystusa w sobie. Patrzą jedni na drugich i widzą tylko siebie.

* Często odnoszę wrażenie, że wszystko wokół, jest aż nierzezywiste, jakieś nadrealne, nieziemskie, nie z tej planety. Jak On to wszystko wymyślił!...

* Jestem zachwycony Stwórcą!

* Bóg jest Żebrakiem Miłości.

O ludziach

* Człowiek naprawdę piękny jest od wnętrza.

* Każdy człowiek ma własny koloryt, własną aurę. Ona go jakoś określa, determinuje. Sztuką jest odkryć ten indywidualny koloryt osoby - i postaci, i osobowości zarazem. Odkryć go i nie zakłócić (np. przez zachowanie, ubiór, makijaż) - wówczas powstaje pociągająca urokiem całość. Nie ma tam dysonansów, kiczu, od patrzenia na który nieraz aż głowa boli.

* W Polakach jest za mało refleksji.

* Gdyby ludzie więcej uwagi poświęcali ważnym, najważniejszym sprawom, Polska byłaby dziś w zupełnie innym miejscu niż jest.

* Reżimowi maniacy uniemożliwiali jednak życie zbyt mocno ludziom normalnym. Przecież trzeba być nienormalnym moralnie, żeby dostosować się do stworzonych przez nich warunków.

O swoim malowaniu

* W plener gnałem równo o 12.00. Marynarkę zostawiałem na oparciu służbowego krzesła; motor trzymałem za rogiem, żeby nie rzucać się w oczy zwierchnikom. Raz podobno szefowie, po jakiejś naradzie, zjeżdżając windą, że coś tam do Jurszewicza. Dyrektor spojrzał na zegarek:

- Jurszewicz? Już po dwunastej. Nie ma go.

- Jak to? Jak to?

Ale - terminy realizacji projektów zwykle wyprzedzałem. Zastrzeżeń - brak. Opinie o projektach - dobre. Nagrody w konkursach na szerszym forum. Więc uchodziło mi w miarę na sucho.

* Żeby malować, trzeba mieć wolną duszę.

* Moja praca to notatki kolorystyczne, zapiski malarskie z miejsc, które odkrywałem. Jeździłem nad Narew: Dzikie, Bokiny, Rzędziany, Żółtki, Siekierki (m. Tykocinem a Złotorią), Tykocin; Sikory za Mońkami; Pojezierze Suwalsko-Augustowskie; Międzyrzecze za Suprasłem; malowałem w Orłowie, Gdańsku, Gdyni, Łebie, Świnoujściu...

* Kiedyś w deszcz malowałem. Deszczowe krople nie zmyją olejnej farby, ale pozostaje ciekawa faktura, lekko odrealniona.

* Gdy się wybierałem w plener, czułem, jakbym dotykał wolności.

* Kilka lat malowałem techniką „pacyfik” stworzoną przez szkołę twórców amerykańskich. Wylewa się farby na płótno i rozprowadza szpachlą. To technika oparta na kontrastach, daje jakąś przestrzeń.

* Należy malować to, co czuję, nie to, co widzę. Trzeba „własne złoto” (a nie: słoneczne) rozlewać na płótnie, bo to wszystko jest w człowieku.

* Jestem malarzem Ziemi - tu tkwię, to mnie tworzy, ogranicza i zachwyca. To mój żywioł.

* Ja potrafię w śnieżyć malować. To nie jest głupi upór. Przy-

mus zanotowania tego, co czuję i widzę. Malowałem młyn w Bobrowej; kiedy zaczynałem, nie było śnieżycy. A obraz wyszedł bardzo dobrze, tylko od uderzania śniegowych łapci zostały takie nawarstwienia, rozchwiania - ciekawy efekt.

* Malowanie: adorowanie Boga farbami, które są w Nim i od Niego.

* A łódzie rybackie - w każdej wsi inne! W Bokinach - szerokie, krótkie; w Łupiance Starej - wąskie, długie. W Strękowej Górze jeszcze inne, a w Topiku, wsi białoruskiej - wąskie i jakieś mocno wywrotne. Po łodziach można było na rzece rozpoznać, skąd rybak płynie.

* Pociągają mnie duże przestrzenie. Czuję, że nawet w tamtym wymiarze zajrzałbym szybko tu-tam, dotarłbym do krańców i - poczuł się zawiedziony: Co, tylko tyle?...

Dzieciństwo

* Babcia była śliczną czarnulką. Ubierała się dostojnie: nosiła mnóstwo spódnic do ziemi, z mnóstwem krochmalonych halek z koronkami. Z boku, na tych spódnicach, zawsze widziałem różaniec. Przytrzymywała wnuka i mówiliśmy różaniec razem. Dwa „dziesiątki” wytrzymałem, potem uciekałem do chłopaków, ale Babcia miała silne ręce i nie puszczała. Cudowna, prawdziwa Babcia ze starego landszaftu.

* We wczesnym dzieciństwie ludzi starych w ogóle nie zauważałem. I nagle spostrzegłem starców: pomarszczonych, zgarbionych, krzywych.

- Co to? - pytam Mamę. - Kto to jest?

- Ludzie się starzeją.

- I co z nimi później się stanie?

- Muszą umrzeć.

- Dlaczego?! Aha - pomyślałem - pewnie zrobili dużo złych rzeczy. I to za karę.

Matka była zdumiona:

- Skąd ty to wiesz?

Wiedziałem „z siebie”. To było we mnie. Jak sumienie.

* Mama po przyjeździe do Białegostoku dwa miesiące płakała: „Ani drózek (do Kalwarii), ani kościołów jak tam, rzeka nie wiadomo, w którą stronę płynie; płasko, ani pagórka...” O wszystko miała do Białegostoku żal, że nie takie jak w Wilnie.

* Za końmi przepadałem. Ostrogi chodziłem czyścić żołnierzom do koszar; pozwalali za to posiedzieć w siodle. Wracałem do domu prawie z gorączką. Do dziś lubię zapach końskiego potu - jest w nim jakieś bezpieczeństwo, osłona... Potem, za okupacji, bolszewicy zgodzili się, żebym pojeździł na „łozadce”: wróciłem na koniu toczącym pianę, zgonionym. Za ostrogi służyły bosc pięty. Miałem może 13 lat.

* Byłem cały z patriotyzmu skonstruowany.

* Brak zrozumienia dla indywidualności ucznia, duża niesprawiedliwość - to przeświadczenie wyniosłem ze szkoły. I starałem się nigdy nie próbować zmieniać czyjegoś charakteru, ingerować jakimś przymusem.

* Nauczyciele jak gdyby nie wczuwali się w istotę życia ludzkiego - dziecko przecież też człowiek - trochę ich za to nie lubiłem, chociaż starałem się lubić. Nauczyciel to jak ksiądz - przede wszystkim ma rozumieć i pomagać.

* Nie przepadałem ani za polskim, ani za matematyką. Przyroda, historia, a najbardziej - geografia. To były ulubione przedmioty. Kochałem mapy; śledząc linię wybrzeży wyobrażałem sobie zatoczki, brzegi, do których chciałem się zawiązać, gdybym pływał po morzach. Marzyłem o podróżach.

O radości

* Tylu artystów ma tyle forsy, możliwości - a otaczają się murami, budują zamki, chowają się. Ja bym chodził z muzyką. Albo i z dwiema, greckimi, rzecz jasna. Radować się, jak Jezus uczy.

* Wśród wszystkich stworzeń tylko ptaki wyglądają na szczęśliwe.

Minione

* Inż. Pirzyc przyjeżdżał na konsultacje w Biurze Projektów. Projektował akustykę w szkole muzycznej, do projektu inż. arch. Drewnowskiej. Raz, idąc od dworca do biura, zobaczył mój pejzaż nadrzeczny w witrynie „Cezasu” przy Lipowej. (Kierownik sklepu, Lider-Lieder?, chętnie umieścił go na wystawie). Przez dwa lata, zawsze kiedy tu był, a był co miesiąc, kupował moje obrazy i sprzedawał w Warszawie. Widział w tym, jak sam mówił, dobry interes.

* Prof. Dobrzański z Krakowa, pamiętam, mówił: „Będziemy razem projektować witraże” (prowadził katedrę grafiki), zapalał się, więc chyba rzeczywiście chciał umożliwić mi studia, tylko potem nie mógł spełnić obietnicy.

* Wels prowadził w „okraglaku” przy Kilińskiego jakieś spotkania dla zdolnej plastycznie młodzieży. Zająrzałem tam kilka razy. Raz należało narysować sylwetkę chłopca lekko odchylonego od ściany, o którą się opierał. Popatrzył na mój rysunek, odciągnął mnie na bok: „Masz talent, chłopcze. Maluj zapamiętałe. Ja jeden temat maluję dziesięć razy i któryś obraz z tych dziesięciu bywa dobry - pierwszy, albo ostatni...” Malowanie go pochłaniało. Żył swoją sztuką. Bardzo mnie to ujęło i poczułem do niego dużą sympatię.

* W Liceum Budowlanym prof. Zimmermann (?), po krakowskiej ASP (uczył geometrii wykreślnej, rysunku technicznego i odręcznego), zobaczywszy w I klasie mój projekt obwoluty, kolumny greckiej, powiedział: „Przynieś rysunki. Masz talent. Tylko nie rozciągaj cieni na twarzy palcem - wydobywaj kreską”.

* Łotowski, zapytany przez ucznia o ocenę swojej pracy, odrzekł: „Całkiem niezłe, a im dalej, tym lepsze”. „Oho – pomyślałem – ostry facet. Wie, o czym mówi”. I za tamtą wypowiedź natychmiast go polubiłem.

* Jerzego Gadkowskiego, mistrza szermierki, poznałem właśnie u Welsa. Od razu zaproponował mi wystawę w „Jagiellonii”, w kawiarni, po lewej od hali sportowej. Właśnie tam moje prace kupił Pawłowski, polski mistrz fechtunku.

* Aleksander Wels - ogromnie ciekawy typ człowieka. Działal na mnie mobilizująco, nie tyle jako malarz, co wytrwałością w szukaniu własnej drogi; swoją postawą. Do Dzikich jechał z przytroczonym płótnem, farbami, krzeselkiem, termosem kawy... „Panie Aleksandrze, jak pan w plenerze - zimą?” „Wiesz, dziecińko - odpowiedział - biorę saneczki, leciutkie bardzo, walonki, trochę drewna...” To mi imponowało.

* Profesor Krieg z Krakowa po obejrzeniu moich obrazów powiedział na odchodnym „Profesor X pod względem koloru mógłby panu buty czyścić”. Było to w obecności jego asystenta.

Krieg wygrał wtedy (lata chyba 60.) ogólnopolski konkurs na rozwiązanie urbanistyczne „Białystok – Śródmieście”.

* Wiesio Bujnowski pochodził z Tykocina. W rodzinie miał malarza, Zycha-Bujnowskiego. Niezły. Malował dziwnie zbrudzonymi kolorami.

* Robiłem przeprojektowanie pałacu Bucholców w Supraślu na liceum plastyczne (chyba 52 r.), potem Chodkiewiczów - na muzeum.

* Malowałem w bramie pałacu Branickich.

- Doskonałe rysunki - podszedł do mnie jakiś mężczyzna. Przedstawił się. Był to prof. Dzierżykray-Rogański.

- Czy można przyjść postudiować nieboszczyków?

Zgodził się chętnie. Chodziłem ponad rok. Szkice anatomiczne mam do dzisiaj. Chciałem wystudiować układ ciała Chrystusa na krzyżu. Zupełnie wówczas nie myślałem o rzeźbieniu, ono przyszło znacznie później.

* Chodziłem prawie rok na zapasy (w budynku obecnego kina „Syrena”). Prowadził je słynny zapaśnik, Dąbrowski. We Francji występował jako Czarna Maską. Uczyłem się z jego synem i on mnie zwerbował na sparingi. Panowała tam atmosfera sportowej rywalizacji i trochę później do niej tęskniłem. Coś jak aura igrzysk – to było piękne. Ale Matka mi odradziła (miała rację!) i zerwałem z zapasami bezpowrotnie.

O puszczy

* Myśliwi, którzy przyjeżdżali do Izobów, pytali o mnie Starego („Stary”, „Dziadek”, „Wołodia” - robotnik leśny, niegdyś mieszkający w puszczy): „Jest Dziecioł - Dłubek?” Lubilem to. Celnie podchwycone. Dziadek miał siedem kotów, chodziły za nim z podniesionymi ogonami. Karmił je kaszanką, kładzioną na ganku. Ale ptaki były szybsze. Więc tak naprawdę karmił dziecioty i sójki, które - widziałem - koszącym lotem porywały zdobycz z ganku.

* Puszcza zaczęła się gdzieś od lat 70. Jeździłem najpierw warszawą, potem motorem. Latami zupełnie sam. Znajdowałem przepiękne zakamarki, rozstawiałem sztalugi i zapominałem o Bożym świecie. Później zacząłem rzeźbić.

* Drewno różni się najpierw zapachem. Każde pachnie inaczej. Taka brzoza - tatarakiem, szuwarami. Osika ma w sobie jakiś octowy zapach. A dąb - zapach chleba, bardzo piękny. Lipka jest cudna, nie ma wad. Drewno miękkie, łatwo pozwala się kształtować, potulnie poddaje się obróbce, no, a barwa - kremowobiała. Jak alabaster. Zapach stwarza nastrój, podniecie, jakoś wpływa na wybór tematu i formy.

O kobiecie

* W kobiecie są okruchy nieba.

* Mocno kochać - to jedyne wyjście z życiowej sytuacji!

* Kochać kobietę - to jak dotykać powietrza, takiego w puszczy brazylijskiej; taka jest obecność kobiety.

* Kochając kobietę zarazem kocha się Boga.

* To kobieta stwarza niebo. W kobiecie jest wszystko. Jest nieukończona.

O malarzach

* Najwyżej cenię Turnera, Constable'a, a najpierw - Gauguina. Za jego szeroką, kolorową plamę, prawdę i ciepło uczuć jego modeli, za podpatrzenie natury. I za charakter wolnego człowieka. Nawet brakiem forsy nie dał się zniewolić. Gauguin jest lepszym kolorystą niż van Gogh. Ten „punktował”, jak Signac. Za to punktowanie ich nie cierpię.

* Z polskich - nasz Brandt. Ma cudowne maźnięcia. W naszym muzeum jego wataha kozacka wsiadająca na koń - doskonałe malarstwo! Bezbłędne. W starożytnych tematach już nie było tego Brandta co w kozackiej watadze. Ale pazur jego był. Cenię go wyżej niż nawet Wyspiańskiego.

* Rembrandta kreskę to bym całował po kolei, tak po papierze, aż do końca. I to nie jest bałwochwalstwo.

A Wyspiański, chociaż przepiękne rzeczy stworzył, zniechęca mnie kolorystyką; on był trochę blaszany w kolorach, za zimny.

Malczewski w ogóle mi nie odpowiada. Mnie by Malczewski nie nauczył niczego, bo ja to wszystko odrzucam. Nie cierpię zgrzytliwej kolorystyki, którą ma np. „Śmierć” - doskonały obraz, bogaty w symbolikę, ale koloryt...

* Fałata, Chełmońskiego - bardzo cenię. Tylko w swoich zimach Fałat był za niebieski. Chełmoński - trochę za mglisty. Tak się widać wtedy malowało.

* Duda-Gracz ma talent, ogromny, ale odpada. Widziałem jego pejzaże; świetne, poprawne. A w tych potworkach ludzkich - jakby wyłaziła z niego jakaś choroba psychiczna świata.

* Roli Picassa czy znaczenia „Płonącej żyrafy” Salvadora Dali trudno nie dostrzec. Ale ci mnie nie pociągają. To malarstwo odbieram jako w pewnym sensie „martwe”, aż lodowate. Drętwość uczuć.

* Kocham wszystkich malarzy i uważam, że wszyscy są potrzebni. Bardzo. Bo każdy wnosi coś własnego. Kiedy jednak coś w dziełach albo u twórców nie odpowiada mi psychicznie, wówczas takiego malarstwa nie uznaję, a mam do tego subiektywne prawo.

* Nie cierpię realizmu. Czasem celowo deformuję perspektywę, skracam ją albo wydłużam formę. I operuję kolorem jak chcę.

* Realizm jest strasznie nieciekawy, bo powtarzanie czegośkolwiek nie jest procesem twórczym. Świadomie odrealniam.

* Jeżeli kontakt ze sztuką nie jest uzdrawiający, to w jakim celu taka sztuka istnieje?

W oczach kolekcjonerów

Józef Kretowicz, mgr inż. arch.

Pracowałem z Edwardem. Był pochłonięty malowaniem. Kłopotów natury finansowej mu nie brakowało... Bezkompromisowy człowiek.

Ma zupełnie własny sposób malowania. Przeglądając katalogi, oglądając wystawy, nie spotkałem czegoś jemu podobnego. Ciekawe, że jego prace są tak żywe, a zarazem spokojne, wbrew buntowniczej naturze twórcy (śmiech).

Żona:

Edward rzeźbi surowo i bardzo pięknie. Pomimo tej surowości twarze Madonn wyrażają tyle delikatnych uczuć. Rzeźbił nam szeroką (25 cm) ramę do lustra motywami hinduistycznymi.

Maluje grubą, zdecydowaną krechę, mocnymi kolorami. Wałący się, stary młyn w bielach, gamie brązów, żółciach; stare dorożki z intensywną czerwienią, błękitem - są piękne.

Michał Balasz, mgr inż. arch.

Nazywaliśmy go „białostocki Van Gogh”. Twórczość ognista, nerwowa. Wprawdzie sobie ucha nie odciął, ale bywał tego bliski (śmiech). Ogień - nie człowiek. Bogate wnętrze, żywiołowy, dużo ma z południowca: w temperamentcie, nagłym zapalaniu się, gwałtowności reagowania; nawet w sylwetce.

Najwcześniejsze rzeczy były najbardziej żywiołowe, i pod względem kolorystycznym, i techniki tworzenia, z pełnym rozmachem ręki i pędzla. Z latami przychodziło pewne uspokojenie, autokorekty. Przecież w drodze rozwoju mógł liczyć tylko na siebie. To, co w akademii studentom podaje się „na talerzu”, w jego pracach było wynikiem in-

stynktownych poszukiwań. Więc co osiągnął, to wyłącznie własne, niezmanierowane.

Pierwszym, który go zauważył i próbował wspierać w twórczości, był inż. Bukowski i jego żona - malarka, Placyda. Potem Wiesiek Bujnowski - był zachwycony i osobą, i malarstwem. Bardzo wysoko z zawodowców cenił go Szymaniuk, że ma polot, iskrę Bożą. Jako projektant budowli sakralnych stykałem się z Nowosielskim, Łabanowską, innymi (...), więc pewną skalę porównawczą mam. Malarstwo p. Jurszewicza cenię wysoko. A takiego jak on człowieka trudno nie lubić. Kiedy jeździł w plener, gdzieś do Bokin czy Dzikich, podobno motocykl rzucał w pędzie i już gnał do upatrzonego motywu, z rozwichrzoną potężną czupryną, no - sam żywioł. A płótno na sztaludze mogło być najdłużej 2 godziny. Inaczej mogła być połamana (śmiech).

Prawdziwa miłość do natury, malowania, życia. Otwarty na całe bogactwo rzeczywistości: dla niego pieczone w ognisku ziemniaki to były nie tylko one; dym, zapach ogniska, smak powietrza, nastrój - „łapał” wszystkie wymiary.

Kiedyś zrobiono eksperyment: malowali zawodowcy i on. Na czas. Jurszewicz już dawno skończył, oni ciągle malowali... W efekcie: jego praca była świeża w wyrazie, prawdziwa, tamte - jakieś „wymęczone”.

Jego obrazy rozpląnęły się po całym świecie. No, ale są i w Białymstoku. Spora grupa kolekcjonerów gromadziła - jak się wyraził nieżyjący już inż. Sitko, dyr. Wodociągów - „Edwardy”. Wymyślili to od imienia, którym sygnował niektóre prace.

Kiedyś (lata 60) p. Edward wykonał obraz do ołtarza dla kościoła, którego byłem projektantem w Mężeninie. Ogromne „Wniebowstąpienie”, chyba 3,5 x 2 m. Proboszcz popatrzył, zafrasował się nieco, jakby nie całkiem przekonany:

- Wie pan, ludzie lubią takie realistyczne. Chrystus jak Chrystus, ale te gęby w dole, jak jakichś bandziorów...

- A co - zaperzył się Artysta - myślicie, że wokół Jezusa w Jerozolimie byli wtedy aniołowie?! To były mroczne typy, rybacy, brodacze, nie mdła Europa!

Helena Markowska-Miakisz, mgr rolnictwa, bankowiec

Mieszkamy zaprzyjaźnieni z obrazami i rzeźbami pana Edwarda. Rzeźby potrafią godzić kontrasty, i to w drewnie, materiale często opornym albo kruchym. Nie lubię wygładzonych. Naturalne - więc piękne - są chropawe, mocno ciosane. Bo życie jest takie, popękane,

jak drewno w rzeźbie. Dlatego kocham bolesną Madonnę o pękniętej głęboko twarzy - jak serce ludzkie, czasem pękające z bólu.

Jan Priachim, dr med.

Lubię przyrodę, którą i artysta był pochłonięty; młyny wodne, które są wielkim wspomnieniem moich lat dziecińczych, a już ich prawie nie ma. Zostały w tych obrazach.

Żona:

Znamy go od 40 lat; widzieliśmy częste wyjazdy i powroty z pleneru, z obrazami. Fascynuje mnie w nich miłość do przyrody, jej siła i spokój. Najwięcej mamy grafik (niektóre posłałam córce do Anglii, chciała je mieć). Prace p. Edwarda przykuwają. Cała rodzina, wszyscy jesteśmy entuzjastami tej twórczości.

Urszula Idźkowska, studentka dziennikarstwa i filologii polskiej Uniwersytetu Warszawskiego w Warszawie

Ciemny, lekko pochylony, zadumany dziad wileński, a może stary pielgrzym podpierający się kosturem... Jego lubię najbardziej. Dlaczego? Otrzymał ducha prawdziwego wędrowania. Zdecydował się zatrzymać na dłużej właśnie u mnie. I nie jest martwym kawałkiem drewna czy jedną z pokojowych ozdób.

Maria Teresa Mnich, lek. med.

Aniołek

Przyfrunąłeś niespodziewanie. Twoje skrzydła były tak duże jak ty sam. Zaimponowałeś nam swoim uskrzydleniem. Jesteś wścibskim, słodkim aniołkiem. Zdaje się, że mam dobry pomysł. Zamienię mojego sfatygowanego Anioła Stróża na Ciebie, mój ty Żółto brzuszku i Złotołoczku. Jesteś bardzo śmieszny i dobrze, że pozostaniesz z nami.

Macierzyństwo i Modlitwa

W kawałku drewna dostrzegłam zarys smukłej postaci z pochyłą głową. A potem - duże kanciaste dłonie, które we wzruszającym geście tuliły Małeństwo w przydługiej chłopskiej koszulinie. „Macierzyństwo” - przemknęło mi przez głowę, a po chwili: „Modlitwa”. Niepieszczotliwe cięcia dłuta i siekierki, chropowatość i ostre zafalowania. Pierwsze wrażenie to dominująca nieproporcjonalność, a potem dostrzega się - zwiwną harmonię, delikatne otulenie, nierozłączność, troskę ale nie zmartwienie, miłość... Uwagę moją po-

nownie przyciągnęły duże, z delikatnymi palcami, dłonie... opiekuńcze i trochę zaborcze, mocne i pewne, pachnące żywicą i miodem. Chciałam, aby i mnie na chwilę objęły...

Baba

Można o niej powiedzieć śmiało „kawał baby”. Ale ja tak nie powiem. Moja baba... jaka jest? Trochę pyskata i słodkoustą, zadziorna i przymilna, sprytna i potulna, kokietka i trochę starocerkiewna. Zmrużyła oczka, przycisnęła mocniej koszyczek, lekko pochyliła się w moją stronę - przyglądamy się sobie. Podobne jesteśmy do siebie...

Czesław Dawdo, dr inż. arch.

Oboje z żoną jesteśmy zafascynowani tą twórczością. Ulubione tematy p. Edwarda - podlaskie, białostockie, wileńskie - są bliskie i nam. Dorożki, zimowe pejzaże zdobyły nas świeżością spojrzenia, odważnymi kolorami, pięknem żywym, żywiołem. Obrazy są świetne technicznie, chropowate, malowane także szpachlą, pewnymi pociągnięciami pędzla.

I to wspaniały człowiek. Znam go od 50 lat. Ma talent również pedagogiczny. Wiem, bo wnucze udzielał cennych wskazówek, a doświadczeniem dzielił się szczerze, z wielkim sercem.

Anna Mazanek, dr nauk humanistycznych, Uniwersytet Warszawski, Warszawa

Obrazy - to prawda uczuć i brawura działania. Twórczość nie ostentacyjna, lecz afirmująca. Nie ma w tym nic z chaosu i ani egotyzmu. To nie komentarz do świata, nie zwątpienie ani szyderstwo, ani obsesja, ani pustka. To malarstwo konsekwencji uczuć i celu. Krystaliczny indywidualizm. Jest w malarstwie p. Jurszewicza wyraźny przekaz: „Kochajcie świat. Zobaczcie, jaki jest piękny. Radujcie się nim. Zachwyćcie się jego pięknem. Dziękujcie za nie.”

A rzeźby? Są wyciszające. Im bardziej się w nie wpatrywać, zwłaszcza kiedy ma się je blisko siebie, każde zatrzymanie wzroku daje jakiś rodzaj wytchnienia. O autorze wiem, że jest człowiekiem emocjonalnie reagującym, więc pewnie proces jego tworzenia jest dynamiczny. Tymczasem efekt tej pracy jest zadziwiający: niesie spokój. Tworzywo jest potraktowane ostrymi cięciami, całość jest więc kanciasta. Te elementy winny prowadzić do surowości przekazu. A przekaz na etapie odbioru jest łagodny. W tym upatruję wielkość tworzącego.

Bo ludowe rzeźby zwykle są uładzone, ale bez duszy. Te rzeźby nie są bezosobowe, anemiczne, wygłaskane – a mimo to wyciszają myśli człowieka, który na nie patrzy.

Wanda Jóźwiak, ekonomista, Warszawa

Od rzeźb p. Jurszewicza w domu jest ciasno. Więcej niż dwadzieścia. Paradoksalnie, swoją obecnością otwierają serca; ciszą, która mówi, darowują przestrzeń ducha. Obrazów mamy, jak dotąd, siedem. Wolalabym mieć np. siedemnaście...

Justyna Godlewska, mgr, aktorka Teatru Dramatycznego w Białymstoku

Kocham moje dwa złote aniołki. Mają minki niewiniątek i „diabliki” w oczach. Trzeci jest z dębu: naburmuszony, jakby dostał klapsa od Madonny. A obrazom p. Edwarda przyglądam się zawsze z upodobaniem. Wciągają. Są ożywcze. Dobrze jest na nie patrzeć.

Wielki artysta - czemu taki ukryty?

Zbigniew Berger, dr med.

Przed laty nasze kontakty były częste i bliskie. Mam i obrazy, i rzeźby pana Edwarda. Dużo w nich życia, wielka ekspresja. Rozmach. Raczej nie bawił się w szczegóły, lecz to co tworzył ma w sobie mocny wyraz. Wspaniała kolorystyka.

Siostra żony, malarka mieszkająca w Warszawie, wyrażała się o jego pracach z uznaniem (pewne niedociągnięcia techniczne, np. co do perspektywy, dostrzegą, ale to sprawa braku możliwości studiowania).

Kiedyś, nie mając pieniędzy na farby, pan Edward kupił kilkanaście sporych pieńków i z każdego powstała inna Madonna. Uderzyło mnie, że twarz każdej była inna, nie było powtórzeń. Nie wiem, jakim sposobem to osiągał. Bardzo mi zaimponował.

Malował w dużych formatach i z tego względu, w obecnych warunkach, nie da się takich obrazów mieć wiele. Jego rzeczy są i u rodziny w Warszawie, i u znajomych. To oryginalna sztuka, w gruncie rzeczy niewiele w niej realizmu. Dominują myśli i odczucia, powiedziałbym – symbole, jakieś ukryte sensy. Miałem zamiar zrobić z nim jakiś program telewizyjny, w Warszawie, ale złożyło się inaczej niż zamieślałem. On jest wart nagłośnienia.







JÓZEF BUDZIŃSKI

* * *

Jak wezbrane potoki
przepływają obrazy
zimnych słów
zastygłych jak lawa

bezmowne skamieliną
nagłego wybuchu
zbyt natarczywie
dopominają się
życia

a ono stąpa
na przełaj
i osadza w pamięci
piach
i zadziwienie

* * *

dzień po dniu
zapisywany łapczywie
na ugorowisku

pozostaje szary
jak zapomniane kretowisko

* * *

żyć nie można
zapisując na brudno
dzień po dniu

niechaj pozostaną po nas
czyste kartki
starzejące się
żółknącymi stronami

KAMIL DĄBROWSKI

Ambient

Dworzec w Kłodzku.
Pogłos w jego wnętrzu
przypomina ten z kościoła.
Dyskretnie szturcham Gosię -
- „Ściszy głosy”.
Porozumiewamy się teraz niczym ryby.
Brakuje nam tylko bąbelków z powietrzem,
a raczej chmurek z napisami. Tymi ważnymi
i tymi „co ślina przyniesie...”.
Jak w komiksie.

Ambient 2

Szmary w tramwaju.
Odległości dzielące szmary
rozchodzą się równomiernie
po liniach trakcyjnych.
Szmary w metrze.
Kształty pomiędzy szmerami
permanentnie zmieniają się
w zależności od mijanej stacji.
Szmary w taksówce.
Jednoczesne miarowe
tykanie taksometru
i skrzypienie tylnego siedzenia.

SŁAWEK REZANOW

Pełnia

przez szpary w okiennicy
księżyc zagląda bez pukania
taki blady i niezdrowszy (ci noktambulicy)
wszystko od niewyspania

przysiadł na kominie
czoło chmurką ociera
bije zegar czas płynie
pora mu się zbierać

odchodzi niespiesznie
świecąc sobie w mroku
gwiazdy podrygując ucieszenie
pierzchają z widoku

Wielkanocne remanenty

na białym obrusie
młody owies skubie baranek bułany
w polu śnieżek prószy
na skowronki bociany

chmura opasła spóźniona
nie nadąży gonitwy
w okienku uchylonym
rąbek nieba błękitny

słońce ciekawskie wygląda
beztrosko roześmiane
uśmiech otuchy doda
serduszkom skołatany

TOMASZ HUSKY

Szary blask

Im dalej na północny-wschód tym śniegi coraz szersze
I płasko i daleko aż do ściany lasu

Rude drogi cierpliwe a rozdroża święte
Bo krzyże nie kłamią stojąc tam gdzie trzeba

Jak ręce drzewa zastygły w paraliżu zimna
Obrabowane dyskretnie z biżuterii liści

Bug i Narew pilnują swoich pełnych koryt
Czołgając się cicho pod nogami mostów

Daleko sylwetki człowieka i psa

I tylko dymy i wrony unoszą się ponad wszystkim
Na mgielnej zasłonie nieba
Dalekiej i spokojnej jak twarze
Które miłość otacza takim samym blaskiem

Krótki kurs samoobrony

Zasłoń wiatr firanką albo welonem
Serce zakryj ręką
Głowę osłoń ramieniem

Musisz się przecież jakoś bronić

JOANNA PISARSKA

Ziemia Święta

ikona ikon
ogarniająca swym pięknem pielgrzyma
od pierwszej chwili
gdy tylko się z nią zetknie

księga ksiąg
stworzona z miłością
odkrywająca strona po stronie
czułość i cierpliwość Boga

spotkanie z Obecny
w misterium
ósmego sakramentu

Nazaret

w hałaśliwym Nazarecie
co rozsiadł się wokół studni
białymi domkami
znalazła się cisza w sercu
by pierwiej jeszcze niż łono
mogło nosić Chrystusa



MARCIN SILWANOW

* * *

Samotni w otchłaniach wieczystych
raz piekła, raz nieba sięgają
w szamańskim transowym tańcu
więcej niż wy dostrzegają

Ale są też zwyczajnie bezsilni
jak śmieć w kącie rzucony
niemowlę zostawione na bruku
ich los jest przeznaczony

Proroków szczęśliwych światów
nowo ustanowionych świętych
wszystkich na równi traktują
w jednym pokoju zamkniętych

Czy to jeszcze są ludzie?
ci chodzący korytarzem
może widzą prawdę
która wam się nie ukaże.

Jesteśmy sami

Kochankowie tułają się do siebie
kwiaty wyrosły na grobie
aniołowie włóczą się po niebie
wciąż zapominamy o sobie

Jesteśmy sami na ziemi
nasze cienie tańczą parami
w ostatniej chwili osamotnieni
niebo splamione gwiazdami

W strachu zamykam oczy
i Tobie zabraniam otwierać
ofiary złożymy dziś w nocy
nie musimy dla siebie umierać

KATARZYNA KLEBUS

śniadanie

na śniadanie
zmiętych wierszy niewiele
pół szklanki

przeszłość usłużna
napęłni głuchym echem
słoiczek po musztardzie

przyszłość niepokorna
upija się w kącie

widział ktoś terazniejszość
komu
dziś ością w gardle
solą w oku

kto ma jeszcze siłę
odkleić łokcie
od brudnego stołu

komu czas się dotąd
nie przeterminował

„Oda do młodości”

cuchnąca poczekalnia
wschodniego dworca życia

bezpłodne czuwanie
wypisywanie zdrowia
na kaflach lat

w oczekiwaniu
na pośpieszny
pociąg wytęsknionej śmierci

na zachód

MONIKA BOROWIK

* * *

dotykasz mego cienia
dotknij Panie światła
skupionego w ciele
jak w skruszonym szkle
i usiądź obok mnie - Panie

a ja niech siłą
co oczy zamyka
zobaczę świat
tylko Twojej twarzy

i niech rozbiję
każdą stronę siebie

i niech złożę

* * *

Wilgoć sięga najgłębszych miejsc
i cienie porastają wonne trawy
lepkie od słów powietrze zbiera Blask
składa na twarz tworząc kołysankę
pękają usta jak moc natury w zapachu mięty (*Mentha piperita*)
wiatr przynosi drobiazgi słodkawe i gęste
ze smugą bieli w nabrzmiałym środku
miętko kapiące z warg jak odkryte w mroku
łagodne frazy

w oczy i czuły na muśnięcie kark
wplata się brzask

JANUSZ PALIWODA

Na Wielki Post

mówią, że
podobny jestem Chrystusowi
z długich włosów
powłóczystych szat
i czterdziestu dni na pustyni
a czy widzieli
mnie – pacholę wśród mędrców świątyni
na skroni mej czy dojrzeli
cierniowy wieniec
a może
wzdłuż krzyżowej drogi wzniesli
czy ktokolwiek
usłyszał z ust mych
„Eli, Eli lama sabachtani”

* * *

poeci są jak dzieci
chcą mieć
najlepsze zabawki
i zdobywać pierwsze miejsca
we wszystkich konkursach

poeci są jak dzieci
nie lubią przegrywać
i dzielić się z innymi czekoladą

poeci są jak dzieci
uwielbiają
głaskanie po głowie
a gdy nie dostają tego czego chcą
wrzeszczą
gryzą
tupią
i chowają się do szafy

poeci są jak dzieci
wierzą we wszystkie bajki
a potem
zmyślają
zmyślają
zmyślają

URSZULA KITLASZ

Drzwi

Szamoczę się w ciemnym pokoju
jak w pułapce. Nie ma w tym nic z magii,
nic ze snu. To strach, pętla na nogach,
nie pozwala nawet drgnąć. W głowie
jedna myśl – uciekać – ale pętla...
Zamykam uszy dłońmi, dobrze, że dłonie
mam wolne. Nie chcę słyszeć deszczu.
Kropla za kroplą tworzą rytm niesamowity,
myślę w tym rytmie stukających
w parapet paluszków u-cie-kać, u-cie-kać...
Zmuszona ciemnością z całej siły otwieram
oczy, wokół tyle dróg ucieczki, ale pętla.
Więc krzyczę głośno, a ręce obejmują
bezzadną głowę, krztuszę się oddechem,
w końcu zrywam się i biegnę, biegnę
wolna, tam gdzie otwarte drzwi,
na deszcz, na śnieg, na zawsze.

URSZULA DYMNICKA

* * *

Tamtego dnia biegłam
długo nie wiedząc jeszcze
że twój wiatr za chwilę
pochwyci mnie dogoni

że zamknie w nas zeszlę
konary sprzeciwi się zaskoczy
patrzyłam na beztroskę
płocze zapomnienie

wydawałam się
tak drobną jak co dzień
zatapiałam odmetry
wtedy jeszcze miałam

w sobie tyle oczarowania
tyle jaskrawych blasków
dostojne gałązki owiewały
moje stopy mogłeś mnie

zdmuchnąć razem z poranną
bryzą pamiętam pokazałam ci
drogę przez rzęsy
do źrenicy całej mnie

tamtego dnia zbudowałeś
twierdzę obronną
dekalog by ukołysać moją twarz
i ukryć głęboko we łzach

Lato

Klucz dzikich gęsi
ostatnie ślady
po spadających kasztanach
promienie
giną w czerwonych liściach

w zasuszonych kłosach
drzemie sierpień

żdźbła
we włosach

to cicho stąpa
jesień

liście
klony
łódki na wodzie
w cieniu
spękanych drzew

* * *

pod słomianą
strzechą
jego jasnych włosów
trzepot maków
pośród żyta
chaber uśmiechnął się
skromnie

EDYTA POSKROBKO

Poeme

Spłyn na mnie złotym deszczem
otocz upojeniem
dni na kołowrotku w złote pasmo zamień

noc przeistocz w jedwab
cienki i powabny
co się nóg moich pochylonych trzyma

bądź mi jak muzyka
Bacha, Beethovena
co marzenia moje w rzeczywistość zmienia

trwa w przestrzeni
trwa w czasie
wielka i wspaniała

Obejmij mnie ramieniem
taka jestem mała

*** * ***

Jego dotyk to wiatr
to krople deszczu płynące po twarzy
to uśmiech śpiącego dziecka
wtulającego ufnie swoją radość
w każde dorosłe kolana
Jego dotyk to szum traw
grających na złotych strunach słońca
to ciepły uśmiech babiego lata
szukającego drogi do szczęścia
Jego dotyk – chwila tak piękna
że aż nieuchwytna

RYSZARD KONDRATOWICZ

Stało się

Wielki zegar wspólne dziedzictwo czasu
wilkołaków, sromoty, agentów diabła,
prezydentów, hazardzistów, tchórzy,
śmieci ludzkich,
wspólne ja mieszkające na obłym kształcie
ambicji,
świętokradztwa,
przekleństwa,
w ogniu zasad jedności
przez siebie promowanych do łaski bożej,
o której nie wie nic
w linii prostej kulminujące nie skądinąd
także po mistrzowsku zamieszkujące między dziejami
nie całkiem wieczne
i nie całkiem zmierzone
i oddane w dziedzictwie sobie
stało się nie inne.
W grze na zwłokę.

AGNIESZKA BOJARSKA

Łodyżka w wodzie

Wzrastając wśród bólu i zakłamania,
Powiedział mi kiedyś,
Że będzie mi lepiej.
Chciałam uwierzyć w jego nadzieję.

Bawiąc się słowami,
Ułożyliśmy własną sagę.
Zajęła nam kilka chwil życia.

Włożyłam ułamaną łodyżkę
Do słoika z wodą.
Chciałam, by wypuściła korzonki.
Nie urosła mi mandarynka.
Może urośnie mi kwiat?

A nasza saga ciągle trwa.
Lecz ja już nie potrafię pisać
O kimś, kogo nie ma.

Zamknęłam książkę.
Wiersz się skończył.

A przede mną stoi
Moja łodyżka w słoiku z wodą.

MAJA KOWALEWSKA

W Wielki Piątek

czy słyszysz
nie schodź jeszcze
proszę zostań tak
bardziej ludzki
bo śmiertelny
w bezsilnym geście
zastygły
nie zraniłeś tym cierniem
nikogo więc nikt
nie przejął bólu
pozwól popatrzeć
jak dokonuje się Zbawienie

HANNA SKOWROŃSKA

* * *

Gdy już dorosnę do świadomości
Że nie ma sensu i zamknięte w krąg
Wszystko – płatki, przeciki, cały świat...
Chcę nie być, zamknąć oczy i ręce
Albo chcę wierzyć, że nie jestem tam –
Sama, pozbawiona sensu, siebie,
Pusta w pustym świecie jednobarwnym

I znów się zastanawiam czy jest coś
Prawdziwego, jak tańczenie burzy
Lub muzyka świerszcza, wszystko obce,
Nie nasze, nie dla nas, zbyt daleko
I teraz już wiem – nic prawdziwego
Nawet śmierć nie istnieje, jak życie
Którego nie było – udawane.

ROMAN ZASOWSKI

* * *

zawsze chciałem napisać wiersz
uwalniający cię od smutku

pomyśl o tym
i złóż z tej kartki
papierowy samolot

bagna

ogród posunął się w latach
nad grząską przestrzeń
jeszcze obsycha po potopie

na bagnach wolniej
przechadza się powiew
jakby osłaniał tajemnicę

* * *

próbuję opisać przerwę
między słowem

niewidoczne ręce
kradną każdą puentę

DENIS TRUSOW

tłumaczenie Jan Leończuk

Druga próba

Rozmieszczałem reklamstwo, miłośnię układałem w różową pościel SLOGANS i nuciłem im na dobranoc, do poduszki, czułe JINGLES. Potem cichutko opuszczałem je i włączyłem się w nocy – tam i tu, prawdopodobnie już wtedy spotykając cię. Czasami byłaś maleńką śmiałą kotką, czasami oparciem mostu oraz Bóg wie czym jeszcze. Nie miałem twarzy, to się nie oplaca – mieć twarz, gdy jest taka noc. Nie miałem twarzy i tym bardziej nigdy nie rozumiałem, dlaczego ty rysujesz na tej swej różowej bryle oczy, usta, nosy; ty, która popisujesz się przed lusterkim – po co ci te włosy i szyja?

Już ci mówiłem, że nam to zupełnie niepotrzebne. Odpowiadałaś: Tak, rzeczywiście, to wszystko nie jest przeznaczone dla nas. I wtedy wymalowana bryła rechotała przymierzając ten lub inny SAMPLE śmiechu.

Rozstawałem się z tobą i siedłem – z pustką w duszy, zubożały po pustych ulicach, zawsze na zachód, żeby się nie zabłąkać. Omijałem fosforyzujące w ciemności wysypiska śmieci, omijałem martwotne archipelagi olbrzymich wielopiętrowek, omijałem, żeby w końcu, stojąc przed mostem, bez obaw zrobić pierwszy zdecydowany krok.

Sprawdzian

Już nieznane statki nieruchomieją pośród laguny, lecz my zbyt późno rozumiemy, że one wszystkie – to „Latające Holendry”. Rozumiemy, będąc już tak daleko od brzegu, tak daleko. Trzepocząc się bezładnie w wodzie, w której wszystkie ruchy są z płynnego szkła, przezroczystego miodu, chcemy odroczyć ten moment, gdy z pokładu uśmiechną się do nas szkielety i wpadną w wodę wianki. Oczekiwanie i sztyl, stosy czasów i kilometry bezczynności, litry spokojnych, marzących o naprężeniu mięśni.

Tak niechże przemknie nad ta wodną taflą zdarzenie, mogące poruszyć nas do samego dna żrenic, żeby zaświerzbiali ramiona, ręce rozhuśtały się, wchłonęły się usta i zadymił mózg, a my rzuciwszy się

do luster, byśmy siebie tam nie zastali.

I poszło, i ruszyło, tak że ty sam siebie nie pamiętasz. I półżywi uchodźcy – myśli chorym krwioplującym tłumem wwałą się do przedpokoju twego rozumu, familiarnie całując i ściskając ciebie całego. Zabrudziwszy ściany poplamionymi smarem kufajkami, oni wejdą i do pokoju gościnnego. Cały wieczór będą zadziwiać cię swoimi opowieściami i kiedy zaczną się żegnać, tykać cię, pociągając nosem i smarując w ubrania wiszące w przedpokoju, ty, rozbrojony, powiesz:

- Niech to diabli, a czemu nie?

I oni nagle przepadną, jakby ich nigdy nie było. Pomyślisz więc, że Ktoś – Chytry – znów zakpił z ciebie. Wrócisz do gościnnego i będziesz dotykać filiżanek, z których oni pili, krzesel, na których siedzieli, i mówić sobie:

- Nie, oni tu byli rzeczywiście, autentycznie, osobiście...

I Ktoś – Chytry powie:

- Może być i tak, ale czy ty...?

I wtedy zrozumiesz, że to nic innego, jak jeszcze jeden sprawdzian.

Wierszyk

My wszyscy mamy drogę swoją
W pustyniach jednoosobowych.
I każdy sobie jest Mojżeszem,
I każdy sobie – Susaninem*.

* Iwan Susanin, chłop, który w wojnie 1812 r. na żądanie żołnierzy napoleońskich, aby wskazał, gdzie ukrywają się wrogowie – poprowadził w bagna, w których ginął razem z najeźdźcą.

„Dla tych, którzy nie śpią”

Zakręty wijących się rzek w tym kraju; on płynął w bystrej, chłodnej wodzie, z dala od sensów i werbalnej niewoli, sam, zachwycając sam, inaczej być nie mogło. Padały deszcze, wstawały nad łąkami młode i dobrotliwe tęcze. Płynęły obłoki, on śmiał się, zaokrąglając się księżyc i płonęło słońce. Dni i noce, rzeki i strumienie, przezroczyście, dążące, w kosmosie bezkresnych i bezduszych.

Eklatka, Eklatka!

tropizmom N. Sarrot'a poświęcam

Można długo myśleć nad sensem słowa „eklektyka”, łykając jego klekoczące fonetyczne wcielenia i mimo bólu zęba chichotać, a o świcie znów odnaleźć pod oknem wianek z mleczów i cztery śnieżnobiałe pióra.

W listopadzie lub wrześniu powrócą mrozy i będą szczypać za nos, długie noce będą wykręcać ręce i gdzieś w głębi monolitycznych poniedziałków, w warstwach ciszy zjawia się w notesiku kilka linijek, wtedy będzie się zdawało, że klatka jest otwarta i ty znów jesteś na wolności i wszystko jest proste, zdecydowane, wieczne, fundamentalne!

Zamknięty w E-klatce, w ramach swojej tępoty, w ścianach urojonej ulewy rozmaitych „ja” – od poniedziałku do poniedziałku rozpoczynając nowe życie, dopasowując swoje przyzwyczajenia do faz księżyca i dalej, i więcej, dłużej, szybciej, jeszcze, jeszcze – bieg w prześcieradłach. Ciebie nie ma. Ciebie nie ma, dlatego że nie ma i mnie.

Młoteczkiem po kolanku.

- Doktorze, jaki dzisiaj dzień?

- Poniedziałek.

- Co, znowu...? Ile można?!

Dwa zera płakały i pocieszały się wzajemnie, potem uprawiały miłość, potem znowu płakały, zera – obywatel E-klatki...

Drgnę dwukrotnie i zastygnę na zawsze.

Torf. Proch. Nic.

Gdzie wtedy będziesz ty, miła?

„Kundalini samotnego narciarza”

dla Georgija Iwanowa

On pamięta jeszcze rdzawe lato i piasek na zębach, i ciepłą wódkę, i ogórki i to, jak ona wila się pod nim i pachniało orzechami i komary... i kometa...

Teraz – śnieg, noc i las zupełnie nie do poznania. Znów ta gorączka, tak chce jej i to wydaje mu się przerażające, dlatego że już nie widzi tak, jak widział wcześniej, a ją można zobaczyć tylko tak, jak on patrzył wtedy.

Przypieszczając bieg, myśli, że oni i tak byli niepotrzebnym, obojętnym medium lata. Ta myśl prawie go uspokaja. Nie na długo.

Śnieg poskrzypuje pod nartami, czernieją sosny, czerwienieje lęk w jego głowie. Waha się biały trójkąt twarzy. Wszystko jasne. Nic nie jest jasne. W zaspach ukazują się rysy jej twarzy, kontury ciała – on chwyta garściami śnieg i je, i śmieje się w desperacji i z bezsilności. Śnieg – piekąca, pożądana, gorąca magma niespodziewanie rozpuszcza się w krtani. Obok, znowu obok. Spluwa, stojąc na czworaka, a sosny zaklinają: „Śpij, śpij, niespokojny, połóż się, tu jest miękko, cz-cz-czekaj, połóż-ż-ż się, ś-ś-śpij!”.

Kosmos i przytulny budzik na szafce w jej sypialni. Ból w skroniach i słaba nadzieja. On żegna ją w wirujące węgielne wody, źródlane głębiny, strumienne jary. – Weź mnie za rękę, miły. Ocknąwszy się widzi, że ściska w rękę świerkową gałązkę.

„Koszty niskiej samooceny”

Nadchodzi ta albo inna pora, ty tak czy inaczej – tu lub tam – to tak, to siak i ...

I ty już nie jesteś tym, kim byłeś, trzymając brzegi sukienki, biegniesz za pociągami. I rozbijasz twarz o podkłady kolejowe. I... kto nam teraz pomoże czekać? I ty już nie jesteś ta sama, drapiąc brzuszek, z cygarem w zębach rysujesz palcem na mokrej szybie. I płoniesz ze wstydu widząc czyjeś lśniące sadelkiem samouwielbienia regały z książkami wypełnione TOBĄ. I... i doktor spojrzy ci w oczy i zacznie mówić o leczniczej jednolitości, ale ty już nie jesteś tym, kim byłeś i spuściwszy majteczki posmutniejesz. A oni parskną śmiechem i przetrąca ci nogi, jesteś ranna i ... I ja kotłuję w tym sercu już od dzieciństwa, ale czegoś takiego jeszcze nie widziałem. I nie jestem już tym, kim byłem. I Marta nie złapie już w fartuch słonecznego zajaczka i nie zasuszy go. A kleszcz powie: „To albo to – wybieraj”. I może podstępem wyłudzić od chleba igrzyska?! I leżąc pod obrzydłym, nudnym mężem, myśleć o dobrych. I dobrzy się zjawią koło trzeciej, oni zrobią wszystko szybko i zrobi się przykro.

I – znów za pociągami, zrywając w biegu gwiazdeczkę szeryfa i polarną kropeczkę, zostawiając w trawie i gałęziach swoje włosy, szukać dobrych. I, nie znajdując wziąć po równo brunetów i blondynek i napłodzić figur szachowych lalkarzom ku uciechu.

I ona nie jest już tą, co przedtem, byleby tylko dożyła do ciepła.

I szowiniści przegapią powód oburzenia i inkwizycja będzie sądzić na międzynarodowych meczach i wymknie się z getta, ku radości Schindlera, sprytny Einstein.

I dobrzy postawią na swoich regałach kolejną książkę, a ty zapłaczesz niewypisanym atramentem, zawyjesz z samotności wygnanymi ze światowej literatury samogłoskami.

Nikt nigdy nie dowie się o tobie.

I?



IIRI STANEK

tłumaczenie Wilhelm Przeczek

Dla Jaroslava Seiferta

I
Że się robi późno? Wiem.
Przed obrazem mariańskim
na frontowej ścianie domu obok Mostu
Karola już zapalili czerwone światelko
I wachlarze jerzyków się poukładały
w swoich gniazdach na poddaszu

Przychodzi noc wsparta na lasce
Na Kampě przejeżdża się w dyliżansie
rokokowy wiatr, żeby rozrzuć
nad głowami samotnych przechodniów
confetti gwiazd do cichej aureoli,
podobne do tych, które nad głową Jana Nepomucena.

Także nad twoją głową płyną teraz srebra.

II
Praga na progu października:
pucołowaty Petřín jest pozłacany
i liść, chwiejny jak ważki
Misonierego, opada w końcu na błoto
drózek, gdzie w półcieniach
całują się siedemnastoletni kochankowie.
Pan zna te białe malunki Mařatki,
widziałem je i przypomniały mi pana
i to, że tylko miłość jest wieczna
i że tylko dla niej warto żyć
a także dla miłości do poezji...

III

Dom pana Tycho de Brahe,
Przykopa Jelenia z pośpieszną wodą
tylko strugi potoku, gołębie – kameloci
roznoszą po dachówkach strzech
szare zwyczajne codzienne wiadomości
z domieszką klaszczących skrzydeł renesansu
chmur i słońc, które zachodzą; wierzę
że go pan zna, ze sliweneckiego marmuru
w środku pancerza, mówiącego z globusa,
że spotykamy się i pozdrawiamy winem
z Mėlnika cichej starości, kiedy pierwsza gwiazda
tańczy według rytmu Corellego...

IV

Śpią cicho i spokojnie,
wąskie trzewiki gotyku
w grzywie lwa z białej opoki
i tu nagle otwierają się drzwiczki
okute rdzą żelaza i chłopiec
ministrant hušta w srebrnej kadzielnicy ruch
i organy burzliwe wysoko chórem.

Śpią cicho i spokojnie,
a przecież kiedyś dawno śnili
o swoim królestwie, pomnażanym przez urodę.
Siedz w ławce, nagle serce nagie, rozchwane przecuciem
przyszłości.
Myśli pan o niej, o sobie nie.

V

Czy to już w moll, czy w dur,
jest tu muzyka. W dylizansie
z ozdobnikami przejedzie niespodziewanie
wokół za białymi sześciorami w zaprzęgu
i pan uświadomi sobie, że to oblicze

pod peruką z gołębi pan zna, że to
uśmiecha się Mozart, przejeżdżający
od Bertramki z powrotem do Wiednia, żeby
sobie skomponować Requiem w korytarzu strachu,
że nie będzie mógł dotrzymać słowa...
W tym jednak momencie się uśmiecha
tylko dla niej warto było żyć.
Przecież i tak pozostała z nami...

VI

W jaki sposób o tym wszystkim pisać?
Myślałem o panu, a tymczasem
w ogrodach już dojrzewały
letnie jabłka i sierpień, naklejacz plakatów,
przechodził przez miasto od Zižkova
w dół, w kierunku rzeki.

Wszystko było melancholicznym przepływem
czasu, wody, krzykiem
jerzyków i latarni, które minęły.

Wiem, że jak do tej pory jestem młody,
ale bywają chwile, które nie powrócą,
i to jest właśnie życie.

Życie, przez które przechodzimy,
w poszukiwaniu słów dla innych.
Myślę, że stale jesteśmy ich godni.
Nawet mimo tej pogardy, chwilkowej.

JEWHENIJA ŻABINŠKA

tłumaczenie Jan Leończuk

Kiedy przychodzi cisza
i sen całą ziemię kołysze
w swoich objęciach
nade mną krąży obłok nadziei
i ktoś cichutko szepcze
- Nigdy ciebie nie zapomnę

Przytul mnie
niechaj raz jeszcze
odsłonią się przestrzenie wiary
między twoimi dłońmi
niechaj raz jeszcze
w ludziach zajaśnieje dobro
niechaj zapomnę
że ich świat
nie jest moim
że ich świat nie jest ich
przytul mnie
już nie będę
bać się życia

VI 1986

Mój zasmucony dzień
pyta smutną noc
„Dlaczego takim smutkiem
napelnione jej oczy?”
ale ona milczy

1986

Ukraina

Nawołuje mnie
matczynymi słowami
wabi odblaskiem kopuł
haftowana czerwono-czarnym krzyżykiem

II 1987

Modlitwa

Przyjmij moje milczenie
wybacz kiedy brakło mi wiary
teraz milczę
zgodnie z Tobą
„proszę”
zbyt wiele
„dziękuję”
zbyt mało

IV 1987



TADEJ KARABOWYCZ

tłumaczenie Jan Leończuk

Kaczeńce

s. Urszuli Michalak

zakwitły kaczeńce na Bubnowie
zakochane w wiosennym słońcu

świeciły się jak latarnie morskie
wskazując drogę wracającym żurawiom

wyśpiewując Zmartwychwstałemu Panu
zwycięstwo nad śmiercią przedwieczną

by nad otwartym grobem zimy
wiatr owiewał życie

Oddalenie

z oddali pisaliśmy listy do siebie
w dzień i w nocy

z utęsknieniem czekaliśmy na słowa
dotykające miłości

ciałami przytuleni
poznawaliśmy zapach potu i pożądania

Rzeko moja

rzeko moja przepływająca przez noc
wspomnij mnie w świetlistej toni

obmyj mnie z zapomnienia
darując życie

w twoim chłodnym wnętrzu
daj odnaleźć istnienie

Omdleni

leżeliśmy omdleni w sobie
i pod sobą

a jabłka dojrzewały w Przemienieniu
i jak orzechy łuskały się zbyt łatwo

Rozmarzeni

jak dobrze ustami odnajdywać siebie
nie myśląc o uchylonym oknie

zniewoleni tęsknotą odpoczywać
by krew wyciszała się w naszych żyłach jak strumień

byliśmy bezbronni i nadzy a Pan Bóg
patrzył przez uchylone okno

i twoje włosy przytuliły się do moich ust
światłem komety

„Cerkiew w Holi” Włodzimierza Łobody

w rozświetlonych oknach
dogasa modlitwa

i prośby zmyte deszczem
ktoś zamyka na klucz

i trawy wydeptane
dotyka ulewą

jak pieczęci
w starych księgach

Ewangelii



JURIJ HAWRYLUK

tłumaczenie Jan Leończuk

Szewczenko

Spływają słowa z pióra
Przelewając się
Przez białe brzegi stron.
Przez jubileuszowe wydania
w twardych oprawach

4.10.1985

trwało to tylko moment
czyż za mało
aby zrozumieć szczęście

3.12.1985

Moje serce
zaorane pole
wpadło ziarno
zazieleniła się miłość
Znaleźliśmy pod nią
swoje miejsce

21.12.1985

Poznanwanie świtu
czy wylewanie łez
Sam już nie wiesz kiedy i za co
wbiją nóż w plecy

8.01.1986

Zagryzam wargi do krwi
ślone zlizuję krople
czerwone
Czyż to jest smak mojej miłości

16.08.1987

Czekałaś
I ja milczałem
Myślałaś
żem w gniewie
A ja nie wiedziałem
I tak szybko jesieni
zaczęły opadać liście

16.08.1987

Spalamy się jak świeca
na twoim ołtarzu
Widzieliście kiedy ołtarz
na którym świece płonące
i krople spływającej krwi

02.05.1988





Jakubowe anioły

Jakub rzeźbi w drewnie anioły. Tylko anioły. Ksiądz nie chce ich wziąć do kościoła. Nie kupują ich na odpustach. Wszystko dlatego, że jakubowe anioły nie są zbyt piękne. Mają twarze i sylwetki tutejszych wiejskich ludzi, ich małe ułomności, fizyczne wady. Jakub mówi, że tylko taki, trochę ziemski anioł potrafi zrozumieć człowieka. Tamte, kościelne, prześliczne i wyniosłe, zbyt są dalekie od codziennych człowieczych trosk. Onieśmielają. Patrząc na nie każdy widzi swoją małość i gorszość. A tak nie powinno być.

Pierwszy jakubowy anioł jest wiotki i zgrabny, z potarganymi blond włosami, wyłożonymi specjalną farbą. Całkiem jak Mikułowa Halszka. I jak ona ma w oczach jakiś niepokój czy lęk. Anioł - Halszka biegnie, widać to w falującym ruchu rzeźbionej szaty. Dziwny jest. Halszka też jest dziwna. Nie z tej ziemi. Mówi wierszem, zamyśla się nagle i odchodzi wpół słowa, gestykulując nieskładnie albo nucąc pod nosem. Ludzie szepczą, że ma "nie po kolei" w głowie, ale co oni wiedzą. Przecież nie doktory.

Drugi anioł jakubowy podobny jest do młodego Mirona, który stracił w sieczkarni prawą dłoń. Nie załamał się jednak, zaparł w sobie i tak wyćwiczył lewą rękę, że teraz wszystko nią robi przy gospodarce. Lepiej niż inni, co mają obie. Do tego pogodny jest, ludziom życzliwy, łagodny. Miło z nim pogadać, robi się jakoś lżej na duszy. No więc ten anioł Jakuba ma mironową dobrą twarz i okaleczone ramię, bez dłoni. Widać wyraźnie. I tak ma być.

A znowu trzeci anioł to wykapana ciotka Malwina, puciołowata, szeroko roześmiana, pokaźnej tuszy. Ledwie mieści się w faldzystych anielskich szatach. Do obfitej piersi tuli wielki bochen chleba. Chleb wyrzeźbił Jakub dlatego, że ciotka serdecznie karmi nim wszystkich, którzy do niej przychodzą. Kroi grubaśne pajdy i także grubo, szczerdnie smaruje marmoladą z agrestu, którego ma pół ogrodu.

Czwartego anioła Jakub wymyślił na wzór i podobieństwo pszczelarza Teodora. Ma na twarzy chroniącą przed użądleniami maskę - zasłonę, trzyma ramę z ula, pełną wosku i miodu. A na ramie siedzą małe pszczoły, misternie odrobione w drewnie, jak żywe. Chudy jest anioł Teodor. Istna szczapa. Bo taką właśnie chudością wyróżnia się pszczelarz spośród innych wiejskich ludzi.

Zastanawia się Jakub, czy ksiądz dobrodziej nie pogniewał się na niego za jednego anioła, który jak raz do księdza jest podobny. Licho podkuśło Jakuba, żeby takiego wyrzeźbić. Chociaż, z drugiej strony, całkiem przystojny anioł, postawny. Tyle, że trochę zezuje rozbieżnie. Ruscy powiadają: "Odin głąz na Kaukaz, wtoroj na Czornoje More". Niewielka to wada, ale proboszcz ani chybi obraził się i na wszystkie jakubowe anioły zawzięcie pomstuje.

- Duchy niebiańskie nie mają skazy - powiada - Doskonałe są.

- Kto wie - powątpiewa Jakub - Widział je ksiądz?

- Grzeszysz, synu.

- Niby jak? Szkodzi komu, że moje anioły do ludzi dobrych podobne?

- Ty popatrz lepiej na te, co nad ołtarzem. Sługi boże natchnione.

- A mnie się widzi, nastroszone jakieś, wyniosłe. Ani się nie uśmiechną. Strach o coś poprosić. Śmiałości nie ma.

Zirytowany proboszcz tylko machnął ręką. Jakub wrócił do domu i przez nocę wyrzeźbił nowego anioła. Takiego jak on sam. Anioł trzymał w lewej ręce kozik, a w prawej małego aniołka, swoje dzieło. Ten mały, pomyśleć, także miał rysy twarzy i cały wygląd rzeźbiarza.

Kiedy skończyły się farby i pieniądze, Jakub zaczął tworzyć całkiem surowe, nie malowane figurki. Takie bieda - anioły.

Któregoś letniego dnia zajechało na jakubowe podwórko srebrne auto i wysiadła z niego znana z polskich seriali aktorka razem z mężem. Ktoś w okolicy wspomniał im o Jakubie, tak żartem, dla śmiechu.

Obejrzelisi anioły i aż cmokać zaczęli, że takie niezwykle, oryginalne.

- Co za twórcza inwencja - powiedziała pani. Jakub zrozumiał "intencja". Mądrze powiedziane. Intencje zawsze miał dobre. Goście kupili wszystkie anioły, malowane i nie malowane. Ukontentowani, bo zapłacili niewiele. Jednak dla Jakuba to były prawdziwe pieniądze. Od lat nie widział tyle grosza. Przygotował skrzynki, w których przechowywał jabłka na zimę, wyścielił suchym sianem, otulił swoje skrzydlate nieboraki jak dzieci do snu. Aktorka obiecała, że przyśle znajo-

mych, na pewno też kupią. Żeby tylko miał nowe. Kiwnął głową, że będą. Słowo.

W niedzielę, w czasie mszy, dał na ofiarę całe sto złotych, rzecz w ich wiosce niebywała. Kiedy spotkał proboszcza, nie mógł się powstrzymać, żeby nie powiedzieć:

- Widzi ksiądz, takie szaraczki moje anioły, a pomogły w biedzie.

Na to proboszcz pojednawczo:

- Cóż, różne gusta mają ludziska.

Tak skończyła się rozmowa. W poniedziałek, z samego rana usiadł Jakub do rzeźbienia nowego anioła. Postanowił, że ten wyjątkowo będzie śliczny, na podobieństwo Basi, córki Kaliniaków, która sama z siebie piękna jest. Za to potem wyrzeźbi mocno ospowatego. Jak listonosz Michaśko, który co miesiąc przynosi Jakubowi rentę inwalidzką. Bo Jakub chromy jest od dzieciństwa, o kulach chodzi. Może dlatego wymyślił sobie własne anioły, z którymi najłatwiej mu się gawędzi. Pewnie tak.

Krasna

Dwa jamniki wczasowiczów, zwanych przez tutejszych letnikami, zadusiły jedyną kurę Leonci, Krasną. Właściwie Krasna nie była krasna, ale biała, z pojedynczymi żółtymi piórkami. Nie była też zwykłą kurą, lecz przyjaciółką Leonci. Obie stare i samotne. Chałupina Leonci jak na kurzej łapce, Krasna pasowała tu jak ulał. Nie znosiła już jajek. Leoncia dawno sprzedała za grosze swoje poletko i nawet ogródka nie uprawiała, bo bardzo bolały ją słoniowate, wiecznie obrzękłe nogi. Chwasty wokół chatki panoszyły się, jak chciały. Niektóre zaczęły bezzwzględnie zaglądać w mikroskopijne okienka, zabierając światło, którego i tak brakowało. Ale przecież Leoncia nie czytała i nie gotowała, jadła byle co. Sąsiedzi z dobrego serca przynosili jej chleb i mleko, także ziemniaki i cebulę. To musiało wystarczyć. I wystarczało.

Ludzie we wsi przebąkaliwali, że Leoncia ma bogatego syna "za kałużą", ale co to za syn. Nigdy nie przyjechał i nawet paru zielonych nie przysłał. W końcu nie byli pewni, czy ten syn istnieje, czy ktoś go sobie wymyślił. Tak czy inaczej, Leoncia miała tylko Krasną, z którą potrafiła rozmawiać jak z człowiekiem. Ten i ów pukał się w

czoło i mówił: "Dla niej chyba rozum odjęło, bo żeby chociaż z psem, ale z kurą gadać? Cuda- niewidy." Psa Leoncia dawno oddała, bo niby czym miała go karmić. Chlebem? Chleba też miała niewiele, ale taka ptica robaczkiem i ziarnkiem pożywi się, mało jej trzeba. A Krasna była troszkę jak pies, trzymała się blisko Leonci, okruszki z ręki jadła i spała nie na żadnej grzędzie, ale na ociupinie słomy pod łóżkiem swojej pani. Ich rozmowy były poważne, stateczne: "Dzisz, mała- mówiła Leoncia - kogutka dla ciebie nie stało, dzieci nie wygrzałaś. Kiepska sprawa". Zaraz jednak dodawała z namysłem: "Ale drugie gorzej mają. Jajek nie znoszą, to do garnka. A ja od ciebie nie wymagam i łba nie utnę, bo to jakby siostrę ubić". Innym razem znowu: "Podobne my do siebie, Krasna. Obie nastroszone. Widzi mi się, że i ciebie łapki bołą, tak jakoś kuprem zakręcasz. Idźże ty, wygrzej się w piasku. Lepiej się tobie robi". Krasna przekrzywiała małą białą główkę i patrzyła na Leoncię czarnymi paciorkami, jakby wszystko rozumiała.

Tego dnia, kiedy letnicy przyjechali do Bachorców czerwonym samochodem na ekologiczne wywczasy i zamieszkali w ich świeżo wybudowanym murowańcu, Leoncia jeszcze niczego złego nie przeczuwała. Zaraz jednak zobaczyła, jak starsza miastowa, ubrana w ciasne spodnie i kolorową bluzkę, wypuszcza na podwórko dwa ryże, przysadziste psy, krzywonogie, niskopienne, obraza boska. A te od razu w jazgot i dalej rwać się do furtki, co była na skobelek zawarta. Mało płotu nie obgryzły, takie złe. Wtedy Leoncia powiedziała do Krasnej: "Pilnuj się, stworzenie boże. Breszą i breszą, a to, i ujeść mogą". Krasna posłuchała i weszła pod niską ławeczkę na przyzbie, w fałdach spódnicy Leonci ukryć się zamierzając. Nic się nie stało w tę sobotę. Ale w niedzielę owszem. Szli miastowi na spacer do lasu ze swoimi ryżymi psami, puszczone luzem, obok nie ogrodzonej chałupki Leonci. Krasna akurat odeszła żdziebko dalej, gdzie ziemia tłusta i w robaczki bogata. Zobaczyły ją ryże i jak się nie rzucą. Ptasi, rozpaczliwy krzyk, kotłowanina. W jednej chwili po wszystkim. Miastowi po niewczasie przywołali psy. Leoncia dokuśtykała do Krasnej, już prawie martwej, pokrwawionej, zatłamszonej, z drgającymi w agonii łapkami. Czarne paciorki ślepków zachodziły bielmem. Leoncia stała nad kurą bez słowa, a miastowi na wyprzódki, on i ona, trajkotali, że zaraz zapłacą, wynagrodzą szkodę, ile się należy. I kurę dla gospodyni na rosołek zostawia. Na rosołek! Jakby za Krasną można było zapłacić. I jeszcze, słodki Jezu, ugotować.

Leoncia pochyliła się stękając, bo schylać się też jej było trudno. Delikatnie podniosła martwą i nie patrząc na obcych pokuśty-

kała z nią do chałupki. Zostawiła ptasi zewłok na łóżku, wyjęła z szafy stare pudełko po butach, wyścieliła czystą szmatką i starannie ułożyła przyjaciółkę w tekturowej trumience. Ciągłe postępując z wysiłku, wzięła z kąta kuchni metalową szufelkę do węgla i powlokła się do swego zaniedbanego ogródka, pod krzew dzikiego bzu, gdzie najłatwiej było ruszyć ziemię. Kiedy wykopała spory, głęboki dołek, zabrudzoną ręką wytarła krople potu z czoła i starannie, bez pośpiechu pogrzebała Krasną. Nie ośmieliła się postawić krzyżyka z patyczków. Czasami robią tak dzieci urządzające pochówek martwym ptakom i zwierzętom. Ale przeżegnała się. Z nawyku. Jak to przy grobie.



Anioły szewca Franciszka

Zakurzone anioły przewracały się z boku na bok w witrynie pracowni szewca Franciszka. Dzwonek u drzwi, dożywający swoich dni obwieszcza moje wejście niechętnym, bezdźwięcznym burknięciem. Oprócz mnie wciska się podmuch jesiennego wiatru. Coś się kotłuje w witrynie, kot ułożony w najcieplejszym miejscu warsztatu spogląda na mnie z dezaprobatą. Franciszek nie podnosi w ogóle głowy. Czuję się jak intruz, który zakłócił to królestwo cichej pracy i sennego półtrwania. Lubię tu przychodzić. Właściciel jest nie tylko artystą w swoim fachu - nielichy z niego również filozof, a traktaty, które wygłasza nad każdym butem są godne zanotowania. Zwykł naprawiać moje pantofle natychmiast, bez odkładania na następny dzień. - To zbyt dobre obuwie, żeby miało leżeć obok tych tutaj - szerokim gestem pokazuje stos powyginanych, utrudzonych butów zalegających kąty i podłogę pod ścianą. Bierze do ręki jeden z tych, które przyniosłam do naprawy. Ogląda go ze wszystkich stron. - Pani chodzi lekko, a czasem biega - powiada - te pantofle mają u pani dobrze - mruży dalej, pochylając się nad obcasem - tak, tak, trzeba o nie dbać, zrobimy solidnie, z mocnego materiału, żeby na długo starczyło. Trochę się niecierpliwie, kiedy tak wygląda i przycina. Znowu coś nie tak, znowu przycina... - Po co ten pośpiech - mówi nie patrząc na mnie - czasu nie zgubisz, dziewczyno, ani go nie przeskoczysz. - Te, tam w kącie - pokazuje stopy umarłych prawie, zniekształconych butów - też się śpieszyły, biegły gdzieś, zaczęły o nierówne chodniki, potykały się. I zobacz, co z nich zostało - kupa zdartej, niepotrzebnej nikomu skóry. Przynieśli mi do naprawy i co ja mam z tym wszystkim zrobić? Trupa się nie przywróci życiu, a one nie chcą żyć, już swoje przeszły. Franciszek patrzy z niesmakiem za siebie, potem wraca do mojego pantofla. Nakłada pastę, żeby było jeszcze ładniej, poleruje... Przeszczęplam niecierpliwie z nogi na nogę, ale cichutko, tak, żeby nie widział. - Do-

brze, dobrze, już kończę - mruczy wszechwidzący Franciszek. - Zaraz je włożysz, popędzisz niewiadomo dokąd... Ale reszty nie będę miał wydać, jesteś dzisiaj moją pierwszą klientką, zresztą i tak tu wrócisz - dodaje i jeszcze - Moje uszanowanie szanownej pani - to brzmi już daleko i oficjalnie. Skończyła się nasza strefa prywatności, zostają tylko przechodniem, który odchodzi, jeszcze jednym, za którym zamykają się drzwi. Czy też może kolejną parą butów? Wychodząc myślę o nieskomplikowanej filozofii Franciszka, o spokoju promieniującym z całej jego postaci przykrytej zniszczonym, skórzanym fartuchem. Jestem mu wdzięczna, że na chwilę dopuścił mnie w świat swoich przemyśleń pachnących skórą, z Czasem, który przycupnął obok mruczącego kota i poszeptujących na witrynie zakurzonych aniołów... że przecież Bóg jest w rzeczach najprostszych.

24 miesiące z życia kobiety

Marzec

Włóczę się po bezlistnym, uśpionym i niechętnym odwiedzi-
nom lesie. Z poszycia wystają niewielkie plamy zieleni, ale zaraz przy-
krywają je zbutwiałe z zazdrości brązowe, zeszloroczne liście. Po-
marszczone i wysuszone przez wiatry. Szeleszczą pod nogami twardo i
zgryźliwie. Kolczaste gałęzie czepiają się płaszcza... kłują nieprzyjem-
nie nagimi, badylastymi dłońmi. Chodzę w milczeniu między konara-
mi drzew i czuję - nie pora na odwiedziny. Przypominają mi zdziwa-
czale, postarzałe piękności, do których nie należy wpadać o zbyt wcze-
snej porze, kiedy jeszcze nie zdążyły zrobić makijażu, jeszcze nie wło-
żyły swoich najładniejszych sukien. Wycofuję się... pójdę dalej, w
stronę łąk, na otwartą przestrzeń, żeby nikomu nie wadzić, nie podglą-
dać brzydoty lasu szykującego się do wiosennej przygody.

Maj

Przez otwarte okno wdziera się aksamitne, chłodne, wieczorne
powietrze. Altany w ogrodach otuliły się szczelnie kosmatymi płaszc-
zami zarośli szykując się do snu... ale jest zbyt pięknie, zbyt przejm-
jąco, żeby zasypiać. Wychodzę na taras i zanurzam się w fotelu. Pies
leży u stóp. Cisza, która nas otacza, jest tylko pozorna - rozpada się na
tysiąc odgłosów - pohukiwania z lasu, szamotaninę w kępie jaśminu,

trele ptaków i ten niesłyszany, upajający zapach, który otacza, stanowiąc niejako dopełnienie wieczornej symfonii. Zapalam papierosa... pies parska z obrzydzeniem - cóż za profanacja! Ale mnie uspokaja żarzący się punkcik - moje własne, małe ognisko. Dym ulatnia się niewielkim obłoczkiem i za chwilę znika na tle granatowego, upstrzonego złotymi cętkami nieba. Zza ciemnej ściany lasu wysuwa się księżyc - demoniczny i blade, jak aktor szykujący się do odegrania swojej kwestii. Robi się coraz chłodniej, coraz srebrzyściej, nierealniej... Trzymam w rękach milczenie, jak kieliszek najlepszego, musującego wina. I smakuje mi ono podobnie, cierpko-słodko, drażniąc podniebienie. Przypominam sobie wczorajsze spotkanie i tanto milczenie, uginające się aż od niewypowiedzianych słów. Wzdycham ciężko, pies zdumiony zerka na mnie z ukosa. A ja mam ci za złe. Tyle spraw, tyle myśli, którymi nie mogłam się z tobą podzielić, które musiałam rozdać pomiędzy przypadkowych znajomych, bo akurat nie miałeś czasu, żeby ze mną być. A teraz, kiedy zgodziłeś się spotkać - milczę... nie jestem w stanie wydusić z siebie kilku słów. Zapalam papierosa, rozglądam się rozpaczliwie na boki szukając natchnienia... Pewnie sądzisz, że jestem nudna, no cóż, masz prawo. Gdybyś tylko znał te kilometry rozmów, te listy nie wysłane... Nie ma sensu tłumaczyć. Nic nie powiesz - pytasz po chwili. Już nie odpowiadam, teraz już nie. Nie jesteś gadatliwa, mówisz z wyrzutem. Uśmiecham się pobłaźliwie przypominając sobie te historyjki, które opowiadałam sobie przed lustrem, a które skracaly mi czas oczekiwania na ciebie... Teraz jestem zbyt zmęczona.

Czerwiec

Grządki plenią się własnym, bujnym życiem. Koper poci się na słońcu wysyłając w przestworza odurzającą woń. Pomiędzy pietruszką i marchewką siedzi motyl, widoczny z daleka - tak pięknie mieni się w słońcu. Przysiadam obok niego, żeby w końcu zrozumieć, że nie żyje. Biorę go delikatnie w dłoń... Przyzwyczajeni jesteśmy do myśli, iż śmierć bywa nieładna, nieestetyczna... patrzę na leżącego motyla i daleka jestem od współczucia - tyle mam podziwu dla pośmiertnego piękna. Ile trwało jego życie - dzień czy dwa? Tak czy inaczej rozpaczliwie krótko. A jednak to cudowne wybuchnąć eksplozją barw i zastygnać nagle, nie gasnąc w swojej urodzie. Godne podziwu. Kładę go na białej kartce papieru i usiłuję zgadnąć - zdążył zaznać wszyśtnym lotem?...

Wrzesień

Magiczny czar tamtej kasztanowej alei. Nieodparta potrzeba pochylenia się i odszukania pośród liści małych, brązowych, jędrnych w dotyku kulek. Niesprecyzowane uczucia, niejasne, pogubione, przebijają się przez warstwę codzienności i umykają zostawiając zaledwie mglisty posmak, nie dający się ująć w słowa swoją nieokreślonością. Spokój konarów, przecinających park jak wykrzykniki, przywołuje jakie taki porządek myśli. Zabawne są te moje zapasy z Czasem, te usiłowania dotknięcia prawdy, która przecież jak zwykle leży obok, na wyciągnięcie ręki, zaraz pod powierzchnią i że najtrudniej dlatego, a może pomimo tego, jest jej dotknąć.

Październik

Wiatr strzepuje bezlitośnie liście - uparł się ogołocić krajobraz z owej miękkiej, żółtej przytulności, która trochę osładza nadejście zimy. Spustoszenie w ogrodzie - zniknęły harde łopiany, zdradzieckie pokrzywy wychylające się z objęć dzikiego bzu. Strasznie i smutno, jak na pobojuwisku...

- Opowiedz mi o miłości – prosi Maria i tylko jej osiemnaście lat usprawiedliwia ją w moich oczach. Buntuję się w duchu – dlaczego ja? Przecież właśnie w tym wypadku wiek nie jest wykładnią wiedzy. Jestem najmniej odpowiednią osobą.

- Cóż, moja droga – zaczynam i popadam w ponure zamyślenie. Widzę nadzieję w oczach dziewczyny i czynię wewnętrzną, nie wypowiedzianą głośno uwagę, że przecież ona wie na pewno więcej na ten temat. Patrzę na jej świeżą buzię i czuję żal, że tyle będzie jeszcze musiała przejść zanim... I tak nie zrozumie. Zanim na jej twarzy zagości zamiast oczekiwania ten nieuchronny wyraz goryczy, czający się później podstępnie w okolicy oczu i ust. I smutek płynący z wiedzy, że namiastki cudzych ramion potęgują tylko głód ciepła... Nie mówię tego głośno, niech te myśli zginą wewnątrz mnie, zalane łykiem wystygłej kawy – jak gorzką pigułką, wywołującą skrzywienie warg w niesmaku. Niech przepadną...

- Cóż, Mario – mówię – może się też okazać, że miłość przychodzi bez bólu i cierpienia.

Listopad

Śnieg spadł wcześnie. Położył się na trawniku niechłujnie, jak podarta kołdra. Nie zerwane w tym roku owoce pigwy wyglądają jak miniaturowe pomarańcze. Nie lubię listopadów – wczesnych zmroków

zatapiających się zaraz w wilgotnych ciemnościach. Nie wiadomo, co robić ze zbyt długim wieczorem, kiedy nie jestem jeszcze przygotowana, kiedy nie weszło się jeszcze w rytm przesiadywania w miękkim fotelu bez ruchu, trzymając na kolanach ulubioną książkę. Sycać się tylko ciepłym i kojącym światłem lampy. Jeszcze za dużo we mnie energii po lecie, coś jeszcze goni w środku... Zima to wyciszy, stonuje, wycofa w dalekie rejony pamięci – jak do przechowalni – do następnej wiosny.

Wigilia

Wracam po pracy do domu. Mój przyjaciel – pies – wychowaniec okolicznych śmietników, zauważa mnie i na powitanie macha kilka razy ogonem. Nie jest wylewny, zbyt dobrze zna życie. – Witaj piesku – mówię – wybacz, ale mi spieszno. Patrzy na mnie wyrozumiale. Na chwilę zanurzam dłoń w jego brudnych kudłach, a on w podzięcie trąca mnie zimnym nosem – no idź, już idź... Wigilie... Staruszka do której przyjechaliśmy karetką. W kieszeni fartucha mam kawałek opłatka. Dzielę się z nią. – A może zabierzemy panią do szpitala – pytam – chociaż oprócz wieku i samotności nic jej nie dolega. – Nie dziecko – odpowiada – już mi lepiej. Niech was Bóg błogosławi za opłatek. Zimny pokój, ani śladu choinki. Sanitariusz – wielkie chłopisko podejrzenie pociąga nosem. Wychodzimy pod rozgwieżdżone niebo.

Wigilie... Dzielę się opłatkiem z najbliższymi i staram się wybaczyć światu. Naprawdę się staram...

Trol* i królewna

Zdarzyło się to bardzo dawno temu, kiedy na wsi poruszano się wszędzie furmankami zaprzęzonymi w dychawiczne szkapiny, a nie lada okazją był wyjazd takim wehikułem do najbliższego miasteczka po zakupy.

Pewnego razu jeden chłop wracał już prawie o zmierzchu z takiej właśnie uroczystej eskapady na miejski jarmark. Ale droga wydała mu się jakaś dziwna, bo jakby niemiłosiernie wydłużona, więc postanowił powrócić do domu prostszą jej odnogą, biegnącą w pobliżu nieprzebytych bagien.

Wszystkiemu przypatrywał się szpetny i złośliwy trol, który lubił opuszczać swoje uroczysko i stroić sobie żarty z przygodnych podróżnych zaglądających czasami w te odludne strony. Tym razem także postanowił nie przepuścić nadarzającej się okazji i cierpliwie czekał na najwłaściwszą porę.

Dzień był jesienny, słotny i mglisty. Szybko zatem przemienił się w mroczną zawieszistą oćmę. Końca drogi nie było widać, więc chłop zacinał konia i kłął pod nosem, że jeszcze z lasu nie zdążył wyjechać.

Taki właśnie moment wybrał złośliwy trol i tak pokierował koniem, że ten zboczył trochę z drogi i znalazł brzeg bagniska. Zaraz też koła uwięzły w lepkiej mazi, a na dodatek wóz uderzył zawieszeniem o wystający utopiony konar drzewny i złamało się coś w nim, co poświadczył głuchy trzask spod spodu fury. Chłop bał się złączyć na ziemię, bo myślał, że błoto może go wciągnąć. Siedział zatem i nie wiedział, co ma dalej robić. A szkapina też, widząc, że uwięzionego w bagnie wozu nie pociągnie, zaprzestała niepotrzebnej szarpaniny i zastygła w zwierzęcym bezruchu.

Trol szpetny, bo miał długie i odstające uszy porośnięte rzadkim

* Pisownia zgodna z autorską.

włosem, podłużną, odrażającą twarz, z której wysuwał się haczykowaty i pełen brodawek nos, zatarł ręce z radości i wybiegł przed wóz, by z chłopem sobie porozmawiać.

- Wjechało się - rzekł z uśmiechem - w błoto, co?

- Ano - odparł wieśniak, któremu już było wszystko jedno.

- A chciałoby się do domu, co?

Pokiwał na to chłop głową, ale i tak po ciemku nie było tego wi-
dać.

- Pomogę ci - rzekł trol - ale pod jednym warunkiem.

- A co ja mogę zrobić? - zapytał chłop, już nie wiedząc, czy trol kpi z niego, czy rzeczywiście ma taki zamiar.

- Musisz - odparł trol - podesłać mi kogoś na służbę. Nadałby mi się jeden syn z twego domu. Jeżeli się na to zgodzisz, w mig trafisz do siebie.

- Ale jak mogę syna narażać?

- Życia u mnie nie straci - zapewniał trol. - A jak będzie zaradny w robocie, szybko się wyzwoli i będzie mógł do siebie wrócić.

- I pomożesz mi, jak się zgodzę?

- Na pewno bez przeszkód do domu wrócisz. A skoro wiosna do lasu zawita, przyslesz mi swego najmłodszego Zygmunta.

- Zygmunta? - chłopą żał złapał za serce, był to bowiem synek, którego najlepiej ukochał i to nawet nie dlatego, że był najmłodszy w domu, ale też wydawał się najuczynliwszym ze wszystkich dzieci.

- Tak, Zygmunta.

- Ale obiecujesz, że do domu powróci?

- Tak jak mówiłem będzie.

Chłop się jeszcze wahał, ale co miał robić. Nie myślał wcale spędzać zimnej nocy poza domem. Przystał zatem na żądanie trola i wy-
dostał się z opałów.

A potem dzień po dniu mijał, a on gryzł się i myślał, jakby z obietnicy danej trolowi się wycofać. Nie chciał przecież najmilszego Zygmunta na nieznane i może niebezpieczne uroczysko wysyłać. Myślał i nic nie wymyślił, a wiosna przyszła nieuchronnie, jak musiała przyjść.

Omijał zatem jak mógł straszne bagnisko, gdzie jesienią popadł w tarapaty. Ale trol i tak potrafił przychodzić w pobliże domu i upominać się o swoje.

- Nie zapominał, coś obiecywał mi w lesie - szeptał, chociaż wyglądało, jakby to tylko wiatr wiosenny młodymi listeczkami potraçał w sadzie i w nadbrzeżnych zaroślach.

Zauważył mały Zygmunt smutek na ojcowej twarzy. Był przecież zawsze uczynny i wszystkich potrafił zadowolić, więc i ojca niepokój odkrył, chociaż ten wcale tego nie chciał zdradzać. Tak potem prosił i nalegał, że w końcu dowiedział się prawdy i postanowił iść do trola na nie wiadomo jaką służbę.

Odrażający i pokraczny trol czekał na niego w tym samym miejscu, gdzie kiedyś nastąpił wypadek z wozem.

- Nareszcie się doczekałem - powiedział i ręce zatarł z radości. - Popracujesz i spełnisz trzy moje posługi, a będziesz wolny i nie pożalujesz, że pracowałeś u mnie.

Zaczęła się służba Zygmunta u trola. Kiedy się tylko rano obudził, złośliwy stwór wypchnął go na dwór i pokazując na pobliski las rzekł:

- Dzisiaj musisz mi, chłopcze, drzewa narąbać. I to tyle miar, żeby na nadciągającą pod koniec roku zimę mi wystarczyło. Ale musisz się śpieszyć i zakończyć pracę do zachodu słońca, bo inaczej nie policzę ci niczego i jutro będziesz musiał wszystko robić od początku.

Zygmunt popatrzył na las i zrobiło mu się smutno na duszy. Pomyślał, że nie podoła takiej niemożliwej pracy, ale żadne słowo skargi nie wymknęło mu się z ust.

- A narzędzia potrzebne do pracy znajdziesz w obórce - rzekł jeszcze trol i poszedł.

Nic na to Zygmunt nie odpowiedział. Wziął z obórki najostrzejszą, w jego mniemaniu, siekierę i powłócząc nogami ruszył do lasu. Nie wiedział jak się z pracy wywiąże, ale poddać się nie miał zamiaru. Zasadził się na najbliższą sosnę i dziobał jej korę siekierą ze wszystkich stron, ale wióry tylko na boki leciały, a praca nie posuwała się ani odrobinę do przodu. Czas mijał, a on nawet tego jednego pnia nie potrafił przerać. A co mówić o reszcie drzew, które musiał obalić na omszoną ziemię do zachodu słońca?

Na myśl o tym posmutniał jeszcze bardziej. Machał siekierą, a pot mu oczy zalewał i przed oczami migać mu zaczęły ciemne plamy. Zaciął się jednak i rąbał, i nie zauważył, że w tym czasie jakaś stara kobieta przysiadła się na pobliskim uschłym konarze i przypatrywała się jego pracy.

- Do końca swego życia, chłopcze, nie zdążysz porąbać drzewa w tym lesie - powiedziała.

Zgodził się z nią, ale wyjścia z tej trudnej sytuacji nie widział.

- Ale weź tę siekierę - powiedziała i wyjęła z worka, który przygotowała chyba na zbieranie chrustu, prawie taką samą jak i jego siekierę. Położyła ją na suchym konarze, a tę, którą on przyniósł ze sobą do

lasu, schowała na miejsce tamtej do worka. A potem poszła w dalekie gęstwiny.

Wzruszył na to wszystko Zygmunt ramionami, po czym położył się na murawie i długo obserwował niebo nad głową. Odpoczywał i myślał nad smutnym swoim losem, a skoro niczego nie mógł wymyślić, poderwał się wreszcie z murawy, żeby kontynuować bezsensowną pracę. Ale tym razem, skoro tylko siekierę do ręki przyłożył, drzazgi sypały się naokoło, a drzewa jedno po drugim padały na ziemię. Do zachodu słońca uporał się z całym trudnym zadaniem, a jeszcze i czasu mu wystarczyło, żeby na karczowisku rozpałić ognisko i odpocząć przy nim.

A wyglądało, jakby to nie on, ale sama siekiera uporała się z całą robotą. I tak rzeczywiście było, bo siekiera okazała się nie zwyczajnym narzędziem, ale tak była zaczarowana, że potrafiła sama wyrąbywać całe połacie drzew.

- No - powiedział trol, skoro przyszedł wieczorem, żeby sprawdzić wykonanie zadanej pracy. - Uporałeś się, widzę, ze wszystkim. A zatem do jutra, bo jutro czeka na ciebie kolejne zadanie.

A następnego dnia, skoro tylko chłopak przetarł oczy, znowu trol wyciągnął go na dwór i pokazał niedalekie jezioro.

- Dzisiaj - powiedział - musisz mi ryb nałowić. Ale tyle tych ryb musi być, żeby mi wystarczyło na zimowe przekąski.

I znowu zostawił Zygmunta w rozterce, bo nie wiedział chłopak, jak trudnemu zadaniu sprosta. A kiedy wędrował nad jezioro z zarzucenym na plecy wędzierzem, który znalazł w obejściu trola, przestąpiła mu drogę ta sama co wczoraj stara kobieta i zapytała o przyczynę smutku. I dowiedziała się wnet o wszystkim, bo Zygmunt życzliwie potraktował ciekawą starowinkę.

- Od lat nikt w tym jeziorze żadnej ryby nie złowił - powiedziała. - Ale weź mój wędzierz i spróbuj.

Zamieniła wędzierz i poszła. A Zygmunt, skoro tylko zaczął nim ryby łowić, nie potrafił wyjść z podziwu, że tak łatwo i w takiej ilości wpadają one do sieci. Do wieczora miał ich całe mnóstwo, czym bardzo zadziwił trola.

- No dobrze - mówił pokraczny władca mokradeł - tym razem też wywiązałeś się ze wszystkiego bez zarzutu. A zatem do jutra.

Gdy nadszedł kolejny poranek, trol wyprowadził Zygmunta na dwór i pokazał ręką na nieokreślone przed siebie.

- Idź tam - powiedział - i przyprowadź mi królową z dalekiego kraju. A jeżeli to zrobisz, będziesz mógł już iść do swojego domu i

obiecuję wynagrodzić cię sowicie, gdy przyjdzie się nam żegnać.

Nie wiedział Zygmunt, że przepowiedziała kiedyś trolowi leśna kobieta, że skoro znajdzie pachotkę, który mu w jeden dzień napęlni obórkę drewnem, a w drugi dzień spiżarkę rybami, to i królownę z daleka potrafi mu sprowadzić do domu, żeby się z nią mógł ożenić. I bagiennemu straszdyłu o to teraz chodziło. Pożegnał zatem chłopca i udał się do innych psot, ufając, że chłopak podoła wyzwaniu i nie warto już zaprzętać nim sobie głowy.

Załadował Zygmunt magiczną siekierę i magiczny wiewierz do podróżnej torby, a potem poszedł przed siebie. Nie wiedział, dokąd ma iść, ale myślał, że i tak kiedyś do królowny dojdzie, bowiem wszystkie drogi zmierzają ostatecznie do jednego miejsca.

Skoro tylko oddalił się trochę od obejścia trola zastąpiła mu drogę staruszka, którą już dwa razy spotykał i która dwa razy wyratowała go z opalów.

- Teraz w świat ciebie wysłał - powiedziała - ale nie martw się, bo na pewno wszystko będzie dobrze. Weź tylko tę torbę. A kiedy tylko powiesz „Chodź do torby”, wtedy wszystko, o czym pomyślisz, zaraz tam wpadnie, bo chociaż wygląda na taką niepozorną, jest prawie bez dna.

Podziękował Zygmunt starowince i ruszył dalej. Szedł dzień, szedł dwa, a potem przestał liczyć upływające dni i po bardzo długim wędrowaniu trafił do królestwa, którego niezmierzone obszary porastał bezkresny las. Nie skłamię wcale, kiedy powiem, że drzewa były tam najstraszliwszym żywiołem i prawdziwym utrapieniem tamtejszych mieszkańców.

Gdy tylko przekroczył granicę tego dziwnego państwa, na Zygmunta napadły oddziały królewskiej straży i powleczono go do pałacu, przed oblicze władcy. Był to odwieczny obyczaj. W każdym podróżniku widziano ukrytego szpiega. Tym razem także okrutny król postanowił zapytać pochwyczonego chłopaka, co go sprowadza do leśnego kraju.

- Szukam królowny - odparł Zygmunt.

- Królowny u nas nie znajdziesz - powiedział król - ale, skoro już tutaj jesteś, nie przepuścimy ciebie dalej, jeżeli nie przyniosłeś nam jakiegoś prezentu.

- Mam taką siekierę, która sama potrafi wyciąć tyle drzew, ile się tylko pomyśli.

Zygmunt wyciągnął z worka zaczarowane narzędzie i podał je królowi. Władca trzymał ją w ręku i myślał o zupełnie nowej alei w

pałacowym parku, który wyglądał jak przedproże puszczy. A siekiera jakby tylko na coś takiego czekała, bo ani się kto obejrzał, gdy raz-dwa wytrzebiła tyle drzew w najbliższym zagajniku, że rzeczywiście powstała nowa alejka, o której myślał król.

- To mi się nada - powiedział i było to pochwałą prezentu, i podziękowaniem za prezent.

- Za moim królestwem - odrzekł jeszcze - ciągnie się kraj prawie tysiąca jezior. I myślę, że może tam coś o królownie będą wiedzieć.

Podziękował Zygmunt za radę, w pas się pokłonił i poszedł do owego „kraju prawie tysiąca jezior”, jak mu to król powiedział. Nie było w tym określeniu, jak się niebawem przekonał, żadnej przesady, bowiem jak w kraju lasów utrapieniem były drzewa, tam dopustem zdawały się być okoliczne wody. Wszystko bowiem, co jest w nadmiarze, już nie może cieszyć, ale tylko boleśnie uwiera.

W tamtej nowej krainie, pośród wodnego ogromu, stał na rozległej wyspie królewski pałac. I tam też udał się zaciekawiony Zygmunt.

- Szukam królowny - powiedział smutnemu władcy.

- A ja poszukuję kogoś, kto by się zajął moim królestwem i uporządkował je - odparł król. - Bo chociaż wody mam pod dostatkiem, ludzie ryb łowić nie chcą i mówią, że w takim ogromie trudno jest ryby znaleźć i do sieci zapędzić. I chociaż wiem, że to licha wymówka, w żaden sposób ich przekonać nie umiem.

Schylił się Zygmunt do swej torby podróżnej i wyciągnął stamtąd niezwykajny wiecierz. Podarował go zaraz skłopotanemu monarsze. A ten, skoro tylko wiecierz do wody wrzucił, tyle ryb nim nałowił, że zgromadzeni z czystej ciekawości ludzie z podziwu wyjść nie mogli i także postanowili ryby łowić. I chociaż nie się właściwie nie zmienili, ten cud natchnął ich wiarą w możliwości, w które dotąd powątpiewali.

- Uratowałeś mnie chłopcze - powiedział król - ale i bez tego prezent jest wspaniały. Idź zatem dalej i szukaj królowny, a życzę ci, żebyś ją odnalazł jak najrychlej.

Dużo jeszcze dróg musiał Zygmunt przewędrować. Rozpytywał się po drodze kogo mógł, a kogo obawiał się pytać, tego przeczornie omijał. I takim to sposobem prób i błędów przywędrował pewnego razu do kraju, którym rządziła mała królowna. Nie była ona w dosłownym słowa znaczeniu mała, ale to określenie świadczyło raczej o jej młodości i niewprawionym jeszcze sposobie rządzenia krajem. Musiało pewnie dobrych kilka lat upłynąć, żeby królowna mogła zostać królową.

Zygmunt zrozumiał, że jego kolejne zadanie zbliża się do końca. Uśpił czujność straży i dworzan i jak najbliżej przedostał się przed tron królowny.

- Chodź do torby! - zaraz wykrzyknął, a siła zaklęcia wessała królownę do jego zaczarowanej torby, którą otrzymał od przyjaznej mu staruszki z lasu.

Rzucili się ku niemu dworzanie i wierna straż królowny, ale on ich ruchem ręki powstrzymał i pokazując torbę, rzekł:

- Z każdym mogę to zrobić, zatem nie wchodźmy sobie w drogę.

Tak powiedział i oddalił się zaraz z bardzo smutnego pałacu, a potem z bardzo smutnego królestwa. Królowna prosiła go, żeby ją uwolnił i niejedno mu obiecywała, ale on wydawał się nieczułym na jej słowa i śpieszył do trola. I nic nie przeszkadzało mu wędrować, bo strach przed dostaniem się do wnętrza zaczarowanej torby powstrzymywał każdego.

Skoro tylko obrzydliwy trol dowiedział się, że Zygmunt powraca z królowną, wyszedł na jego spotkanie. Tak bardzo mu było śpieszno, żeby królownę zobaczyć. Przyczesał nawet zmierzwione włosy i zakrył nimi swoje strasznie odstające uszy, żeby spodobać się tej, na którą tak niecierpliwie czekał.

Ale Zygmuntowi ani było w głowie, żeby oddawać królownę trolowi. Często podczas powrotnej wędrówki królowna rozmawiała z nim i namawiała go, żeby ją uwolnił. Stąd przemyślał wszystko i wymyślił inne zakończenie tej niecodziennej przygody. Najpierw wymówił zaklęcie, które uwolniło królownę z torby, ale w tym samym też momencie kolejnym zaklęciem uwięził tam, nie spodziewającego się takiego obrotu sprawy, trola.

W taki to przewrotny sposób zrealizował oczekiwania królowny, która nie chciała, żeby ją trolowi oddawać i obiecała, że spełni każde życzenie swego wybawcy.

Stali potem nad torbą, gdzie szamotał się uwięziony trol i nie wiedzieli, co z nim mają zrobić. Ale i tym razem znana dobrze Zygmuntowi starowinka pośpieszyła z pomocą.

- Udało się wam złapać mego nieznośnego syna - rzekła. - Oddajcie mi zatem torbę z nim i idźcie dokąd chcecie. A ja się już nim zajmę.

- Może to go wreszcie czegoś nauczy - dodała po chwili.

- Pani jest matką trola? - zapytał zdziwiony Zygmunt. - I pomimo tego pomagała mi pani?

- Byłeś chłopcze zawsze uczynny i wszystkich potrafiłeś zadowolić - usłyszał w odpowiedzi.

Gdy staruszka z trolej w torbie odeszła do swego lasu, królowa rzuciła się Zygmunтови na szyję i mocno go pocałowała. Zostali już na zawsze razem, bo jej także spodobał się ten prosty i uczynny chłopak. Wróciła z nim do swego królestwa i razem tam rządzili. I może jeszcze rządzą, bo kto to wie.



edward
17. III. 2004

Ojciec

Pamiętam go zawsze starego. Ciągłe z czapką na głowie, którą jedynie zdejmował w domu przekroczywszy próg sieni. Ze spokojem i nonszalancją wieszał ją wtedy tuż przy samych drzwiach w kuchni, by w każdej chwili móc bez przeszkód sięgnąć po nią i wyjść na podwórkę. Starość wyostrzała mu rysy i w miarę upływu lat coraz bardziej uszlachetniała twarz. Nieco zapadłe w głąb oczy promieniowały wieczną ciekawością świata, chociaż jego świat zawęził się później jedynie do domu i sadu, i czasem tylko wybiegał gdzieś dalej wraz z moimi przeżyciami. Każdy mój powrót do domu zaczynał się długim opowiadaniem o tym wszystkim, czego tam daleko w świecie doświadczyłam. Słuchał z uwagą, rzadko mi przerywając i chociaż nigdy mnie nie ponaglał, kiedy milkłam, w oczach ojca czułam żar ciekawości tego, czego jeszcze nie dopowiedziałam.

Kochał sad. Na jednym z ostatnich zrobionych mu zdjęć stoi w sadzie, trzymając się gałęzi jabłoni obsypanej dorodnymi owocami. Zostało ono wykonane przy pięknej "mlecznej" antonówce, którą bardzo sobie cenił i po prostu lubił. Kiedy przypatruję się temu zdjęciu, czuję drżenie jego rąk, słyszę posuwisty chód po trawie i boję się, by nie zaczął się o strącone na ziemię jabłko i by nie upadł. Ileż to czasu spędzaliśmy razem w sadzie! Szczególnie jesienią, gdy jabłka dojrzewały już do zrywania. Długą tyczką rozwidloną na końcu zdejmował każde z osobna, a potem czule biorąc je w dłonie, układał do koszy, które zanosiliśmy do piwnicy. Jakże żałował każdego, które wymknęło się mu z rąk i potoczyło po trawie. Pobite mogło nie przetrwać zimy.

Kochał też konie. Na nieco wcześniejszym ze zdjęć stoi przed domem, trzymając za uzdę deresza. Lubiał deresze. Nie przypominam sobie, by były w naszym domu konie innej maści. Patrzy w obiektyw aparatu lekko uśmiechnięty i koń zdaje się też z nim radować, chociaż czeka go za chwilę ciężka praca w polu.

Pamiętam go zawsze starego. Nawet na fotografii od pierwszej komunii świętej wygląda tak, jakbym stała ze swoim dziadkiem, a nie ojcem. Odświętną czapkę trzyma niezgrabnie w ręce stojąc sztywno,

jakby na baczność, zdziwiony zapewne moim nagłym wyrośnięciem. A nawet na tej, na której sfotografował się siedząc w wolancie i trzymając mnie małą na kolanach, jest już podstarzałym mężczyzną. Gdzieś się zapodziała cała jego przedwojenna werwa. Nie chce mi się wierzyć, że oto ten starszy pan jeździł kiedyś po siedemdziesiąt kilometrów dziennie rowerem do Grodna. Arendował wiele sadów. Wspiął się zręcznie po dachach budynków, kryjąc je strzechą, gonił stada gęsi przez granicę do Prus, a jak trzeba było – stawał do maszyny czesząc przywożoną zewsząd wełnę. Grał zadzierzysie na harmonii i jako jedyny w okolicy kawaler tańczył oberka z kieliszkiem wódki na głowie, tak że nie wylała się z niego żadna kropelka na podłogę.

Na zachowanej z tamtych lat fotografii stoi ze swoim kuzynem Stanisławem szczupły, wysportowany, w spodniach bryczesach i w marynarce zapiętej pod szyję na rząd świecących guzików. Nie chce mi się wierzyć, że to mój przyszły ojciec. Taki młody, jakiego nigdy nie znałam, a nawet nie wyobrażałam sobie, że kiedyś mógł taki być. Jedynie uśmiech i oczy, chcące widzieć więcej niż widzą, podpowiadają mi, że to chyba jednak on, ojciec.

Teraz gdzieś w Raju dogląda niebiańskich sadów i myślę, że tęskni za mną, jak ja za nim tęsknię.



„Ni z pierza, ni z mięsa”

Siedzimy na kanapie, Katarzyna i ja. Patrzymy w okno. Wiatr monotonnie kołysze oddalone czuby topoli.

- Jest trochę dobrotliwych samarytanek, które... Drzewa też koją – mówisz. I milczymy. Bo jest cierpienie, większe od ciebie i ode mnie. Beksziński umiałby to namalować. Ty nie. Ty zawsze wybierałaś pastelowość, rozbielenia i gładkie płaszczyzny. Jeśli decydowałaś się na grube, krótkie uderzenia pędzla, to żeby oddać natężenie pejzażu przed burzą czy wojowniczość głogów.

Ale to było wtedy. Teraz wszystko tkwi jakby w zwojach płótna, zagubione i pogięte, a czerwienie czy szmaragdy przełamujesz ugrami. Wybrałaś taką mistykę koloru i terażniejszości.

- Cierpienie powinno omijać ludzi czynu czy idei. Czy to nadek? Malować ideę drzew, to właściwe i pożądane, ale liczyć na dobrotliwą samarytanek? Pomysł na ulgę czy litość!

- Przyjaźń nie jest litością. To serdeczna aktywność. Nie wmawiaj mi ograniczeń ani zmęczenia – mówię. I znów milczymy.

Odrastają ci włosy. Sypią się jak grafitowa szczoteczka. Czaszkę masz, Katarzyno, ledwie okrytą, ale bardzo kształną. Twoje króciutkie włosy wiją się w misternych pierścionkach i skrętach, a zawsze były ogromne i proste.

- Usiadłam na ławce – znów mówisz. Wypatruję samochodu. Bluźka przylgnęła mi do pleców. A tu staruszka pyta: „Moda to czy choroba?” I ludzie patrzą. – A jeśli to drugie, nie powinna pani, na wszelki wypadek, bliźniego pytać – mówię. I powlokłam się w słońcu do następnego przystanku. Tak, przyjaciółko! Jest korba i woń!

- Przede wszystkim środek lata! Wszyscy się męczą i pocą. A peruka jest nieprzewidywalna. To obce. Rozumiem, że wywiązuje się z głowy chustkę. Pięknie!

Ale ty, Katarzyno, nie słuchasz, oblizujesz usta i ciągniesz swoje:

- Albo to...

- Przestań, mówię – maluj. Świat nie leci na ciebie jak wszystkie ptaki Hitchcocka. Rób coś! I robisz. Telefonujesz do matki. To są te znane mi rozmowy, pełne na przemian czułości i sarkazmu, dobroci i agresji. Mama przyjdzie do ciebie, w letnim, nagrzanym czasie, kiedy omdlały dzień zacznie osuwać się za bloki. Stara kobieta zapadnie w fotel i poprosi o niegazowaną wodę mineralną. Znowu powtórzy swój monolog:

- Świetnie wyglądasz Kasiu, świetnie. Prawda, pani Magdo? A fryzura dodaje ci pikanterii. Teraz kobiety są szalone, ostentacyjne. Noś dziecko, twoją kształtną głowę wysoko. Sprzyja ci czas. Możesz się wykreować na awangardową, rustykalną albo romantyczną. Umiesz to. Zrób to! Niedyspozycja czy skaza jako atut – oto metoda! No! Dzwonił ponownie twój, wypytywał. Podróżnik na koszt państwa, wytrwały chomik! Gdybyś wyszła za tęgiego inżyniera, a nie za pięknego muzyka... No!

- Mamo, ja już w ogóle wychodzę! Po co mi przypominasz czas zaprzęsły? Ty wyszłaś za torbacza z trybuny. Z tego wyboru pozostał ci dystans do politycznie zaangażowanych i oszczędności. No! Wychodzę. Życie składa się też ze sklepu i kaszy gryczanej. No!

Wiem, że na ulicy, mijając kiosk z piwem, usłyszysz za sobą krzyk: „Babcia, babcia, łysa k...” – to pijani mężczyźni, wzmocnieni piwem i beczynnością, wychrypiają za tobą swoje prześladowanie. Twoja uroda i samotność wzbudzają ich równie mocno jak dopadanie słabego. Mijas ich w milczeniu i patrzysz na ptaki czy drzewa. Tak brzmią zawsze twoje odmowy.

- Przychodzi noc, owijam się prześcieradłem. Myślę: ci spod budki nic o mnie nie wiedzą. Moje włosy to dla nich ekstrawagancja. I piękny mąż odszedł. Proszę tylko Boga:

„Daj usnąć kamykiem...” Dziękuję Mu za jeszcze jeden dzień z owocami na języku, z nowym pejzażem na blejtramie – tu mogą na moje życzenie galopować konie i chmury. Mam swój lepszy świat, Magdo – mówisz.

Wiem też, że potem liczysz uderzenia zegara znad sufitu. Aż zapadniesz w sny pełne dróg, potu, pyłu i ostrych kamieni. Wtedy, jak zwykle, wyrwie cię z gęstego snu ujadanie wilczura. Ci z trzeciego piętra piją, biją i handlują. Więc znowu na schodach zwrócisz uwagę sąsiadowi, że pies wybudza na długo. A silny młodzieniec odpowie ci ze śmiechem: „Cicho! Jest cicho”. I zaraz doniesie ci poczta sąsiedzka cały komentarz handlarzy: „Jest błada. Ma pot na nosie. Chudnie. Od-

poczywa na schodach. Odrastają jej włosy chemiczne. Ona odejdzie, a pies zostanie. Pies zostanie. Ja nie żałuję psom nawet bankuchenów!"

- Ci od psa już mi się nie kłaniają, Magdo. Nie u mnie czkawka chrzcin. Kochaś odszedł w siną dal. Chustką na głowie przykrywam „coś”. Czyli korba i woń, przyjaciółko! – znów przywołasz swoje powiedzisko.

- Rozpamiętywanie bieżownika! Maluj, proszę. Masz dobre światło.

- Ludzie dziwią się, że maluję. Mówią: obrazy są jakieś widmowe, martwe. Co ich zadziwia? Czy to, że żyję? Czy to, że tak żyjąc – maluję?

- Chodzi o duchowość, która zawsze bywa podejrzana, jeśli jest poza ekonomią i pieniądzem. Maluj, proszę, Katarzyno.

Tak biegą nasze dni wśród rozmów, milczeń i malowania. Potem przychodzi jesień, a z nią siąpiące deszcze, drobniutkie, natrętne! I twoja coraz większa chudość. Nikt już, oprócz mnie, nie rozmawia z tobą o twoich obrazach ani o dawnej nagrodzie, o wernisażach pełnych podniecenia ani o koncertach, gdy stroją się instrumenty, a ty wyróżniasz ukochaną wiolonczelę. Teraz także zamykasz oczy, kołyszysz głową na znak porozumienia, choć nie podnosi się kurtyna i ze sceny nie patrzą na ciebie wielkie, czarne oczy.

I właśnie jesienią stanie się to, co nas obezwładni i przewinie się przed nami jak fantasmagoria. Ale przedtem kolejny raz zwrócisz uwagę sąsiadom, że mieszkania zamieniają w knajpy i stolarnie, zarabiają o każdej porze kosztem resztek twojego zdrowia, toną w libacjach. Wtedy sąsiadka pobije cię na schodach, ponieważ sprowadziłaś policję. Szybko zmówi się przeciwko tobie grupa obrotnych i silnych. Bo u nich wszystko gra, masło na chleb idzie, a szmal z rączki do rączki.

- Kto to jest współczesny kupczyk, kto? – będziesz płakała bezradnie, patrząc na młodziutkiego policjanta.

- Kupczyk to współczesny przykład małego Judaszka, polska mrówka faraonka. Mamy erę kupczyków. Kupcy byli i minęli. Mieli lśniące buty, pełne kieszenie pieniędzy, kochali artystów i grali im Cyganie – powiem, usiłując ironizować. Twój płacz, Katarzyno i niemożność młodziutkiego policjanta wtrąca mnie w świat absurdu.

Niedługo potem umrzesz. Twoje ciało stanie się zeschniętą skorupką, a włosy – strzępkami mokrego filcu. Napiszę kilka telegramów i rozpaczliwych listów do naszych dawnych przyjaciół. Będę też wiele razy odrywała ręcznik od ust twojej matki, która w ten sposób

chciała tłumić płacz, ale brakowało jej tchu, więc z tych ust wydobywało się stęknienie jak z odytkanej butelki. Odtąd też myśląc o tobie, Katarzyno, będę tkwiła w błocie nad twoim grobem. I wciąż będę widziała tamto stado czarnych wron, i bębniące grudki mokrej ziemi. Będę wciąż pamiętała mój zziębnięty dygot i przelatującą myśl, że przyjaźń jest najszlachetniejszą odmianą związków między ludźmi. I będę ci za tę przyjaźń dziękowała, Katarzyno.

Choć twoich obrazów nie zakupi Prado, to jednak będą zaw sze wzbudzały gniew kupczyków, jakby świat z tobą, z twoimi obrazami był dla nich za ciasny i za obcy. Będę też zawsze słyszała krzyk twojej sąsiadki: „O, proszę, my też malujemy! Sąsiad dziury wierci w ścianach, a my zaczepiamy obrazy. I to w jakich ramach! To nie taniocha z bejca! Malarka mówiła: »Astry – plastry, róże – burze«. Co to znaczy. Pier... inteligentka! Zawsze »inna«. Ona myślała, że robi furorę! My jej zrobiliśmy! My mamy swoich na targowisku, w bankach, w szpitalach, w polityce, w gazetach. Wszędzie, wszędzie! My takich świadków mamy, jakich nam trzeba. A ona co? Lizolem od niej ciągnęło! Śmiała zwracać nam uwagę, nam? Pier... inteligentka, ni z pierza, ni z mięsa, łyse »nic«!”

Będę wciąż po twojej stronie, Katarzyno. Moja zawziętość i gniew będą jeszcze większe. Ponieważ wiem ze smutkiem i odrzą, że kupczyk pragnie osiąść wyróżniającą „inność” w sposób niegodny, nawet podstępny. Bo „inność” ma powab pociągający – zapewnia azyl, zaś w ocenie świata należy do sił takich jak miłość. Miłość – to zawsze olśnienie, dobroć i pokuta. Kupczyk nie przewiduje pokuty, tylko glorię. I na tym polega jego przegrana. Nie zgłaszam spostrzeżeń przesadnych bądź zbyt podniosłych, Katarzyno. Wiesz o tym.

A twoja śmierć, Katarzyno, jest tylko zaśnięciem, wciąż obecnym zaśnięciem. Nie jest to zaśnięcie z ołtarza Wita Stwosza, lecz przywołuje jakieś pokrewieństwo z twoim klęceniem wiotkim, opadającym, gdy modląc się mówiłaś: „Boże, tyle mogę”. Więc widzę tę wiotkość i omdlewanie w dół. I wciąż twoją obecność. Nie płowiejesz mi w pamięci. Ponieważ chronię cię w sobie. Będę z tobą rozmawiała i będę wspierała twoją starą matkę, ponieważ takie jest przymierze „innych”. Będę też wiedziała, że twoje i moje odrastające, grafitowe włosy są naszą siłą na życie. Dlatego odrzucimy trwogę, Katarzyno. Odrzucimy także trwogę, bo wiemy, że to, co robią „inni” jest poza ekonomią i pieniądzem, choć kupczyk o nich pogardliwie powie: „Pier... inteligentka, ni z pierza, ni z mięsa, łyse »nic«!”

25 lutego 2001 r.



WIESŁAW SZYMAŃSKI

Skawkoteka

/ fragmenty /

Nitosen

Panienka od smirnoffa wydaje się nie rozumieć. Może jest zaskoczona. Nie przygotowała się na taką ewentualność. Nie było na szkoleniu, nie przerabialiśmy. Szeroki blond uśmiech zamiast odpowiedzi. A przecież idea Czystego Pawia jest czymś absolutnie genialnym. Nie mówiąc już o ekologii. Skoro jest Czysta Przyjemność i Czysta Rozkosz – nie może być Czystego Pawia? (szlagwort na refren, uwaga: Bo taka natura jest pawia, że w pubie się czasem objawia... niezłe, co, oklaski, no).

Być może to krok do Pawia Absolutnego... Ben radzi nie mieszać guinnessa z żółdkową gorzką. A w ogóle to, Kris, pub nie jest dobrym miejscem na miłość. Ani na poezję...

Już rozumiem, dlaczego mój przepis na drink Czysty Paw nie robi na nikim wrażenia. Tylko Ben, że może spróbować. Kris śmieje się, chowając do torebki szklaneczkę kilkenny.

Pewnie, że pustą. – Spróbujcie koniecznie, może jeszcze dziś, wystarczy, że się stąd urwiemy. Jedna część srebrnego smirnoffa, jedna część guinnessa, jedna część kilkenny, kruszony lód, plasterki cytryny... i foliowy worek w butonierce. Short drink Czysty Paw z long wypróżnieniem...

A ona, ta blondynka od promocji, zamiast przynieść w podziękę cztery pięćdziesiątki, przysłała faceta z pytaniem: – Jak długo Państwo będą zajmować stolik? Joan już szykowała rączki, by rzucić w niego popielniczką. – Przeszkadzamy – zapytała – czy nie pasujemy? Tabliczki „Wapniaków nie wpuszczamy” na drzwiach nie było. – Spokojnie – Ben ma jednak dar przekonywania – zajmijcie się tym irlandzkim wynalazkiem...

Jakiś małolat ledwie zdążył donieść do toalety (chyba młodszy od mojego Łukasza – sący Joan), dwie licealistki rozbierają się koniuszkami języków (o, z pewnością młodsze siksy niż moja Karina – zauważa spokojnie Kris znad opustoszałej doliny kilkenney), a ten łysy znów przyszedł zapytać, czy przez pomyłkę nie wychodzimy? (Niech pani nie poprawia, pani Redaktor, tak powiedział – przez pomyłkę, no tak, powaga, Ben słyszał).

I ze złości podał nową kolejkę... Więc pobiegłem po dwie deski serów... Korzenie zapuszczę, myślę sobie przy barze, nim dziewczę o wyglądzie sfatygowanej panny po męczącym castingu pokroiło w kawałeczki dwa okrągłe camemberty, brie i fragment jakiegoś radamera, choć kłóciłem się potem z Joan, że mazdamer...

Rzuciła to wszystko na dwie deski wielkości talerzyka deserowego... Żeby ci z takich desek trumnę zrobili – pomyślałem, patrząc na barmana wstukującego na maszynie równowartość mojej dniówki... Ale nic nie mówię, lecę triumfalnie do stolika obiecując sobie, że choćby miały to być i trzy dniówki – i prawdziwa deska się w domu znajdzie, no i sera ile trzeba...

Przybiegam... a tu puste krajobrazy szklanicy, wypłukane chmielowe dolinki... więc Ben startuje w stronę tępego barmana, a ja myślę o notesie w kieszeni, wyjąłbym, zapisał wers albo dwa... Jeśli tak rzeczywiście powstawał Ulisses... nicto nowego... (ale ładne słoweczko-nóweczko: nicto, pamiętajcie biografowie – moje)... i już sięgałem po notes... wrócił Ben... Jezuniu, tylko się nie śmiejcie, siwe włosy, dorosłe dzieci, zamknięta czterdziestka... i pierwszy raz w pubie. Jak by kto powiedział tym wszystkim małolatom...

Kris chowa do torebki drugą szklaneczkę, Joan za potrzebą, Ben wyszedł zakomórzyć... prostuję nogi, zaciagam się głęboko fajką... jakaś starsza małolata puszcza do mnie oko... rozpływam się w obłokach amphory... zabrzdąknął ktoś gitarnie bluesa... Kris, dlaczego tańczysz na stole...wersie mój, wersiku niezapisany... wracaj... lecę ponad ratuszem, mijam kamienice przy rynku... zaczępiłem połą mojej włoskiej marynarki w angielskim stylu o wieżę katedry... Przeleciał obok Joyce... Chagall przycupnął na dachu cerkwi... sypnął z rękawa śniegiem gwiazd... Ben wyciąga dłonie... Kris tańczy..., a Joan... batutą mojego pióra kreśli na niebie imię chwili...

Hendry

Koniec wieku. Samotność. Lonia, 73 lata, zamknięta w drewnianym domu na obrzeżach wsi. Od wewnątrz, od czterech lat, sama. Nie odzywa się do wołających pod oknem ludzi, nie przyjmuje pozostawianych pod drzwiami pokarmów, odcięła przewody energii elektrycznej... Mówią, że ma twarz 30-letniej dziewczyny... i białe, długie białe włosy aż do pośladków... Może za dziesięć lat ogłoszą ją proroki... świętą...

Marek, 42, informatyk, programista, właściciel prywatnej firmy komputerowej:

Samotność internauty jest najgorsza, jest anonimowa. Wysyłam komunikat, list, fragment prozy – ze skrótem, hasłem, pseudonimem. Czytam listy dyskusyjne, odpisuję. Kilka godzin dziennie, kilkadziesiąt w miesiącu, a ile w roku... przez ile godzin w roku jestem anonimowo samotny... Globalna wioska McLuhana. Może globalna samotność...

Urszula, 25 lat, wielki biurowiec na skalę wielkiego miasta. Mrowisko.

Każdego ranka, kiedy tam wchodzi, dopada mnie to dziwne uczucie, nikogo nie znam, nikt nie mówi dzień dobry... Myślę, że wiem co czują mali ludzie wielkich wieżowców Manhattanu, Tokio czy Hongkongu... Samotność robotnicy mrowiska ze szkła i betonu...

Poczucie osamotnienia czy pustelnicstwo ery satelitów...

A Hendry ucieka do puszczy. Zamyka się w kosmosie ambony, tylko nie zrozum tego opacznie, bracie, chodzi o ambonę myśliwską, do myślenia, czy dzik przyjdzie, czy nie, albo do degustacji najnowszej wersji grunwaldki... Jak to – nie wiesz, co to grunwaldka... gdzieś ty się, bracie uchował... Włącz tego swojego notbuka...

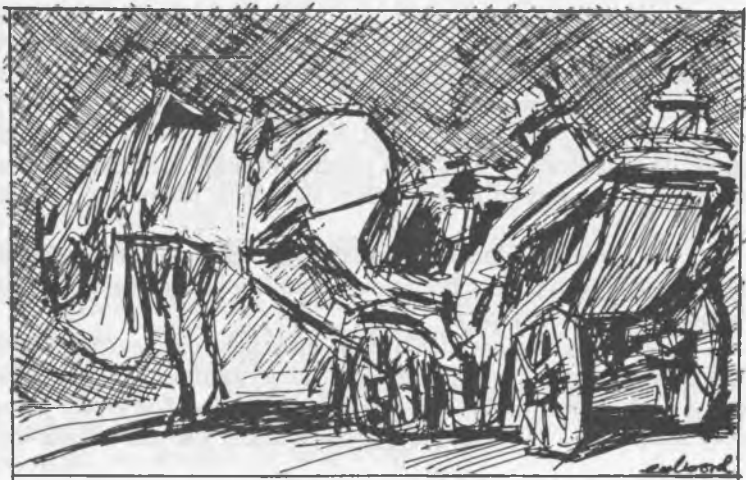
I co?

GRUNWALDKA – (Wielka, 92-tomowa Encyklopedia Wszecznasowa, Warszawa 2035, tom nie wiem który, strona do ustalenia) – Rodzaj wytrawnej wódki cukrowej, gatunkowej, wyrabianej przez ubogi lud w okresie reglamentowanej sprzedaży alkoholu w Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej, w niektórych rejonach znana pod postacią księżycówki, KPN-u – rozwiń skrót: Koniak Pędzony Nocą, brymuchy itp. Nazwa wiąże się z proporcjami składników użytych do produkcji, grunwaldka – 1410 – data bitwy pod Grunwaldem, rozwiń skrót: 1 – pierwsza liczba – jeden kilogram cukru, 4 – litry wody, 10 – dekagramów drożdży.

Wiesz już teraz, dlaczego Hendry ucieka do puszczy... Choć w po-

jedynkę ponoć szkodzi... Ale on ma kolegów, którzy też szukają samotności na ambonce... Siedzą więc tak sobie i samotnieją. Kieliszek po kieliszeczku uciekają bardziej i bardziej... Kiedyś nawet Hendry był już tak samotny, że zapłakał z wrażenia. Aż się zanosił pod sosnami, bukami, dębami, patrzył na Hendry'ego zazdrosny Kant, co to tylko niebo gwiazdziste, a tu i wszechświat zielony, puszczański nad Hendrym... ale co taki filozof może z tego nieba, nic, więc Hendry jeszcze bardziej... Aż widzi, gramoli się na ambonę najprawdziwszy odyniec! Zimno się po krzyżu zrobiło, łapie Hendry za flintę i już gotów przymierzyć, a dziczysko w te słowa: – Samotnyś, człeczko? – Po ludzku gada, myśli Hendry, chyba drożdży za dużo było. – Aaa – bąka – gdzie tam żonę mam, dwie córki, a i z kim wypić też, znaczy nie tak zupełnie. Pociągnęło dziczysko z flaszki, aż zabulgotało:

– To czego beczysz, warchlaki straszysz, żeby mi to było ostatni raz – bulgotnęło raz jeszcze – a jak nie strzelasz, to wracaj do tych swoich bab beczeć, zwierzyny w puszczy nie demoralizuj albo się w tym swoim dziepie zamknij i wyj – bulgotnęło nie za głęboko, stęknęła stara drabina i zanim Hendry oddech złapał, noc przykryła wszystko zieloną watą ciszy. Sięga Hendry po flaszkę, a tu nic, ni kropli, dzwoni coś, latarkę przybliża, patrzy, a na dnie dwa złote żołędzie...



Istotą bytu jest jego trwanie

W senne popołudnie gościńcem od wschodu, ciężkim, znużonym krokiem szedł człowiek. Widać było po nim, że drogę przebył daleką i nużącą. Przed rozwiewającymi się na boki połami jego białego szynela umykały ważki o zielonych i niebieskich odwłokach, polatywały z terkotem szare pasikoniki migocąc rubinowymi skrzydłami. W dużej dłoni silnego człowieka, zdawałoby się, starością ułożonej do jałowcowego kostura, niósł fajkę.

Na szczycie wzgórza przystanął i wyraźnie wzruszony spoglądał na ulegle rozciągniętą u jego stóp wieś. Podszedł do kruszni kamieni od wieków wytyczającej granicę między puszczą a chłopskimi polami i ciężko usiadł na czerwonym granicie. Zza pazuchy wyjął brązową skórzaną maszonkę, zacerpnął z niej szczyptę żółtego tytoniu i powoli nabił fajkę. Zapalił, cmoknął szybko kilka razy z czarnego ustnika i denkiem zapalniczki, reklamującej firmę ORTDUKT, uciskał w cybuchu żar.

W bezwietrznym powietrzu, nad głową człowieka w białym szynelu zawisła błękitna chmura dymu. W duszny, suchy zapach wrzosowiska i żywicznej sośniny wplotła się woń holenderskiego tytoniu Amphora i wędzonych śliwek.

Znał tę wieś... dobrze znał. Rozpoznawał dom po domu, zagroda po zagrodzie. Tu mieszkała pulchna Paraska, tu smukła jak sarna Anastazja, a przy tej dzikiej gruszy stała chata pracowitej, zwinnej Anny.

Z niektórych domów pozostały tylko kamienne obrysy fundamentów. Ale Jego pamięć bez trudu odtwarzała kształt chałup i zaszele w nich niegdyś wydarzenia.

Za wsią w rozwidleniu dróg mieszkała piękna Aleksandra. Nie ma tego domu. Przypomniatł sobie, jak jej zazdrosny mąż rozrąbał drzwi... jak wszedł do kuchni... jak Paraska z Jewdokią łapały go za poły marynarki... jak usiłowały powstrzymać... jak gad im się wy-

rwał... jak za mną, uciekającym oknem, rzucił siekierą... jak ta wbiła się w futrynę na wysokości mojej głowy. Jeszcze dziś czuję oddech tamtej, bliskiej śmierci.

Ale wtedy? Wtedy wszyscy obecni doświadczyli żywego cudu.

- Nie ma tej chaty – myślał – nie ma Fiołły, Paraski. Nie ma Anny, która co wieczór adorowała wbiłą przy oknie w ścianę siekierę i ukwiecała ją kwieciami z kolorowych bibulek. Kto dziś pamięta tamten cud, tamten tłum wypełniający izbę, cisnący się, trutujący... by choć dotknąć uświęconej siekiery.

Patrzył na pustą dziś drogę, pełną melancholii. Jakże wtedy tętniła życiem... Patrzył na drogę, na której wszystko się działo, na której kipiało ich życie. Chłopcy wychodzili z domów odprowadzani szerokim znakiem krzyża i lęklwym wzrokiem matek... Wychodzili na drogę i ginęli w świetle. Jedni powracali starsi, odmienieni... nie zawsze dobrze. Inni nie wracali nigdy. Zapominani, szlachetnieci powoli w coraz rzadszych wspomnieniach.

Niekiedy z pyłu drogi wyłaniali się obcy, zajmowali przy stołach puste miejsca i zostawiali na dłużej. Tak jak on.

W zielonych sadach, na wiotkich gałązkach kołysały się papierówki. Człowiek w białym szynelu patrzył chciwie i tęsknił do ich zapachu, smaku... do żółknących jabłek z brązową plamką po robaku.

Lubił te sady pełne brzęczenia pszczół. Lubił je wiosną, kiedy pachnące jak piersi Paraski napełniały go spokojem, gdy nakrochmalona pościel i szalejąca biel kwieciami przywodziły na pamięć uroczystą świętość życia. Tym radośniej robiło się w sercu, im więcej drzew sypało płatki na runiejącą trawę i im na świetle było cieplej... A najcieplejsze dłonie miała zwinna Anna.

Ech, te pijane wieczory w wiśniowych sadach, te baby o naiwnych oczach zdradliwie zielonych, piwnych podejrzliwym uwielbieniem i błękitnym mgłą oddania... Te noce... coraz krótsze, pełne koszmarów sennych o kolejnej ruskiej smucie, bolszewickiej rewolcie i zdżuczeniu.

Gdziekolwiek się pojawił, rozpoznawano w nim Imperatora Wszechrusi... Wielkiego Mikołaja Aleksandrowicza... Cara surowego sprawiedliwością, ojczulka – batiuszkę.

Wydymował wtedy z kieszeni srebrnego rubla i ukradkiem przyglądał się swojej podobiznie na awersie. Dobry to portrecista robił, są jak dwie krople z tej samej wody.

- Pogoda była piękna, jak dziś – rozmarzał się człowiek w białym szynelu. Znowu zobaczył chłopską furkę zajężdżającą pod cerkiew w Michałowie. W świątyni było cichutko, tak jakby ktoś tutejszy świat zamknął w mydlanej bańce. Stał i patrzył w migdałowe oczy, oliwkowe twarze świętych. Czuł się tu bezpieczny, tak bardzo bezpieczny, że zapomniał wszelkiej modlitwy, wszelkiej wdzięczności i proszącej nadziei. Po prostu stał pod kopułą i był. Cieszył się istnieniem... kiedy tam płonęła święta Ruś i gdy za chwilę miał zapłonąć cały świat, tu nic mu nie groziło. Ze środka ciszy wyrwał go głos woźnicy.

- Pane... mene pora u chatu jechati...

- Tak ujeżdżaj czelawiecze... Boh z taboju.

- A hroszy z wami?

Pogmerał w kieszeniach i nic nie znajdując rzucił chłopu ostatnią srebrną rublówkę ze swoją podobizną, tę pierwszą wybitą w mennicy, która miała przynieść monarsze szczęście.

- Na!

Wyszedł przed cerkiew. Zaskoczony stanął oko w oko z tłumem bab i chłopów, poprzetykanym wyblakłymi mundurami żołnierzy. Któryś krzyknął gromko:

- Stroiiii! Smirrrrno!

Krzyk poderwał tłum. Mężczyźni wyprężyli się, wypięli pierś, urośli i unosząc twarze lekko ku górze patrzyli mu w oczy psim wzrokiem.

Kobiety, przeczuwające na wszelki wypadek we wszystkim jakieś nieszczęście, skuliły się w sobie. Ale co młodsze, zuchwale załotne, kątem oka zerkały mu hardo w oczy.

Ten sam żołnierz, dyszkantem marszowego zapiewający, podał tłumowi świętą pieśń... i poniosło ulicami Michałowa...

Boże cara chrani silnyj dierżawnyj. – Setka gardeł podjęła: – *carstwuju nam sławnyj wielikij car...*

Kiedy pieśń przebrzmiała, z głębi podłych wnętrzności ulicy doleciał go krzyk:

- Kab ty... jebu twaju mat'... padoch, bielaja sabaka!

Zaraz też tam zrobił się tumult, wrzask... Suchy strzał rewolweru. Człowiek w białym szynelu odwrócił głowę. Takich scen naglądał się w Rosji co dnia...

Żydzi, jak zdmuchnięte świece, znikli z ulic. Pośpiesznie zamykali okiennice i podsuwali do drzwi szafy, skrzynie. Tylko głuchy

Weremiej przyłożył dłoń za ucho i pytał sąsiada:

- Powiedz mnie, Szlomo, że to nie fakt. Powiedz mnie, że to nieprawda. Co ja mówię... ty im to powiedz. Ty im powiedz, że to nie my wyssali Hawryłkę.

Człowiek w białym szynelu wiedział, że ma na tłum wpływ. Ale dziś rozumiał, że pójdą za nim gdziekolwiek ich poprowadzi, bo porażał ich strach. Nagle mogli robić to, o czym do niedawna nawet bali się myśleć. Mogli nareszcie mówić: Nie. I to ich przerażało.

On im przywracał równowagę i wiarę w to, że ktoś ich prowadzi, wytycza im kierunek. Znowu beztrząsco będą się mogli napić wódki i wlać rano babie, bo... skończyły się kiszzone ogórki.

Rzecz w tym, że nie bardzo wiedział dokąd iść, więc postanowił pozostać tu, wśród tego na pozór łagodnego ludu. Wędrował z nimi od wsi do wsi, od zagrody do zagrody, rozpalając w jednych uwielbienie i miłość, w drugich niechęć i agresję, zwłaszcza że oboje opuszczali wtedy, gdy już w nim nie było do jedzenia.

Któregoś dnia czmychnął im i skrył się w cieniu sławy miejscowego bohoma, uznawanego powszechnie za ponownie przyszedłego na świat proroka Ilję i okrzykniętego, wzorem sławnego Jana Kronsztadzkiego, cudotwórcą.

Ludzie przestraszeni hiobowymi wieściami ze świata i frontu, przynoszonymi przez dezertów z różnych formacji i zarażonych rozmaitymi politycznymi bredniami, szukając ukojenia, nieśli do stóp Oca Ilji swój strach, bezradność i dostatki. Gdy tymczasem on, prawowity władca ludzi i dostatków, zarabiał na życie czym?... Szyciem chłopotom butów ze skóry zdartej z obić kanap i foteli.

Dola jego poprawiła się znacznie, gdy zaczął układać hymny na cześć Stwórcy świata i proroka Ilji.

Dziś, siedząc na czerwonym głazie oddzielającym pola od lasu, człowiek w białym szynelu zastanawiał się, w którym miejscu popełnił błąd?

Z czasem, obok ascetycznego kultu proroka Ilji, na zasadzie przeciwności, zaczął się formować, pełen radosnego pojmowania świata, kult „Mikajaja Regisa”. Tu człowiek w białym szynelu uśmiechnął się do siebie – na mistyczne uwznioślenie potrzeby bachanaliów w człowieku zawsze można liczyć.

Malutki na początku strumień gotówki oraz wszelkiego dobra oddzielił się od ekonomicznego nurtu fenomenu Ilji i popłynął do nad-

stawionych dłoni „Regisa”. Zaraz też odnaleźli go niedawni wyznawcy. Zjawili się ze sztandarami, tłumnie aby oddać „ojczulkowi” pokłon i wieść „żywot pasożytów” – jak mawiał, ganiąc ich, prorok Ilja.

Niewątpliwie, lud ten w swej prostocie i łatwowierności nie wymaga wielkich zachodów... ale da się z niego żyć. Może zbyt lekką ręką wydawałem to, co mi znosili... Pieniądże deprawują nawet mnie, cara.

Do rewolucji prawie ich nie tykał. Nie musiał. Wielka armia umundurowanych urzędników – dbała o to, by wszelkie dobra świata miał na wyciągnięcie ręki. O tym, że bez pieniędzy nie da się żyć, dowiedział się późno... zbyt późno. Zaś do anarchistycznej myśli, że pieniądze są po to by je radośnie szybko wydać, doszedł sam – wędrując przez upodloną bezhołowień Ruś. – Tyle mego ile wydam, nim mi ukradną.

Tu odkrył dziwaczną prawidłowość, można rzec... lokalne prawo ekonomiczne: im więcej wydawał, tym więcej do jego rąk wracało. Co przekładało się na inny tutejszy fenomen: im bardziej nimi pogardzał, pomiatał i obrażał, tym większą otaczali go czcią, tym bardziej go kochali.

- Walić? Łupić u mordy?... Widać takoj jeho zakon...

To że znosili mu rzeczy, żywność, pieniądze, że kobiety oddawały mu się ze wszystkim, że rujnując rodziny przepisywały na niego domy i ziemię, przypisywało go o młodości. A jednocześnie narastało w nim poczucie niższości i niechęć do człowieka, w cieniu którego egzystował.

To był groźny cień, bo czysty. Ten nawiedzony dureń planował naprawę świata przez moralną odnowę, wstrzemięźliwość, budowanie szkół... Nie korzystał z darowanych mu dóbr, a budował im cerkiew. Ten analfabeta nie potrafiący rachować upokarzał go, wykształconego „Mikajaja Regisa”, chciał budować im szkołę.

W swoich eksperymentach posunął się tak daleko, że oddając mu cześć musieli go błagać, by przyjął to, co przynieśli w dani. Na złość „Ilji” wywraçał powszechne zasady wiary. Przyznał sobie część mocy Trójcy Świętej i z wybranymi „matkami boskimi” płodził zbawiciela. Kiedy nudziła mu się kolejna wybranka, rzucał ją związaną odjeżdżającym pątnikom na furę, mówiąc:

- Kińcie jejo u reczku... jana nie czystaja.

Pątnicy zabierali wypadłą z łask nieszczęśnicę. Chwała Bogu, miękkie serca kobiet nie dopuściły, aby Sokołda czy Supraślanka stały się powiernicami grzechu ostatniego cara Rosji, „Regisa”.

A on, podnosząc pijany łeb nad suto zastawiony stół i obmacując kolejną uległą kandydatkę obiecywał im, że zmartwychwstanie:

- W przyszłym roku mnie minie trzydzieści trzy lat... i wy przyjdziecie i przywieźcie was fałszywy prorok Judasz Iskariota zwany Iliją i ukrzyżujecie mnie i ja w trzy dni po raz trzeci zmartwychwstanę.

Siedzący na kamieniu człowiek w białym szynelu przywołał z pamięci tamten dzień. Z południa szli zdrożeni, zmęczeni pątnicy, na barkach nieśli sporych rozmiarów dębowy krzyż i wszystko co było trzeba, by „dokonało się”. Szedł z nimi nawet Cygan, który w odpowiedniej chwili miał ukraść jeden gwóźdź.

Szczęściem ostrzeżony w porę „Regis” zmychnął, a pątnicy, nie bardzo wiedząc o dualistości obiektu ich zainteresowań, poszli ukrzyżować „Ijasza”.

O awanturach, jakie rozegrały się tutaj, dowiedział się dużo później z gazet, rozpraw marksistowskich socjologów, z nierzetelnych książek i głupawych sztuk teatralnych, pisanych na zapotrzebowanie odwiecznych wrogów dekalogu.

Rozpiął biały szynel... pod nim miał ciemniejszą, ale również białą bluzę mundurową, wypuszczoną na sukienne granatowe spodnie z czerwonym podwójnym lampasem.

Uśmiechnął się do swej wyobraźni malującej mu sceny ucieczki Iliji, a głośno roześmiał się, widząc jak stary cap zdyszany wpada do jamy z ziemniakami, jak nagarnia na siebie słomę, jak się trzęsie ze strachu, kiedy chłop widłami sąduje dno jamy...

Zdjął generalską czapkę i delikatnie złożył na sąsiednim kamieniu. Wyjął z ust fajkę... popiół wystukał o obcas. Palcami przeczeszał gęste ciemne włosy, poprzetykane białymi pasmami siwizny. Plecami oparł się o białą brzozę. Wyciągnął zza pazuchy lusterko, przyrzął się sobie.

- Schamiałeś, Mikołaszka... Schamiałeś, ale żyjesz – powiedział i wystawił twarz do słońca. Czuł, jak ciepło rozluźnia skórę na policzkach. Dzioby po przebytej ospie pociemniały. Zamknął wolno oczy.

Cykady umilkły, tylko z odległej zagrody dobiegło skrzypienie żurawia i odgłos pustego wiadra tłukącego się o cembrowiny studni.

Z cienia lasu wyszli Bazyl i Fiodor, niosąc po koszyku pięknych jak senne marzenie borowików i krasniaków. Zobaczyli śpiącego w białym szynelu człowieka i zmartwieli. Potrząsnęli głowami i nic... jak siedział tak siedzi. Potarli kułakami oczy. Nic... widzą go. Bazyl uszczypnął się w policzek. Nic. Fiodor wyjął z koszyka nóż i z rozmachem dźgnął się w zadek. – Auuu! – zawył.

Śpiący na ułamek sekundy błysnął węglem lewego oka i spał dalej.

– Bazyl... widzi to co ja? – spytał szeptem Fiodor, pokazując brodą śpiącego.

– Widzi.

– Ale czy ojczulka widzi?

– Ojczulka, Fiodor, ojczulka.

– Bazyl – powiedział Fiodor przetykając głośno ślinę – postaw koszyka i leć na wioske. Niechaj w trymiga wybioro komitet powitalny i budujo brame. A baby niech gotujo, pioko, robio tam... co która ma...

– A ty co?

– Ktoś przy im musi być jak oczy odpluszczy... nie? Aha... Słucha... U mnie w świronku, przy drzwiach po lewej... odkopio kankę. W jej znajdo transparenta. Co gały wytrzeszcza? Ten same, co we wojne Czerwono Armie my witali. Zapomniał? I sztandara... Tylko niechaj baby elegancko jego odprasujo... Druga kanka po prawej jest z samogonko... Niechaj też odkopio i zaprawio przypalanke.

– Jaki u ciebie, Fiodor, sztandar jest? Toż my jego z towarzyszem sekretarzem wojewódzkim w moim świronku zakopali!

– A tak! Komunistycznej Partii Zachodniej Białorusi, gamoło! I słucha... Niechaj do komiteta Kracika nie wybioro, bo to najgorszy had, zaprzaniec, niepewna gnida... za inteligenta zrobił sie.

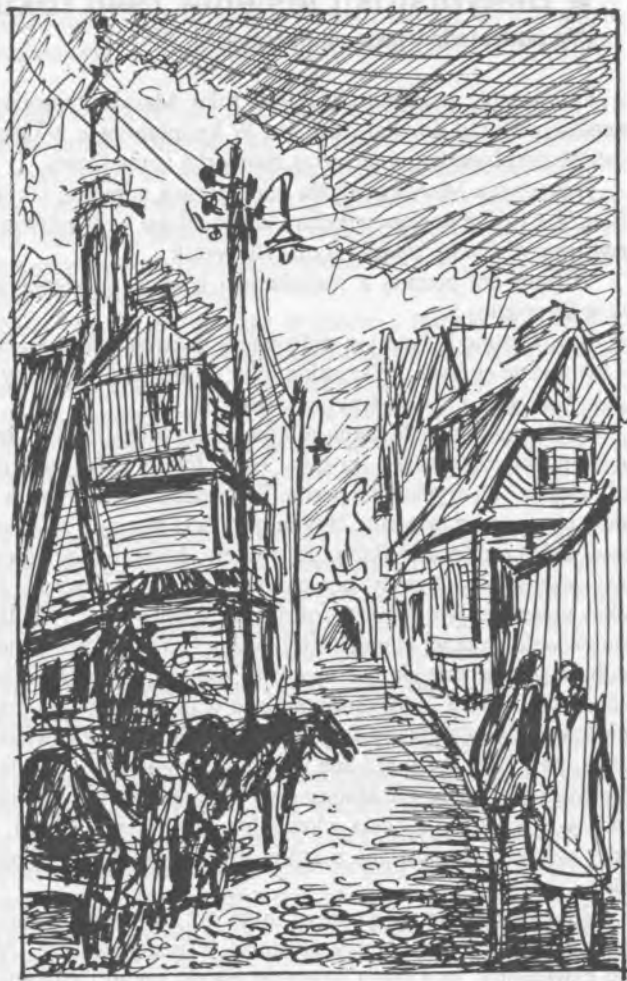
Człowiek w białym szynelu słuchał uważnie. Przyglądał się im spod opuszczonych powiek i myślał: – Tym razem wam skurczybyki nie popuszczę. Najpierw z Fiedżki zrobię Trockiego. Na Dzierżyńskiego, czuję, nada się Kracik... A do posprzątania po was jakiegos Berię sobie wyhoduję.

Z przerażenia mrówki zatrzymały swój uparty marsz, gąsienicy w gardle utkwiał kawałek liścia aż się rozkaszała, biedronka uleciała do nieba, machając rozpaczliwie skrzydłami. Ultramarynowy gnojek leżał w koleinie na plecach i bezradnie przebierał łapami.

A przez wieś... środkiem ulicy, między koleinami wyjeżdzo-

nymi przez żelaźniaki, pędził co sił w starych nogach, sfatygowany wiekiem, sponiewierany przeżyciami i gorzałką Bazyl, wrzeszcząc wniebogłosy.

- Luuuuuuuudzie! Niechaj wychodzo! Wszystkie niechaj wychodzo! Wrócił! Nasze słonko... nasz Ojczulek Wissarionowicz wrócił!



Kolejkowe zmagania w Białymstoku jesienią 1940 roku

(Na podstawie własnych przeżyć)

Pod koniec października 1940 roku Maryla zaproponowała nam wspólny wyjazd do Białegostoku. W kooperatywie w Ozginowiczach nie można było kupić nic poza machorką i zapalkami.

Propozycja Maryli znalazła więc gorącą aprobatę tak u mnie, jak i Zosi. We trójkę postanowiliśmy wziąć udział w wyprawie do cudownego rogu obfitości, za jaki słynął Białystok.

W parę dni później z walizkami i koszykami stanęliśmy na dworcu w Słonimie.

Zaopatrzone byliśmy z sielsowietu w świstki papieru bez pieczęci - tak zwane sprawki. Wszystkie niby to miałyśmy rodziny w stolicy Zach. Białorusi i jechałyśmy je odwiedzić.

Po dwu godzinach stania w kolejce po bilety zdobyłyśmy nareszcie błogosławiony wstęp do raj. Teraz trzeba było zająć miejsca w innej kolejce - do wyjścia na peron. Po godzinie oczekiwania wydstaliśmy się na peron, aby tu z chwilą przyjścia pociągu zająć miejsca w trzeciej kolejce przy wsiadaniu do wagonu. Musiałyśmy przez dłuższy czas szczebiotać hymny pochwalne i przywoływać na pamięć wszystkie pieszczotliwe słówka rosyjskie, składać ręce i zaglądać w oczy nadzwyczaj ważnej i znakomitej osobie - „towariszcz konduktorsze”, żeby łaskawie raczyła nas wreszcie wpuścić do sanktuarium sowieckiego kolejnictwa. Zajęłyśmy miejsca w przepełnionym przedziale. Pociąg ruszył, poczułyśmy się już bliskie celu, ale też uświadomiłyśmy sobie, że żadna z nas nie zna miasta Białegostoku. Maryla miała od znajomych ze Słonima dokładny opis rozmieszczenia ważniejszych kooperatyw w mieście, a Zosia adres i list do jednej Żydówki, znajomej innej żydówki słonimskiej, u której przed wojną zaopatrywała się w towary.

Gdy wysiadłyśmy z pociągu, było już zupełnie ciemno. Mżył drobny, lecz gęsty, przenikający do kości jesienny deszcz. Dworzec był suto oświetlony, lecz miast dawnego estetycznego i imponującego

wyglądu, sprawiał wrażenie jakiegoś kłębowiska walczących ze sobą i śpieszących we wszystkich kierunkach kaśliwych i brudnych owadów. Ludzi schludnie, gustownie ubranych prawie nie było widać.

Początkowo nie wiedziałyśmy, gdzie się ruszyć, bo wszystkie przejścia były zatarasowane kolejkami, a na metrze kwadratowym znajdowało się przynajmniej 10 osób. Najgrzeczniej jak umiałam, spytałam pewną urzędniczkę kolejową o wyjście na miasto, lecz ta obsypała mnie stekiem wyzwisk, że nie pozostawało nic innego, jak uciekać i torować sobie drogę łokciami na wzór innych. W ten sposób po długich krążeniach i omijaniach kolejek znalazłyśmy się wreszcie na ulicy.

Kiedy wydobyły się z mrowiska gniewu i pośpiechu, wrócił nam świetny humor. Śmiejąc się w kułak, by zbytnim hałasem nie zwrócić, broń Boże, na siebie niepożądanego zainteresowania milicjanta, dzieliłyśmy się wrażeniami z „tolkuczki” dworca. Niestety, dobry nastrój prędko się ulotnił, gdy deszcz przemoczył okrycia głowy i zaczął się sączyć za kołnierz, chcąc widocznie z większą wylewnością uczcić przybycie nowych gości.

Nogi raz po raz grzęzły w błocie i trafiały w większe lub mniejsze kałuże, gdyż ulica, podobno Kolejowa, nie zdobyła się jeszcze na cementowe chodniki i odpowiednią ilość latarni.

Sygnal autobusowy przyprowadził nas o historyczny wybuch radości. Znać więcej było postaci w tych ciemnościach egipskich, gdyż jezdnia zadudniła od kilku dziesiątków biegnących w stronę autobusu nóg.

Podążyłyśmy za wszystkimi. Przybyłyśmy w sam czas, by zająć ostatnie miejsca w autobusie kursującym od dworca do śródmieścia. Kołyszącej się i podskakującej zgodnie z rytmem podrygującego plastycznie na wybojach cywilizacji europejskiej cielska benzynowego smoka, Zosi udało się nawiązać rozmowę z pewną Żydówką, która podjęła się za wynagrodzeniem zaprowadzić nas pod adres wskazany przez słonimską sklepikarkę.

Z bijącym sercem wkraczałyśmy parę kwadransów później do zanoszącego specyficznym zapachem mieszkania. Młoda, przystojna gospodyni wzięła do rąk kartkę od dalekiej znajomej i przeczytała ją uważnie. Wygnieciony liścik spełnił swe posłannictwo. Piękna Rachel uśmiechnęła się uprzejmie i zgodziła przyjąć nas na noc, przepraszając zawczasu za niewygody. Szeroka kanapa, na której musiałyśmy się zmieścić wszystkie trzy, na szczęście okazała się wolną od krwiożerczych insektów i zmęczone podróżą usnęłyśmy snem sprawiedli-

wych.

Obudziłyśmy się już o trzeciej rano, aby iść do kolejki. Pani Rachel dała nam odpowiednie wskazówki - jak tłumaczyć się przed milicjantem i jak dostać się do najwspanialszego i najobfitszego w manufakturę sklepu przy ulicy Sienkiewicza. Powiedziałyśmy, że idziemy na dworzec, więc zostałyśmy przepuszczone.

Staraliśmy się stapać jak najciszej idąc ciemnymi uliczkami, biegnącymi równolegle z oświetloną ulicą Sienkiewicza. Po dłuższym skradaniu się, któremu zdawało się, że nie będzie końca, odnalazłyśmy ulicę Fabryczną, za nią jakąś poprzeczną, która nas wyprowadziła na ciemniejszą część ulicy Sienkiewicza i za wielkim murem przydługi płot. Tam stała już potężna kolejka. Przytuliłyśmy się wszystkie trzy do płotu. Rozmawiałyśmy szeptem jak i inni. Nasza sąsiadka gadatliwa, energiczna kobietka poinformowała, że dziś kolejkę już trzy razy rozpędzano.

- Jak to? - spytałam - Tu stać nie wolno?

- A nie! Jak zobaczy pani milicjanta, to uciekaj czym prędzej, zaś uciekając w boki i przed siebie patrz, aby cię z pojazdu wyskoczywszy, drugi milicjant nie złapał. Oni się zmawiają, pochowają się, a potem wyskoczą po cichu i łapią.

- A, jak złapią?

- To już źle. Zaprowadzą na milicję, dokumenty sprawdzą, jak masz w porządku, to pieniądze zabiorą i o siódmej godzinie lub później wypuszczą. A, nie masz papierów, to cię na robotę popędzą, a czy wrócisz - widłami po wodzie pisano.

- Cóż to, do Rosji wywożą?

Odpowiedź nie nastąpiła, bo w tej właśnie chwili rozległ się w pobliżu straszliwy ryk:

- Rozchodziś, skocina!

Thum przywarł do płotu w jednej chwili zakotłował i skoczył do ucieczki. Ponieważ zaś jezdnia w tym miejscu była obramowana gazonomi wznoszącymi się powyżej chodnika i jezdni, a drogi wybierać nie było czasu, zresztą jej w egipskich ciemnościach wcale nie było widać, kilku nieszczęśliwców potknęło się i upadło, inni zaś wpadli na leżących.

Jeden milicjant był z tego ucieszony. Pojmał aż dwie ofiary i z tryumfem prowadził do komisariatu. Większość sprytniejsza ile sił w nogach zmiatała w górę ulicy Sienkiewicza lub zbaczając we wszelkie napotkane ciemne zaułki.

Z lekkością gazeli rwała naprzód pokonując bez chwili wa-

hania wszelkie tak żywe, jak i martwe przeszkody. Oprzytomniałam, gdy tuż przede mną rozległ się nowy okrzyk:

- A, wy kuda towarzysczy?!

Nowe drgawki i kołysanie się tłumu. Niektórzy zatrzymali się, biegnący z tyłu wpadli na nich, potem rozbiegli się po jezdni i w boczne uliczki. Dziękowałam Bogu, że nie urodziłam się Kusocińskim, że nie wyprzedziłam wszystkich i przez to uniknęłam miłego towarzyszenia milicjantowi. Biegłam teraz w ten sposób, by być w środku, nie wysuwając się zbytnio naprzód, ani zbliżając do murów.

Wreszcie pogoń ustała. Uciekający zatrzymali się i po kilku minutach, z odważniejszymi na czele, skradając się zaczęli powracać do płotu. Ja również wróciłam na miejsce do kolejki, gdy nagle:

- Tak wy znowu czorty sobraliś?! - rozproszyło licznych amatorów manufaktury.

Po jakimś czasie znowu udało mi się wraz z innymi wrócić do kolejki. Na tym wszakże nie skończyło się. Jeszcze coś ze sześć razy trzeba było uczestniczyć w powszechnych wyścigach, zachęcających do szybszego biegu ochrypłymi od wyężdżania głosami toreadorów:

- Skocina, czorty, ja wot ciebie pokażu!

Za każdym powrotem starałam się stanąć bliżej mety, a gdy się trochę rozwidniło, odnalazłam stojącą w pobliżu Marylę. Zosia się gdzieś zagubiła. Cieszyliśmy się, że stoimy niezbyt daleko od drzwi sklepu. Radość ta była przedwczesna.

W parę minut po wygaszeniu latarni ulicznych, około siódmej kolejka dostała prawo formowania się. Została przeto dokładnie zreformowana i dokompletowana. Stojący przed nami kolejkowicze mieli dużo znajomych lub zbyt dobre serca, więc między nimi wciskało się trzy razy tyle osób, co już stało.

Byli i tacy, którzy bez słowa tłumaczenia „wciskali” się nie zwracając uwagi, że kogoś tym samym „wyciskają” z kolejki.

Byłam tak dokładnie sprasowana poprzednikami i następcami, że nie było mowy o jakimś ruchu, ba nawet o głębszym oddechu. Utrzymywałam się w kolejce tylko dlatego, że mając prawą rękę przy płocie, trzymałam się kurczowo. Ciągłe przymusowe cofanie się, gnienie i podbijanie ręki przez sąsiadów sprawiło wszakże, że po przeszło godzinnej takiej walce - zabrakło mi sił.

Ręka zdrętwiała, palce zmarznięte rozluźniły się, deska parkanu wymknęła się bezpowrotnie i zostałam wypchnięta z kolejki. Właśnie w tej chwili milicjanci odpędzali tak zwane „przylepki” i także udział spotkał mnie, choć Maryla i parę innych osób krzyczało, że tu

od początku stałam, lecz zostałam wysunięta. Energiczny protest został jednak stłumiony groźbą komisariatu i aresztowania.

Tłumiąc łzy odeszłam spędzona nawet z chodnika. Pół godziny później i Maryla postradała swoje miejsce w kolejce. Poszliśmy więc szukać szczęścia gdzie indziej, tym razem z większym skutkiem. W mniejszej kolejce zdobyliśmy pończochy i nici, będące skarbem w sowieckim raju. W innej kooperatywie kupiliśmy 1/2 kg cukru. W krótkich kolejkach, po 2-3 godzinach stania dostaliśmy po półtora kg cukru, ocet, mydło i znów pończochy i nici. Wielkim szczęściem było zdobycie po kilka metrów perkalu w cenie 3 rubli za metr.

Przed wieczorem ogromnie zmęczone, obciążone ciężarem zakupów, ale bardzo zadowolone wróciliśmy do domu pani Racheli, gdzie zastałyśmy Zosię. W cieple przy szklance herbaty gawędziło się mile i oglądało zakupy.

Następnego dnia udaliśmy się ponownie do kolejki na Sienkiewicza, ale nie tak wcześnie pamiętając o wczorajszej bezcelowej bieganiu. Dawano po 10 m perkalu w cenie po 2-3 ruble. Niestety, dla nas nie starczyło. Poszliśmy więc szukać innych kolejek. Odkryliśmy też nową krynicę czarów.

Na placu targowym, za Rynkiem Kościuszki stał olbrzymi budynek pod szklanym dachem, tzw. „hale”. Tu były niezliczone kramiki galanterijne i spożywcze z cukrem, cukierkami, marmoladą, śledziami itp. Zyskiwało się tu na czasie, bo od jednej kolejki można było przebiec parę kroków do drugiej, trzeciej...

Mydło toaletowe i szpulkowe nici można było kupić tylko po jednej sztuce, krążyliśmy więc w kółko po kilka razy, aby kupić więcej. Była to dziwna mądrość sowieckiej polityki gospodarczej. Dwie porcje kupić od razu było niedozwolone, lecz zgłaszać się powtórnie nikt nie bronił. Tylko cukier był wyjątkowym produktem. Zsypując go do większej torebki z poprzednią taką zdobyczą, trzeba było ukryć się gdzieś w kącie za pustym kramikiem i pilnie uważać, czy nikt nie śledzi tej „zbrodni”.

Na nieszczęście około czwartej po południu „hale” zamykano i zostawało tylko miasto z wiatrem i słotą. Odniosliśmy więc zdobyty towar do pani Racheli i znów pobiegliśmy na „polowanie”. Należało wykorzystać każdą chwilę pobytu w mieście.

I tak to parę dni przebyliśmy w oazie wszelkich dóbr, jaką był na Zachodniej Białorusi - Białystok. Zdobywszy płótno, perkal, obuwie, galanterię i około 5 kg cukru i tyleż cukierków oraz zapłaciwszy Żydówce za noclegi, postanowiliśmy wracać do domu.

Teraz było nowym zagadnieniem, jak dostać bilet i uniknąć rewizji wsiąść do pociągu. Spakowaliśmy więc zdobycze tak, aby zajmowały jak najmniej miejsca i nie rzucały się w oczy. Materiałami owinęliśmy się pod płaszczami. Aby manufaktura nie obsuwała się, umocowaliśmy ją zdobycznymi pończochami i agrałkami, niby szelkami.

Szczęśliwie udało się nam dotrzeć na dworzec, kupić bilety w długiej kolejce do kasy i uniknąć rewizji osobistej, której dokonywali często milicjanci. Zdarzało się, że zabierali cały towar i znaczną część gotówki jako karę.

Z liczną grupą podróżnych wydostałyśmy się wreszcie na peron, a tam już wszystko poszło łatwo i szczęśliwie. Wykorzystałyśmy chwilę, gdy konduktor odszedł najwidoczniej na papierosa i wsiadłyśmy do wagonu, przepełnionego do ostatnich granic możliwości.

Uradowane wszakże byłyśmy i ze zdobycia miejsc stojących. Potem wojskowi, którzy zajmowali cały przedział wdali się z nami w rozmowę, ustąpili nam miejsca, a sami ulokowali się na swoich kuferkach.

Podróż mijała szczęśliwie i szybko na rozmowie, a później i na drzemce. Nareszcie ukazał się Słonim. Minęliśmy most na Szczarze i lokomotywa gwizdząc i sapiąc zatrzymała się na dworcu.

Taraszczyzna, gm. Wołpa 1942 r.

Jedenaście małych szyszek

Zamiast prologu

Miewałem różne spotkania z ludźmi i rozmowy z nimi o tamtych, wojennych czasach. Opowieści ich były nabrzmiałe ogromem wydarzeń, które przeżyło to pokolenie. Jawiły się w tych opowieściach czyny bohaterskie i martyrologia. Lecz czasem – chociaż rzadko – słuchałem innych opowieści bohaterów wojny. I wtedy wydawało mi się, że zaglądam w tak ukryte zakamarki ich duszy i serca, jakich nigdy nie podejrzewałem. Były to monologi psychologiczne bohaterów, które wyrzucali z siebie, jak skrzepy krwi. Oto jeden z nich...

Było to w 1945 roku. Po prawie pięcioletniej tułaczce wojennej wróciłem do Suwałk. Rodzina, znajomi, powrót na ten bruk co świecił dziurami, ale to było takie swojskie i kochane. W rodzinie i z przyjaciółmi rozmawiało się tylko o wojnie, bo wojną żył wówczas jeszcze każdy i ona, a raczej to co pozostawiła po sobie wypełniało długie godziny naszych rozmów. Wracały w tych rozmowach dni łapanek, aresztów, gilotyna królewiecka, szubienica na rynku i nazwiska, dużo nazwisk. A z nimi pytania: co z nim? gdzie jest...? I padały odpowiedzi: poległ w partyzantce, zamordowany w obozie, na zachodzie, w tajgach Sybiru, w lesie. Pewnego razu, podczas takiej wieczornej rozmowy z przyjaciółmi, przypomniałem o kimś.

- Henryk...? Jak to, nie słyszałeś o nim? – zasypano pytaniami i miano mi wręcz za złe, że nie wiem o tym bohaterze tego, co już wokół jego osoby urastało do legendy. A więc opowiedziano mi o jego partyzantskich przygodach, zranieniach, szpitalu, uprowadzeniu stamtąd przez partyzantów, no i wreszcie ta sensacyjna działalność wywiadowcza w Puszczy Boreckiej.

- Odwiedź go, a sprawisz mu tym na pewno radość, bo stał się jakiś bardzo smutny i zamknięty w sobie. Może przed tobą się zwierzy ze

swoich przeżyć. On leczy się u narzeczonej. Idź do niego, przecież kiedyś byliście serdecznymi przyjaciółmi – namawiano mnie.

Nie trzeba było namowy. Szybko poszedłem do kwatery Henryka. Był sam w pokoju i kiedy wszedłem, chwilę przyglądał mi się uważnie, jakby nie poznawał, bo tyleż lat i wydarzeń oddaliło nas od siebie.

- Henryk! – krzyknąłem radośnie. A on energicznie wstał z kanapy, wręcz podbiegł do mnie, złapał w swoje mocarne ramiona, aż uniósł w górę, zakręcił mną młynka i syknął z bólu, bo go zapiekła zraniona noga. Staliśmy tak chwilę wzruszeni i patrzyliśmy na siebie, co też to z nas, byłych sztabaków suwalskiej "Budy" wyrosło. Lubiliśmy się niegdyś i to bardzo.

- No, stary, takie spotkanie trzeba godnie uczcić – rzucił uradowany Henryk. – Idziemy do knajpy Kupicha.

Był dzień powszedni i pokoik, taki mały obok kuchni, świecił pustką. Podano nam gorzałkę, zakąski, wypiliśmy po jednym, zapaliliśmy papierosy i chwilę, w milczeniu, wpatrywaliśmy się w siebie, bo pytań było tyle, jak to po latach. Nie wiadomo o co najpierw pytać, o czym mówić? A więc najpierw powspominaliśmy tych dawnych przyjaciół, których już nigdy nie mogliśmy spotkać...

Lecz nie to mnie interesowało. On mnie interesował i jego wręcz sensacyjne przygody wojenne. Ale Henryk omijał ten temat, jak jakąś zdradliwą rafę i nie dawał wciągnąć się we wspomnienia o tym.

- Słuchaj, Henryk – próbowałem wciągnąć go we wspomnienia – nie chcę, żebyś opowiadał mi o wszystkim, co przeżyłeś w wojnę, bo to może i bolesne, zbyt świeże i jeszcze nieodležałe. Ale, wiesz co mi opowiedz? To, co z przeżyć wojennych wryło ci się najbardziej w pamięć. Coś, co będzie chodziło za tobą latami, radując lub gnębiąc ciebie. Rozumiesz, o co mi chodzi...?

Henryk spojrzał na mnie z jakimś tajonym wyrazem bólu, wstał od stołu, przeszedł się kilka razy po pokoiku, potem zatrzymał się przed obrazem wiszącym na ścianie. Stał chwilę i patrzył, lecz chyba nie w obraz, a oczami wyobraźni widział tamto wydarzenie, które widocznie do radosnych nie należało. Wreszcie usiadł. Dostrzegłem, że spośpinał, że coś wzburzyło go wewnątrz. Siegnął po butelkę, napełnił kieliszki, szybko wypił swój, zapalił papierosa i wbił we mnie swój przenikliwy wzrok. Milczał jeszcze dłuższą chwilę patrząc mi głęboko w oczy, a ja nie przerywałem jego milczenia. Wreszcie spytał cicho:

- Byłeś na froncie?

- Byłem – odparłem szybko.

- Zabijałeś...?

- Chyba zabijałem, jak to na wojnie -odparłem także cicho.

- A powiedz... Powiedz... Czy zdarzyło się ci kiedyś... pokochać kogoś nieznanego od pierwszego wejrzenia... kogo w ogóle nie znałeś i stracić go z własnej winy... i nie móc zapomnieć o tym...?

- Może i miałem takie przeżycie – odparłem, by podtrzymać jego zwierzenia.

- A więc dobrze. I ja zabiłem... Chyba dużo zabijałem... Jeżeli byłeś na wojnie i także zabijałeś, bo takie są prawa wojny, to może zrozumiesz mnie... – mówił coraz wolniej, coraz ciszej, nerwowo zaciskając dłonie i wpatrując się w stół. – Jeżeli kochałeś, jak powiadasz, to na pewno zrozumiesz mnie i okrutne prawa wojny, którym my młodzi byliśmy poddani. Opowiem ci o czymś i usłyszysz to pierwszy ode mnie, a może i ostatni... Lecz gdy przerwę opowieść, nie pytaj co dalej, bo może nie będę miał siły dokończyć zwierzeń. A więc nie pytaj o nic. Dobrze...? – utkwił we mnie rozpalony wzrok, którym zaglądał w swoją bolesną przeszłość.

- Mów! – odparłem krótko. Zapaliłem i zaśłuchałem się w niezwykłą opowieść. A opowiadać umiał, głos miał ładny, męski.

- Słyszałeś już chyba o tym, że jesienią 1944 roku byłem na tyłach wroga w Puszczy Boreckiej i dowodziłem tam desantem spadochronowo-wywiadowczym. Knieja to olbrzymia i poczulimy się w niej dobrze. Do skraju puszczy przybliżaliśmy się rzadko, bo wsie pruskie były nam wrogie. Do tego obowiązywała nas sroga konspiracja, że tam jesteśmy, co warunkowało dobre wykonanie tajnych i niebezpiecznych zadań wywiadowczych.

Wydarzyło się to po kilku dniach od wylądowania w puszczy. Po nocnym zwiadzie, zaszyliśmy się w młodniak, sen przeleciał nam przez oczy i chyba szatan nas podkusił wyjść bliżej skraju puszczy. Zatrzymaliśmy się chwilę na wyciętym dukcie porośłym młodymi świerczkami. Dukt przecinał szosę, a w drugą stronę ciągnął się ku polom jakiejś pruskiej wsi. Obserwowałem szosę przez lornetkę, a moi chłopcy rozsiedli się na mchu i coś tam grzebali przy broni.

Dłuższą chwilę lustrowałem szosę, potem odjąłem lornetkę od oczu i zerknąłem wokół. Zdębiałem! Wśród drzew, tak trzydzieści metrów od nas, stała dziewczyna, a raczej już panna. Tak po prostu stała i patrzyła na nas. Nie wiem, z ciekawości czy sparaliżowana strachem nie uciekała zobaczywszy nas. I tak przez moment patrzyliśmy na siebie. Lecz to trwało sekundy, bo dostrzegli ją moi chłopcy i z nim coś rozkazałem, już byli przy niej.

Przyprowadzili ją do mnie. Dziewczyna była młoda, zgrabna i piękna. Miała może osiemnaście, dwadzieścia lat. Schludnie ubrana. O pięknych rysach twarzy. Oczy miała chyba niebieskie... tak, duże, niebieskie oczy. Wręcz poraziła mnie swoją urodą. Stała przede mną i widziałem, jak drżały jej usta i chyba cała drżała. Patrzyła tylko w moją twarz, potem zerknęła na lornetkę, którą trzymałem w rękę, na pistolet tkwiący za pasem i na peem wiszący na szyi. A ja długą chwilę nie mogłem oderwać wzroku od jej twarzy. Wreszcie zmieszany wykrztusiłem z siebie:

- Sind Sie Deutsche? Jest pani Niemką...?

- Jawohl... tak – odrzekła cicho, że raczej wyczytałem to z ruchu jej ust, niżli usłyszałem.

- Skinąłem na chłopców, otoczyli ją i błyskawicznie zniknęliśmy z duktu brnąc coraz głębiej w knieję. Dziwiło mnie, że Niemka szła między nami spokojnie, nie pytała o nic, nie krzyczała. Chyba strach sparałizował w niej wszystko. Szedłem blisko, przyglądałem się jej z coraz większą ciekawością i czułem, że dzieje się ze mną coś niezwykle go. Chyba nie bez znaczenia było i to, że wówczas już bardzo długo nie miałem do czynienia z żadną panną.

Zatrzymaliśmy się z młodniakiu, gdzie stały nasze namioty. Andrzej, mój zastępca, spytał kim ona jest i co z nią zrobimy? Wzruszyłem ramionami i odburknąłem, że jak przesłucham ją, to wtedy zdecydujemy, co z nią dalej będzie.

Wnikliwie i długo ja wypytywałem. Miała na imię... A zresztą imię nie jest ważne w mojej opowieści... Była córką właściciela pobliskiego folwarku. Interesowało mnie jedno: po co ona przyszła do puszczy? Tłumaczyła łykając słowa, że uwielbia las, że lubi tak czasem samotnie błąkać się po puszczy i dlatego tu przyszła. Czy wszystko w jej tłumaczeniu mogło być wówczas jasne i przekonywające? Nie wiem. Nawet do dziś nie wiem... Lecz sądzę, że głupi przypadek natknął ją wówczas na nas. Zwykłe przeoczenie z naszej strony tego, co dzieje się wokół nas. A gdy wypytywanie dobiegło końca, ja siląc się na surowy ton spytałem:

- Czy pani wie, kim jesteśmy?

- Wiem – odparła cicho.

- A więc...?

- Polnische Partisanen...

- I co teraz mamy z panią zrobić? – dopytywałem się dalej. Wzruszyła ramionami i szeroko otwartymi oczami, w których perliły się łzy, wpatrywała się uporczywie w moją twarz.

- Wypij! – napełnił kieliszki. – Głupia, przekłeta historia. Przetłuma-
czyłem jej odpowiedzi, powiodłem wzrokiem po swoich i wiedziałem,
że każdy odwraca wzrok i nie chce patrzeć na mnie. A byli to przecież
ludzie, którym wojna zabrała wielu bliskich i starała się zabić w nich
wiele ludzkich uczuć.

Skinąłem na któregoś z chłopców, żeby odprowadził ją trochę
dalej od obozowiska, by móc swobodnie pogadać o jej losie. Dodając
sobie surowości, wręcz w formie rozkazów wojskowych, rozpoczą-
łem:

- Słuchajcie, na naszą grupę wywiadowczo-dywersyjną, działającą w
bardzo niebezpiecznych warunkach na tyłach wroga, natknęła się
Niemka. Wie, kim jesteśmy. Sam nie chcę decydować o jej losie, a
więc zadecydujemy wszyscy, jak z nią postąpić. Nie jestem przekona-
ny, a wy chyba także – mówiłem to raczej bez przekonania – czy do
puszczy nie przysłało jej gestapo lub wywiad niemiecki. Tego jednak
nie potrafimy wyjaśnić.

Lecz chłopcy ponuro milczeli.

- No co do diabła? Codziennie ich zabijamy, ocieramy się o śmierć,
wypełniamy tu zadanie, które może zadecyduje o życiu tysięcy. A
więc coście tak zamilkli...? – rozsierdziłem się. – Decydujcie o jej lo-
sie.

- Ty dowódca... A więc ty zadecydujesz, co trzeba z nią zrobić. Wy-
dasz rozkaz, a my go wykonamy – odparł Andrzej, dębując patykiem
w mchu.

- Dobrze, rozumiem. A pozostali, jakie macie zdanie...? – nagliłem py-
taniem, lecz moi chłopcy nadal ponuro milczeli.

- Jako wasz dowódca rozkazuję odpowiedzieć mi krótko, po żołnier-
sku. Pytam kolejno. Andrzej, puścić ją wolno...?

- N i e... – odparł wolno i cicho.

- Zabić...?

- Nie wiem – wzruszył ramionami.

- Toni, puścić ją wolno...?

- N i e!

- Zabić...?

- Nie wiem...

I tak zapytałem wszystkich i odpowiedzi były takie same. Po
jaką cholerę żeśmy na ten dukt wychodzili – przeklinałem siebie w du-
chu.

- Co za głupia sytuacja... Żeby to był mężczyzna, Niemiec...

- Czy wy rozumiecie, że jesteśmy zdekonspirowani, a przez to może-

my tu wszyscy zginać i nie wykonać naszego zadania wywiadowczego? Jeżeli ją puścimy wolno, to przecież ona opowie o nas ojcu, a on zamelduje gdzie trzeba. Zaczną się na nas obławy i będziemy tropieni jak dzikie zwierzęta. Może jej bracia są w gestapo, SS, może...

Nie ich, a sam siebie przekonywałem głośno. I te argumenty, zdawało się logiczne w tamtej sytuacji, nie trafiały ani do mnie, ani też do nich.

Trochę dalej, pod sosną, stała Niemka, a przy niej Piotr z pe-emem w dłoniach. Widziałem, że ona uporczywie patrzyła na mnie. Widocznie rozumiała, że decyzja o jej dalszym młodym życiu należy wyłącznie do mnie, jako dowódcy...

- Nie śmiej się kiedyś ze mnie – wbił rozpalony wzrok w moją twarz – bo wiem, co pomyślisz, że –gilotyna, komory gazowe, krematoria, egzekucje, gestapo, zagłada milionów, a my, na tyłach wroga, mając do wykonania tak ważne dla wojny zadanie, ceregieliliśmy się tam z jakąś jedną, zasmarkaną Niemką. Ale... Ale widzisz... taka to jest ta nasza...
p r z e k l ę t a... a może i n i e
p r z e k l ę t a p o l s k a n a t u r a... – odmierzył wolno te słowa i wskazał na napełnione kieliszki. – Wypij. Zaraz skończę tę ponurą opowieść.

- Jak głosujemy, jawnie czy tajnie...? – spytałem wywiadowców.

- Tajnie – odrzekł za wszystkich Andrzej.

Dałem każdemu do ręki dwie szyszki. Mała, sosnowa, wrzucana do czapki, miała... przesądzić jej los... Duża, świerkowa, dawała jej wolność, a nam być może wówczas zagładę.

Wrzucali szyszki do mojej czapki, na którą nie patrzyłem i oni także nie patrzyli. Sam wrzuciłem szyszkę i spojrzałem na dno czapki; leżało tam... j e d e n a ś c i e m a ł y c h
s z y s z e k...

- Czy mam wyznaczyć dwóch, czy losujemy dalej...? – spytałem.

- Losujemy... – odrzekli cicho i ponuro, nie patrząc mi w oczy.

Ułamałem dziesięć gałązek różnej długości. Dwie najkrótsze wyznaczały tych, którzy mieli spełnić to, o czym zadecydowały małe szyszki.

Pociągnęliśmy losy. Podnieśli się z mchu ci, którym los przyśadził wykonać wyrok jedyne w swoim rodzaju "sądu". Podeszedłem do nich i tamując wzruszenie oraz drzenie głosu, spytałem:

- Myślę, że głosując małymi szyszkami, zrozumieliście okrutne prawo wojny i jak należy nam postąpić w tej skomplikowanej sytuacji...?

- Tak jest, dowódco, zrozumieliśmy. Ale tak ciężko nam to wykonać,

bo to przecież... – nie dokończyli wypowiedzi.

- Rozumiem was. Ale wiecie chyba o tym, że wojna rzadko zabija winnych, a giną w niej miliony niewinnych. Do których należy ona, tego tu i tak nie rozstrzygniemy. Ale dość filozofowania. Wykonajcie wyrok. Tylko odprowadźcie ją dalej w puszcze, ażebym strzałów nie słyszał...

Ujęli w dłonie peemy i podeszli tam, gdzie przy sośnie stała ona, dziewczyna – zjawą w moim życiu... Potem widziałem, jak prowadzili ją głębiej w knieję. A ona, odchodząc w niepowrotną dal, stale patrzyła na mnie, jakby na coś jeszcze czekała... I taką widzę ją do dziś w mojej wyobraźni...

Piłem tego wieczoru... Cholernie dużo piłem. Widocznie chciałem coś tam w sobie pograć w zamroczeniu alkoholowym... Zresztą wszyscy pili. I to tak na ponuro...

- Dlaczego tak patrzysz na mnie...? – spytał zmienionym głosem i sięgnął po butelkę. – Powiedz... Powiedz szczerze... Po męsku, jak powinniśmy byli z nią wówczas postąpić...? No odpowiedz! Dlaczego milczysz...? Potępiasz mnie...?



APOLONIUSZ B. CIOŁKIEWICZ

NIBY-BAJKI

Automotto:

Stu mędrców się biedziło nad tym niepomaleu,
jakaż to być powinna bajka bez morału.
Aż jeden, doszukawszy się problemu jądra,
rzekł: „Bajka bez morału? Powinna być mądra...”

Nic przeciw naturze

Już przerażone muchy straszną wieść rozniosły:
Biada nam! Pająkowi skrzydła dziś urosły...
Lecz oto mądry truteń z dobrą wieścią leci:
Ma pająk skrzydła! Właśnie nimi zaplątał się w sieci.

Huragan i wichura

Za siódmym lasem,
za siódmą górą
pobrali się kiedyś
huragan z wichurą.
A noc poślubna?
Burzliwa, gdyż
to niż, to wyż...

Bajka domowa

Rzeczce sufit do parkietu:

- Nie brakuje mi tupetu
więc nad tobą wisieć wolę
i oświecać... żyrandolem.

Parkiet na to ripostuje:

- Choć mnie depczą, ale czuję,
żem potrzebny, czysty, krzepki
i mam jeszcze wszystkie klepki.

- O rany! - jęknęły ściany.

Bajka elektryczna

Już dłużej się nie uda

ukryć tego faktu:

zapałała miłością
wtyczka do kontaktu.

Przestrzegały ją oporniki,

tranzystory, półprzewodniki:

Droga wtyczko, zapewniamy cię święcie,

Że to zero, choć wysokie napięcie.

Ale wtyczka rad dobrych nie słucha,

gdyż ma bolce dwa zamiast ucha.

Do kontaktu się zbliża

taka naiwna i szczerą,

wciąż mocno zakochana

w jego dziesięciu amperach.

A kontakt wabi:

Ach, pójdź w me objęcia.

Więc wtyczka poszła.

I doszło do spięcia...

Bajka dla napuszonych

Krzyknął jaskier raz do pawia:
Niechże pan nie przejaskrawia!
Bo to groźna jest choroba -
ogon ważniejszy od dzioba...

Bajeczne dni

Dni z tobą były bajką,
ty sama morałem.
Żałuję, że morału
nie wykorzystałem.

Bajka dla pani

Twe nogi są jak bajki,
więc myślę, że może
i ja także coś niecoś między bajki włożę...

Widły i widelec

Kpiły widły, że widelec
niedorostek i chudzielec.
Na to zaś widelec rzecz:
Drogie widły, ja nie przeczę,
żem mizerny i nie mogę
z wami wielkością się równać,
ale przecie
na świecie
mniej jedzenia,
a więcej gówna.

KAZIMIERZ SŁOMIŃSKI

Aforyzmy

- *
Żeby myśleć pozytywnie, trzeba zacząć od myślenia w ogóle.
- *
Nie ma takich punktów zwrotnych w historii, żeby ludziom zwracano to, co im się należy.
- *
Niezbýwalnym przywilejem konsumenta pozostaje prawo do rzygania.
- *
Rodzi się nowe - z mównicy odchodzą już wody.
- *
Skończyły się czasy pozytywnych, nadchodzą seropozytywni.
- *
Historia pokrzywdziła Francuzów. Ciągłe muszą jeść tę żabę.
- *
Przed snem trzeba liczyć barany, a po przebudzeniu liczyć się z baranami.
- *
Na drodze do socjalizmu najszybciej kursowały kilometrowe kolejki.

*
Siłę pieniądza wyraża orzeł zadziobany przez reszkę.

*
Po liberalizacji prawo zamiast pięści pokazuje figę.

*
Gdy władza ściągała posiłki, chodziło o posiłki z talerza narodu.

*
Jak nie będzie pieniędzy na kulturę, to nie będzie kultury
na pieniądze.

*
W Krakowie mają zwyczaj kopcować najbardziej zasłużonych.

*
Z terminów literackich najważniejsze okazuje się pośmiertne
uznanie.

*
W żołądkach ląduje żywność skażona genami zysku.

*
W polityce odnośnie do chłopów na pewno przydałby się
jakiś Reymont kapitalny.

*
Kobieta fatalna pomaga poznać przewrotną słodycz raju.

*
Niekompetencja to taka mało wstydliva choroba na organach
władzy.

*
Przed pomieszaniem języków barbarzyńcy mówili językiem idei.

*

W literaturze nie trzeba być przesadnym. Mickiewicz pisał trzynastozgłoskowcem...

*

Poprzez arcydzieło chudy literat może zaprosić naród na ucztę duchową.

*

Lubię sztukę. Powiesiłbym sobie nad łóżkiem jakiś ładny widoczek na przyszłość.

*

W złoty wiek wielu będzie musiało wchodzić bez złotego przy duszy.

*

Nawroty pogaństwa poznaje się po ofiarach.

*

Rozdzieranie szat nad moralnością zastąpiono kulturalnym striptizem.

*

Łono natury przykrywa się śmietnikiem, bo taka teraz moralność.

*

Nie jestem za szkołą przetrwania, ale za przetrwaniem szkoły.

*

Kasy chorych od siedmiu boleści? Na boleści też już nie ma pieniędzy.

*

Tyranozaury to już przeżytek. Teraz zechcą sklonować antychrysta.

ZBIGNIEW WAYDYK

Miniatury Kresowe

Matka Boska Ostrobramska

Pod litewskim nieboskłonem
Polskę pod swoją bierze obronę

Natchnienie

Natchnienie płynące z Kresów
I dziś stymulacją narodowych interesów

Tak jak wczoraj

Jeszcze i dziś szowinistyczne gryzonie
Spenetrować by chciały Podbrodzie, Bieniakonie

Kresy Wschodnie

Ziemie przez serca wybrane
I... zabrane

Krzepiąca perspektywa

Bóg Kresów
Moc zwarstwi biesów

Bez załamania

Nie ma w Polsce absolutnie chandry,
Gdy Somosierrę się wspomina, Roszę
Tudzież Oleandry

Jeszcze dziś się zdarza

Pojałtańskim ceniom
Przesuwać się po twarzach

Największa świętość

Przywiezione do kraju ily
Z katyńskiej mogiły

W przyjaźni

Jest nadzieja - będzie lepiej
Na polsko-ukraińskim wertepie

Myśli gorejące

Szczególną nadzieją
Myśli Kresowiaków goreją

Najbardziej cieszące Polaków

Moskiewskiej buty
Kikuty

Znamienny czas

Wielkiej Polski legenda się ziszcza,
Wracają bohaterowie, odchodzą bożyszcza

O nas

Katynia żałobnej czerni
Najbardziej wierni

Czy Radio Białoś

Białoś samą ocali
Od powrotu do kremlowskiej centrali?

Tragedia Mickiewicza

Walczył o nas wielki poeta,
Ale siła przebicia wówczas była nie ta

Historia jak nigdy

Daje nam dziś kartę przyzwolenia - carte blanche
Dla zapisania na niej narodowych szans

Kazanecki i inni

Do redagowania wrześniowego numeru Białostockiego Informatora Kulturalnego w 1978 r. przystąpiliśmy pod koniec lipca w starym lokalu przy ulicy Kilińskiego. Przeglądając nadsyłane do redakcji informacje o wystawach, nasz grafik zaczął opowiadać. Zapamiętał, że przez miejscowość, w której wówczas mieszkał maszerowało wojsko. Było ciepło, a on podawał żołnierzom jabłka. Potem ułan wziął go na rękę i na chwilę posadził przed sobą w siodle. Była to pierwsza scena z dzieciństwa, którą zapamiętał.

- A ty, Wiesiek.

- Ja wtedy urodziłem się, nie mogę pamiętać.

Gdy wrześniowy numer był w drukarni, przeprowadziliśmy się do nowego lokalu na jedenastym piętrze wieżowca przy obecnej ulicy Waszyngtona (wówczas Podedwornego.). Z okien redakcji widać było pół miasta z łąkami i lasami w miejscu, gdzie zacierała się różnica między ziemią a niebem.

Kazanecki długo oglądał miasto. Z tej wysokości widział je chyba pierwszy raz.

- Kiedyś mieszkałem tu niedaleko – skierował rękę w dół – za tymi krzewami przy Bema. Potem wyciągnął ją przed siebie.

- A teraz tam, przed kominem Fast.

Te dwie rozmowy określały jego szczególny stosunek do swojego miasta. Urodził się w roku wybuchu wojny. Gdy on szedł do szkoły, Białystok zdążył stracić ponad połowę mieszkańców.

Potem zależność była prosta. On rósł, szedł do szkoły, a miasto rozbudowywało się. Zmieniło swój charakter na wielkomiejski. Zaczynało mieć swoje potrzeby. Także kulturalne. Po powrocie z dyplomem do Białegostoku to między innymi również on je określał. Na miarę debiutanckiego tomiku wierszy, który przywiózł wraz z dyplomem i na miarę książek innych. Jego przyjaciół. Wówczas byli nimi wszyscy, którzy kiedykolwiek napisali wiersz. Potem jedni zostawiali z tym pierwszym wierszem, inni wyjeżdżali, aby gdzie indziej szukać

możliwości. Profesjonalizowało się wszystko.

W naszym lokalu mieliśmy warunki do pracy najlepsze ze wszystkich białostockich redakcji. Zdumiewająca jest cisza i uroczysty dystans najwyższych pięter. Tylko nasza sprzątaczką, starszą kobietą, przez parę miesięcy nie mogła przyzwycząć się do windy.

Pierwszych autorów trzeba było przyprowadzić, ale gdy nas znaleźli czuli się w nowym lokalu lepiej niż w poprzednim, przypominającym dworzec autobusowy. Zbigniew Ślącza - najstarszy wiekiem i stażem przyjaciel Kazaneckiego - w redakcji czuł się jak ryba w wodzie. Nie było w Białymstoku pisma, do którego by nie napisał. Wówczas, co tydzień do sobotnio-niedzielnego wydania *Gazety Współczesnej* pisywał *Rozmyślania przy łowieniu*, podpisane pseudonimem Polikarp.

Z Kazaneckim znali się od tak dawna, że żaden z nich nie umiał przypomnieć, od kiedy.

Pracował wówczas na etacie w Miejskim Domu Kultury przy Pięknej. (Teraz w tym miejscu jest Centrum Esperanto). Prowadził w całym mieście najprzeróżniejsze teatry amatorskie, kółka recytatorskie itp. Kilku aktorów w prowadzonych przez niego zespołach stawiało pierwsze kroki na scenie. Najślawniejsza to Anna Romantowska, do której zresztą mówił:

- Ty aktorką nie będziesz.

Zbigniew Ślącza bardzo nie lubił, gdy skracano jego artykuły, uważając chyba, że przy wydaniu ktoś liczy, ile linijek pójdzie do druku.

Najczęściej po przyniesieniu tekstu przychodził drugi raz, gdy po adiustacji artykuł został na nowo przepisany.

- Czy mogę zobaczyć - Przeglądał uważnie maszynopis.

- Ktoś adiustował - Biegł do redaktora.

- Co to, to nie, zobacz Wiesiek co ty mi zrobiłeś - coś pokazywał, coś tłumaczył. Nie spoczął dopóki nie przywrócił mu chociaż jednego słowa. Czasami miał rację, czasami nie, ale zawsze walczył do upadłego.

- Do adiustacji trzeba mieć talent - stwierdzał kategorycznie. Kazaneckiemu całkowicie wystarczał talent poetycki. O inne nie dbał, lecz w taki sposób nikomu żadnego talentu odmówić nie można.

- Ty stary koniu, piszesz już dwadzieścia lat.

- Dwadzieścia pięć.

- To tym bardziej powinienes wiedzieć, że... ciągnął niezrażony Kazanecki. Zaczynał się jękać, Ślącza udawało się go zawsze ziry-

tować.

Z Jolą Pawluk zaciskaliśmy wargi, aby nie wybuchnąć śmiechem. W końcu artykuł został komisyjnie zredagowany, a nawet wynegocjowany, ale kończyło się to stwierdzeniem.

- Nigdy więcej do BIK nie napiszę.

- To nie trzeba.

Absencja Zbigniewa Ślączki na łamach nigdy nie trwała długo, najwyżej parę miesięcy, w ciągu których oni spotykali się i znaleźli wspólnie ważny temat godny pióra Ślączki.

Kazanecki redagowanie artykułów Ślączki powierzał mnie. Podwyższyłem mu stawkę za stronę. Ślączka co jakiś czas coś mi kwestionował. Nigdy niczego istotnego. Był po prostu po białostocku czupurny. Zawsze o coś walczył. W końcu zaproponował mi, że przejdziemy na ty. Mówił mi po imieniu, a mnie Zbyszek długo przez gardło nie mogło przejść. Był starszy od Kazaneckiego, a ode mnie o całe pokolenie.

Gdy Kazanecki zamierzał wyjechać z Białegostoku zaproponował, aby redaktorem naczelnym został Ślączka, który wstawił sobie wówczas zęby i sprawił elegancki garnitur. Zawsze ostrzyżony na jęża, wyglądał wręcz dostojnie.

W nowym lokalu były gołe ściany i pewnego razu w drzwiach zjawił się Chudzik z wielkim obrazem, który niósł przed sobą. Postanowił zrobić nam przyjemność i na jakąś okazję przywiózł kilka swoich prac. Osobiście je powiesił, co zajęło mu kilka godzin. Jeden z tych obrazów podarował potem Joli Pawluk. W stanie wojennym, gdy redakcję likwidowano, chyba niezbyt elegancko poproszono go o odebranie depozytu. Jeden z tych obrazów widziałem w telewizji w felietonie o artyście.

Chudzik był przeciwieństwem Zbyszka. Jak na plastyka odznaczał się wyjątkowym zdyscyplinowaniem, terminowością i umiejętnością pracy w zespole.

Wypracowaliśmy owocną metodę współpracy. Nie mam jednak pewności, czy można ją komukolwiek polecić. U nas sprawdzała się dzięki zdyscyplinowaniu artysty. Makietowałem zawsze w nocy. Wcześniej Chudzik brał odbitki do korekty i spis treści. I gdy trzeba było ilustrację wykonać i umieścić w konkretnym miejscu i stronie, dzwoniłem do pracowni, a Chudzik przystępował do rysowania.

Rano spotykaliśmy się w redakcji i razem porządkowaliśmy makietę, numerowaliśmy ilustracje, zdjęcia winiety. Potem to wszystko wędrowało do drukarni, a wcześniej do cenzury.

Chudzik należał do nielicznych białostockich plastyków, którzy dobrze znali technologie drukarskie i białostockie zakłady poligraficzne. Odbił po studiach praktykę w Białostockich Zakładach Graficznych, znał drukarzy, projektował: plakaty, afisze, katalogi, etykiety itp. Był w dodatku bibliofilem. Zbierał reprinty. Gdy coś ciekawego kupił, przynosił nam pokazać. Na zakup reprintów potrafił wydać całe honorarium. Exlibrisy robił sam, posługując się rzemieślniczymi metodami drukarskimi. Drukował osobiście metodą sitodruku. Wiele exlibrisów dostałem od artysty w prezencie.

Był drobnej budowy, miał czarne kręcone włosy i bujną kręconą brodę. Gdyby uczył dzieci rysunku i kazał im narysować trzech króli, uczniowie narysowaliby najwięcej jego portretów.

Jego żona była wyższa. Niezwykle życzliwa dla innych. Miała dobry zawód architekta wnętrz.

Osiedle wieżowców „Piaski” wybudowano w miejscu, gdzie była typowa przedwojenna białostocka dzielnica. Wprowadzaliśmy się do redakcji, gdy budowa trwała w najlepsze, a stare domy sukcesywnie wyburzano. Dwieście metrów za „Centralem” zaczynała się uliczka jak z archiwalnego filmu. Wąska, wybrukowana kocimi łbami. Chodniki po obu stronach stanowiły dwa rzędy betonowych płytek. Oświetlały ją latarnie na drewnianych słupach. Domki były z poczerzniętego niemalowanego drewna, niektóre były oszalowane i miały zamknięte kiedyś na noc okiennice. Każda posesja była ogrodzona drewnianym płotem, za którym rosły owocowe drzewa z kilkoma grządkami warzyw między nimi. Za domkami były chlewiki i komórki. Z góry widać było, że budynki mieszkalne były pokryte czerwoną, czasami omszałą ze starości dachówką, a chlewiki i pomieszczenia gospodarcze papą.

Jedna z takich uliczek urywała się przed drzwiami wieżowca, w którym mieściła się redakcja. Teraz w centrum takich uliczek nie ma. Na tej naszej był jeden murowany dom, w którym był zakład fryzjerski. Raz, gdy się tam strzygłem, fryzjerka opowiadała mi o Macieju Konopackim, który pierwszy w Białymstoku rozpoczął cykl artykułów o polskich Tatarach. Obok w drewnianym domu był sklep spożywczy. Kupowaliśmy tam pieczywo i ciastka.

To była dzielnica dzieciństwa Kazaneckiego. W tej dzielnicy mieszkał od urodzenia do początku lat siedemdziesiątych. Z okien redakcji było widać, gdy wchodził w tę uliczkę. Szedł powoli. Potem słysząc było windę.

Kazanecki, gdy wchodził do redakcji, pochylał głowę. Miał

prawie dwa metry wzrostu. Był w dodatku szczupły, co sprawiało wrażenie, że wyglądał na jeszcze wyższego. Kiedyś, gdy Jola Pawlук przysłała do redakcji z synkiem i do pokoju wszedł Kazanecki, dziecko przyjrzało mu się, potem spojrzało na mnie. Potem znowu na Kazaneckiego. Obracało główką kilka razy. Adaś mieszka teraz w Kanadzie, był za mały żeby powiedzieć, że się strasznie dziwi.

Kazanecki sam parzył sobie kawę. Nie pamiętam, aby robiła ją sekretarka. Wsypywał dwie łyżeczki proszku. Pił kawę rozpuszczalną. Mieloną tylko wtedy, gdy rozpuszczalnej nie było.

- Mnie szkodzi nawet czekolada – mawiał.

Czytał, rozmawiał z autorami, adiustował. Gdy zdanie poprawił, czytał je głośno. Nikt z nas tego nie robił. Do pracy przychodził między dziesiątą a jedenastą. Artykuły pisał w domu, wieczorem. Wychodził z pracy o trzeciej. Czasami wychodziliśmy razem. Szliśmy do Marii Curie Skłodowskiej, potem Suwalską. Czasami zachodziliśmy do księgarni. Kazanecki oglądał nowości, ale kupował rzadko, zawsze dobrze się zastanawiając.

Wszystkie księgarnie, do których zachodziliśmy, istnieją do dziś. Znano go i często panie odkładały książki, które mogły go zainteresować.

Po drodze spotykaliśmy jego znajomych. Rozmawialiśmy. Dzięki niemu poznałem większość pisarzy, wielu dziennikarzy i naukowców, artystów i w ogóle ludzi związanych z kulturą. Byli to jego znajomi z czasów, gdy Białystok był mniejszy.

Do autobusu wsiadał na przystanku koło kościoła farnego. Wsiadając pochylał głowę. Stawał zawsze pod otwieraną klapą w dachu samochodu. Pasażerowie wpuszczali go pod nią. On zaś otwierał klapę, gdy było gorąco i zamykał, gdy było zimno lub padało. Jechał do Bacieczek i chyba wszyscy mieszkańcy niewielkiej dzielnicy znali go z widzenia.

O tym, jakie wrażenie na ludziach robił jego wzrost może świadczyć wydarzenie z kilku lat później. W stanie wojennym kawa była na kartki na alkohol. Kto nie pił, mógł na kartkę za jeden litr wódki kupić aż 100 gram kawy. I to też z trudem, kawy w sklepach nie było. Znalazłem sklep na końcu miasta, gdzie można było kupić kawę na kartki. Poszliśmy tam razem. Akurat „rzucili” piwo i musieliśmy stanąć na końcu kolejki przy drzwiach. Przed nami stało kilkudziesięciu mężczyzn z torbami i siatkami. „Dawali” po dziesięć butelek.

Nie zauważyliśmy kiedy kilku mężczyzn przed nami zaczęło się klócić. Robiło się coraz głośniejsze. Mężczyzna, który stał przed Ka-

zaneckim był na tyle wojowniczy, że nikogo nie dostrzegał. Gdy zaczął zaciskać pięści, Kazanecki stojący bezpośrednio za nim położył mu rękę na ramieniu.

- Panowie, spokój.

Mężczyzna, który z nim się kłócił i widział Kazaneckiego odwrócić się i udawał, że to nie on.

Czując rękę na ramieniu drugi mężczyzna odwrócił się gwałtownie, stał blisko i nagle jego głowa podniosła się do góry. Gdy wzrok sięgnął sufitu, a przed sobą ujrzał olbrzymia niebezpiecznie blisko, zaczął się tłumaczyć. Inni kolejkowicze uśmiechali się pod wąsem. Zrobiło się cicho. W końcu doszliśmy do lady. Ekspedientka wyciągnęła kartkę i odliczyła trzynaście paczuszek kawy „Maraçana” po siedem i pół grama każda. Jedna wystarczyła na dwie filiżanki napoju.

Wydawcą Białostockiego Informatora Kulturalnego był Wojewódzki Dom Kultury. Pomysłodawcą miesięcznika jego dyrektor. Był nim wówczas Eugeniusz Szczepaniak. Wyróżniał się młodym wiekiem. Dyrektorem został przed trzydziestką. W tamtych latach dyrektorami byli najczęściej ludzie w wieku przedemerytalnym, za różnego rodzaju zasługi. Większość z nich nie miała zdolności przywódczych. Szczepaniak je miał. Był ponadto inteligentny i elokwentny. Umiał rozmawiać z drukarzami i ministrami. Nie był białostoczaninem. Założył przy Wojewódzkim Domu Kultury: drukarnie, Pomaturalne Studium Kultury i Oświaty Dorosłych oraz Białostocki Informator Kulturalny. Gdy nas zatrudniał, mieszkał z żoną i córeczką na stacji. Mieszkanie dostał w tym samym bloku, w którym mieściła się nasza redakcja, tylko niżej. Warto dodać, że trzy piętra pod redakcją mieszkał również dyrektor Teatru Dramatycznego im. Aleksandra Węgierki.

Niedawno przeczytałem gdzieś, jak jeden z następców dyrektora, za którego Wojewódzki Dom Kultury podwoił liczbę pracowników napisał: założyliśmy, zorganizowaliśmy. To znaczy, kto? Zaszuga tego, co to napisał było tylko to, że nie przeszkadzał.

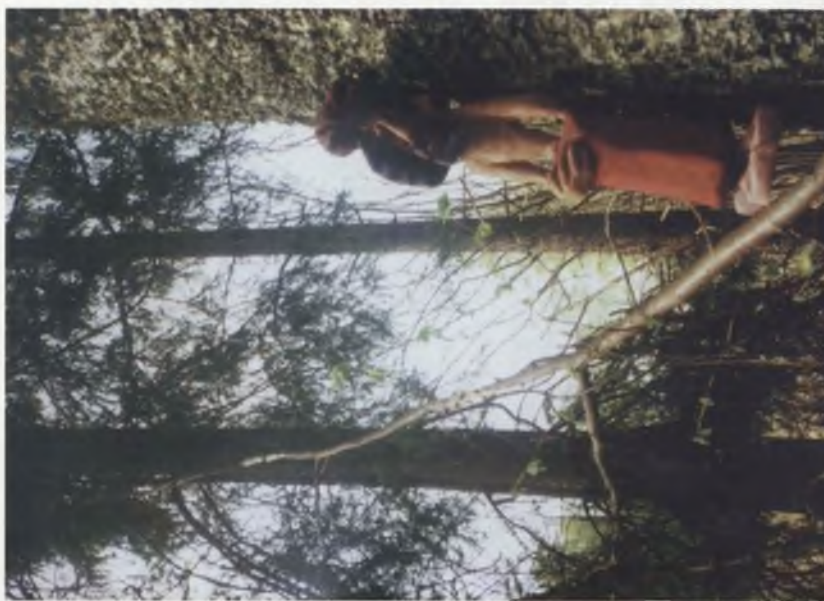
Szczepaniak do partii zapisał się, gdy był dyrektorem. Taka była wówczas cena. Ponieważ mieszkał w tym samym bloku, odwiedzał nas często. Z Kazaneckim nawet się zaprzyjaźnił.

Było to przed nowym rokiem 1979. Przyszedł złożyć nam życzenia. Na końcu powiedział ciszej:

- Do partii ponownie się zapisujcie. – Stałem z boku i zauważyłem, że gdy to mówił, on – rzutki dyrektor – spuścił oczy. Jakby Kazaneckiego się wstydził spełniając przykry obowiązek. Fakt był faktem. Nikt z pracowników redakcji nie należał wówczas do PZPR.







Poetyckie pieśni słowańskiego Dawida (O „Renesansowym psalterzu” Karola Wojtyły)

W jubileuszowym roku 20-lecia pontyfikatu Jana Pawła II ukazał się „Renesansowy psalterz”, którego autorem jest młody Karol Wojtyła. Wchodzący w zakres tomu cykl wierszy i poematów powstał w latach 1938-1939. Autor miał wówczas 18-19 lat. W pięknie wydany tomie-albumie czytelnik znajdzie bardzo impresyjne fotografie Adama Bujaka.

Dotychczas nie były publikowane następujące poematy „Renesansowego psalterza”: *Pieśń poranna, ...a gdy przyszedł Dawid do ziemi – macierzy swej, Poezja (Uczta czarnolesska), Mousike, Słowo – Logos, Ballada wawelskich arkad, Harfiarz*. Utwory, które były już publikowane, ale nie w ostatecznej, zaakceptowanej wersji, to: *Emilii, Matce mojej oraz Sonety – Zarysy*. Natomiast poemat *Magnificat – Hymn* był już publikowany w całości wcześniej. Wiersze opracował z upoważnienia autora Marek Skwarnicki. Krakowskie wydawnictwo „Biały Kruk” wydało je w formie albumu z wymownymi fotografiami Adama Bujaka.

Są to młodzieńcze utwory Karola Wojtyły, jego juvenilia. W słowie wstępnym zatytułowanym „Poezja młodości” Marek Skwarnicki słusznie zauważa, iż one różnią się formalnie od poezji później tworzonej: *utrzymane są w młodopolskiej, postromantycznej konwencji językowej*. Młodopolską konwencję widać już w warstwie leksykalnej. Mamy wielość terminów oddających głębię uczuć, przeżyć, a także bliskich związków z naturą, ludowością, franciszkanizmem:

*Kochajmy się, o bracia! Ja, i wśród was każdy –
Czy to karmazyny, czy żupany mnisze –
Ha, przecie był, co miłość miał dla ptaszek gwarznych,
Dla słowików – w habicie karmazyn – Franciszek.
(Poezja – Uczta czarnolesska)*

„Karmazyn”, „karmazyny”, „karmazynowy”... - te terminy w omawianej książce pojawiają się dość często. Przypomnijmy: „karmazyn” – to, w dawnej Polsce określenie szlachty ze starych rodów, mającej przywilej noszenia czerwonych szat. Wojtyła lubuje się w tym określeniu. Przez to osadza swoje poetyckie refleksje jeszcze bardziej w polskim, narodowym kolorycie i tradycji.

Autor opowiada się za postawą heroiczną jako potrzebną i konieczną w zmaganiach z losem – nie tyle jednostkowym, co całego narodu. Poeta wciela się w postać biblijnego Dawida – harfiarza, kapłana i proroka. Ale jest jednocześnie słowiańskim wróżbitą i gęślarzem. Łączy tradycję i kulturę śródziemnomorską oraz słowiańską. Odwołuje się do historii narodowej – przypomina ważne wydarzenia z przeszłości Polski. Na kartach „Słowiańskiego psalterza” ożywa dawna polskość. Występuje symbioza tego, co polskie z tym, co antyczne (greckie i rzymskie) oraz biblijne (przede wszystkim ze Starego Testamentu). Karol Wojtyła snuje poetyckie dywagacje na temat „słowiańskiej duszy”. On ma ją w sobie i poprzez tę „słowiańskość” patrzy na inne kultury. Wyznaje:

Słowiańska duszo moja! Marzycielko odwieczna!

(Sonety)

rozmiłowałem serce w tej słowiańskiej duszy,

jakby mi bożek jaki miłostrzelny – Amor

bogdanką cudnolicą szranki serca kruszył.

(Symphonie – Scalenia)

Autor przywołuje odwieczny topos „ziemi-matki”. Dokładnie tę ziemię określa – jako ojczystą, rodzimą:

--Tedy ci powiem ziemio, rodzima dziedzino –

Nie słuchaj, co ci mówią przechodnie, co ludzie –

Ja ci rzekę rzecz moją, ja wiem ją skądinąd,

A ty, o ziemio-matko, posłuchania udziel...

(... a gdy przyszedł Dawid do ziemi –macierzy swej)

Ziemio! Dosłucham twych tajemnic, aż do wnętrza

Sięgnę sercem. Melodią mów, lawą!

(Mousike)

Jak już wspomniałem wcześniej, poeta wciela się w Dawida – pasterza, harfiarza, proroka oraz w bohatera słowiańskiego, reprezentanta Słowiańszczyzny – syna Piasta. I w tym wszystkim ogromną rolę odgrywa marzenie jako siła sprawcza, kreacyjna:

*I jam się też rozszumiał – buk między bukami,
Tako mi święte stało pasterskie śpiewanie,
Żem zamarzył – syn Piastów – izraelski Dawid,
By mi na czoło Pańskie zeszło pomazanie...
(...a gdy przyszedł Dawid do ziemi - macierzy swej)*

W wyeksponowanej roli indywidualizmu oraz zrywów prometejskich pobrzmiewa romantyczna nuta. Jednocześnie jednak autor podkreśla rolę wspólnoty, zespolonego działania – w ramach narodu. Nie tylko tkwi w przeszłości, ale i wychyla się ku przyszłości: snuje marzenia, tęsknoty. Kreuje przestrzeń metafizyczną. Wychodzi poza materię. Wnika w sferę ducha. Zauważamy to chociażby w kosmogonicznych obrazach – niezwykle uwznioślonych, wizyjnych, malarzkich. W nagromadzonym słownictwie wiele słów jest pisanych dużą literą, co nazwałbym hieratycznością leksykalną – oddziaływającą szczególnie na wyobraźnię. Jako początkujący poeta, Wojtyła ogromnie – nawet nadmiernie – ufa słowu. Z czasem w jego poezji nastąpi większa intelektualizacja poetyckiego wywodu, wyraźne zmierzanie ku dyskursowi intelektualnemu, filozoficznemu.

Alfred Wierzbicki o dojrzałej poezji i filozofii Karola Wojtyły pisze: *Poezja i filozofia Wojtyły wypływają z tego samego źródła, jakim jest fascynacja człowiekiem i jego osobowym bytem. Jest to poezja metafizyczna w bardzo precyzyjnym personalistycznym sensie i polega na próbie odczytania „najgłębszego zapisu swego bytu”.* W „Renesansowym psalterzu” też występuje owa fascynacja człowiekiem jako osobą, indywiduum, a jednocześnie narodem jako wspólnotą. W tych dwóch rzeczywistościach: jednostkowej i wspólnotowej jest miejsce przeznaczone Bogu.

Jak przyszły Papież kreuje Boga w swych młodzieńczych wierszach? Jako coś rzeczywistego i symbolicznego zarazem, jako coś bez czego nie może funkcjonować i człowiek, i cały świat. Bóg – to więcej niż mit i obrzęd:

*Chrystus. Czasy ku Niemu wyciągają ręce. –
Ja patrzę w czasy. Widzę, że ON jako symbol*

*I jako Prawda Istna i Jemu są wieńce,
Plecione z moich myśli i z sonet i z nimbów.*

*I z Nim znów jestem prawy i piast i karmazyn. –
Dogasasz Dionizosie, dogasasz godzino
Mięsopestu – i z pełnej, miodolitej wazy
Toczy się w polonezie wino – wino – wino...*

*Idę zrzucić me suknie delijne, wzorzyste –
W siermięgę grzbiet okutać i w wór wielkopostny. –
Pokutować trza z Tobą, mój Krzyżowy Chryste,
O TY, ziszczenie pragnień – Wolny i Miłosny!
(Symphonie – Scalenia)*

Bóg jest krystalizacją sensu, uosobieniem Prawdy, Wolności i Miłości. Odrzucając magię pogańskich obrzędów oraz greckich mitów i idąc ku Niemu, człowiek opuszcza mroki i zmierza ku Światłu. Autor kreśli interesującą konfigurację gotycko-renesansową. Ta poetycka, nasycona kulturowo i sakralnie „geometria” jest dość przejrzysta. Wyjaśnienie jej wertykalno-horyzontalnej semantyki znajdujemy w *Przypisach do „Sonetów”* i „*Uczty czarnoleskiej*”:

*Droga gotycka wzwyż, renesansowa wszcz. Drogi się przecinają.
Z przecięcia kształt, Zbawienie, Krzyż.
Mówię to, żem chrześcijanin – i żem Polak.*

Gotyck i renesans występują też na płaszczyźnie muzycznej. Rozbrzmiewają w ludzkiej duszy. Wyrażają stan duchowych zmagają, napięcie. Między innymi mamy taką oto „duchową wiwisekcję”: *Duszy niech będzie wolno od polonezu do hymnu! / - Polonez oto, jak symbol renesansowych wcieleń - / Hymnem uderz mnie w serce! Ofiarą studymną! / stygmatem gotyckich zacisz! Najpotężniejszy Eli! (Sonety – Zarysy)*. Duże nasycenie rymami, niewątpliwie wpływa na eufeniczną stronę utworów. Najczęściej rymy łączą sąsiadujące ze sobą wersy (tzw. rymy sąsiadujące: *aabb*), albo występują naprzemiennie (rymy krzyżowe: *abab*). Dominują wersy 13-zgłoskowe. W „Renesansowym psalterzu” rym jest zasadniczym elementem strukturalnym wiersza. Nie tylko w układzie syntaktycznym, ale również w warstwie semantycznej została wyeksponowana niezwykle istotna rola muzyki – chociażby w następującej inwokacji do Boga:

Ojczy! Zwycięstwo daj Muzyce,
Która idzie w obłoku,
Zielonym dołem do traw,
A górę białym od chmur
(...)
Na barki Muzyki złóżcie losy świata!
(Mousike)

A jeszcze większą rolę niż Muzyce Karol Wojtyła przypisuje Słowu. Mówi o jego boskim pochodzeniu, jego mocy płynącej wprost od Boga: *w słowach są moce, jest hyr idący, / jest błogosławieństw i przekleństw władza - / i wiem, że słowem ogarnę, strącę, / albo sam legnę trupem na głazach / i w pierś mi motłoch wszczepi swój kan-cerz. / Przeto się uczę wieczornej mowy, / psalmów pokutnych, izraelo-wych (Słowo – Logos). Słowo ma moc zbawczą, stało się Ciałem, przyjęło bosko-ludzką naturę w osobie Jezusa Chrystusa: *W Słowie się stało nasze zbawienie, / co wrosło w boskie i ludzkie progi (Słowo – Logos).**

Dawid – podmiot liryczny i bohater „Renesansowego psalterza” jest osobą wyjątkową, wybraną, ale jednocześnie potrafi się ukorzyzyć, „pomniejszyć”, powiedzieć po prostu: *śpiewam, jak natchniony celnik (Magnificat – Hymn). Komu śpiewa słowiański Dawid-harfiarz? Bogu i narodowi:*

Chóralne tobie nucę granie
W świątyni Twojej progu.
Słysz moją harfę, słysz śpiewanie!
Król-pieśniarz śpiewam Bogu.
(...)
O śpiewam, śpiewam narodzie!
O rzeszo głosów mych słuchaj!
(...)
O – Panie, siłę sil moją
I mocy przydawaj gęśli!
(Harfiarz)

„Słowiański trubadur” najpierw wyśpiewuje skupionym i wy-ciszonym 8-zgłoskowcem synowskie epitafium swojej matce:

Nad Twoją białą mogiłą
od lat tylu już zamkniętą,

*spokój krąży z dziwną siłą,
z siłą, jak śmierć – niepojętą.
(Emilii, Matce mojej)*

Czy „Renesansowy psalterz” młodego Karola Wojtyły to poezja na wskroś oryginalna, własna, osobna w swej lirycznej dykcji? Raczej nie. Wiele w niej zapożyczeń, naśladowań. Zwłaszcza z Wyspiańskiego. Każdy poeta z uporem, powoli dorabia się swego osobnego głosu, niepowtarzalnego stylu. Podobnie jest w tym wypadku. Jest to jednak liryka pisana przez zaledwie osiemnastolatka i z tego względu godna uwagi..

Spod sztafażu rozbudowanej formy wyziera cały splot ważnych i głębokich spostrzeżeń. Godne podziwu jest rozległe czytanie młodego autora i jego gruntowna wiedza: z zakresu religii, historii, literatury, filozofii. W warstwie językowej Poeta porusza się nadzwyczaj sprawnie, chociażby w przywoływaniu licznych archaizmów czy też w tworzeniu neologizmów. Ma plastyczną, malarską wyobraźnię. Oprócz umiejętnego łączenia historii Polski z dziejami prastarej Słowiańszczyzny, z historią biblijną i antykiem, potrafi również mocno tkwić w krajobrazie. I widzieć w nim nie tylko rolę dekoracyjną, lecz także znaczeniową. To głównie krajobraz podgórski, krakowski. Ukazanie symbiozy człowieka z przyrodą.

Autor „Renesansowego psalterza” podchodzi do świata niezwykle emocjonalnie, z ogromnym zaangażowaniem uczuciowym, jak typowy romantyk: *Dusza artysty – rozżarzeń węgiel - / kamień rozpalon do czerwoności (Słowo – Logos)*.

Jedenaście lat po napisaniu „Renesansowego psalterza” Karol Wojtyła będzie już dojrzałym poetą. Krzysztof Dybciak w swojej książce „Karol Wojtyła a literatura” stwierdza: *Andrzej Jawień [to jeden z pseudonimów literackich Wojtyły – przyp. J.S.] pojawia się na scenie ojczystego piśmiennictwa w trzydziestym roku życia jako „gotowy poeta”, który wie, czego chce od literatury, ma własny język artystyczny i własne sprawy do rozstrzygnięcia.*

Ogromny bagaż życiowych doświadczeń, znajomość ludzkiej duszy i przede wszystkim głębię własnego życia duchowego będzie coraz ciekawiej i wnikliwiej ukazywać na kartach tworzonej przez siebie literatury – nie tylko w poezji, ale i w sztukach teatralnych. Nie będzie wówczas już tak rozbudowanej, „ozdobnikowej” formy jak w „Renesansowym psalterzu”.

Według Stefana Sawickiego *filozofia uczy rozumieć rzeczywistość poprzez ogólne zasady. Literatura pozwala obcować zarówno z konkretem jak i z tym, co ogólne. (...) Obcowanie z literaturą umożliwia, wydaje się, najpełniejszy kontakt z rzeczywistością, najbardziej wszechstronne przekraczanie siebie i powrót, budujący naszą tożsamość*. Wojtyła potrafił umiejętnie połączyć literaturę i filozofię, ubogacić nimi siebie oraz poprzez swoją aktywność literacką i naukową ubogacać nas – odbiorców jego dzieł filozoficznych, utworów literackich, a także całego papieskiego nauczania. To Orędzie zaiste wielkie, wszechstronne i - co ważne - wzajemnie się dopełniające.

Karol Wojtyła jest papieżem – Janem Pawłem II. Jest jednocześnie artystą: mistrzem słowa. I naukowcem. Przez to potrafił przenikliwie i dogłębniej spojrzeć na człowieka i otaczający świat; na mikro- i makrokosmos. Jako artysta wyraża siebie oraz pragnienia i tęsknoty innych – tęsknoty za Prawdą, Dobrem, Pięknem.

Wracając do „Renesansowego psalterza” należy stwierdzić, że stanowi on nie tylko początek drogi literackiej Karola Wojtyły, lecz także pierwszy etap Jego przemyśleń religijnych, historiozoficznych. Zdaniem Tadeusza Nowaka *wiersze Andrzeja Jawienia każdym słowem, każdą linijką potwierdzają późniejsze przemyślenia Karola Wojtyły i dzisiejszą działalność papieża Jana Pawła II*. Tak też należy patrzeć na „Renesansowy psalterz” – młodzieńcze dzieło słowiańskiego Dawida, poety Karola Wojtyły i przyszłego papieża Jana Pawła II.

Nota o autorze: Jerzy Sikora - ksiądz, poeta, krytyk literacki i eseista, autor m.in. kilku tomów wierszy, monografii *Londyńska grupa literacka "Merkuriusza" i "Kontynentów"*, adiunkt w Katedrze Literatury XX Wieku na Uniwersytecie Kard. Stefana Wyszyńskiego w Warszawie, członek Stowarzyszenia Pisarzy Polskich. Urodzony w 1959 r. w Rajgrodzie, obecnie mieszka w Elku.

*spokój krąży z dziwną siłą,
z siłą, jak śmierć – niepojętą.
(Emilii, Matce mojej)*

Czy „Renesansowy psalterz” młodego Karola Wojtyły to poezja na wskroś oryginalna, własna, osobna w swej lirycznej dykcji? Raczej nie. Wiele w niej zapożyczeń, naśladowań. Zwłaszcza z Wyspiańskiego. Każdy poeta z uporem, powoli dorabia się swego osobnego głosu, niepowtarzalnego stylu. Podobnie jest w tym wypadku. Jest to jednak liryka pisana przez zaledwie osiemnastolatka i z tego względu godna uwagi..

Spod sztafażu rozbudowanej formy wyziera cały splot ważnych i głębokich spostrzeżeń. Godne podziwu jest rozległe odczytanie młodego autora i jego gruntowna wiedza: z zakresu religii, historii, literatury, filozofii. W warstwie językowej Poeta porusza się nadzwyczaj sprawnie, chociażby w przywoływaniu licznych archaizmów czy też w tworzeniu neologizmów. Ma plastyczną, malarską wyobraźnię. Oprócz umiejętnego łączenia historii Polski z dziejami prastarej Słowiańszczyzny, z historią biblijną i antykiem, potrafi również mocno tkwić w krajobrazie. I widzieć w nim nie tylko rolę dekoracyjną, lecz także znaczeniową. To głównie krajobraz podgórski, krakowski. Ukazanie symbiozy człowieka z przyrodą.

Autor „Renesansowego psalterza” podchodzi do świata niezwykle emocjonalnie, z ogromnym zaangażowaniem uczuciowym, jak typowy romantyk: *Dusza artysty – rozżarzeń węgiel - / kamień rozpalon do czerwoności (Słowo – Logos)*.

Jedenaście lat po napisaniu „Renesansowego psalterza” Karol Wojtyła będzie już dojrzałym poetą. Krzysztof Dybiak w swojej książce „Karol Wojtyła a literatura” stwierdza: *Andrzej Jawień [to jeden z pseudonimów literackich Wojtyły – przyp. J.S.] pojawia się na scenie ojczystego piśmiennictwa w trzydziestym roku życia jako „gotowy poeta”, który wie, czego chce od literatury, ma własny język artystyczny i własne sprawy do rozstrzygnięcia.*

Ogromny bagaż życiowych doświadczeń, znajomość ludzkiej duszy i przede wszystkim głębię własnego życia duchowego będzie coraz ciekawiej i wnikliwiej ukazywać na kartach tworzonej przez siebie literatury – nie tylko w poezji, ale i w sztukach teatralnych. Nie będzie wówczas już tak rozbudowanej, „ozdobnikowej” formy jak w „Renesansowym psalterzu”.

Według Stefana Sawickiego *filozofia uczy rozumieć rzeczywistość poprzez ogólne zasady. Literatura pozwala obcować zarówno z konkretem jak i z tym, co ogólne. (...) Obcowanie z literaturą umożliwia, wydaje się, najpełniejszy kontakt z rzeczywistością, najbardziej wszechstronne przekraczanie siebie i powrót, budujący naszą tożsamość*. Wojtyła potrafił umiejętnie połączyć literaturę i filozofię, ubogacić nimi siebie oraz poprzez swoją aktywność literacką i naukową ubogacać nas – odbiorców jego dzieł filozoficznych, utworów literackich, a także całego papieskiego nauczania. To Orędzie zaiste wielkie, wszechstronne i - co ważne - wzajemnie się dopełniające.

Karol Wojtyła jest papieżem – Janem Pawłem II. Jest jednocześnie artystą: mistrzem słowa. I naukowcem. Przez to potrafi przenikliwie i dogłębniej spojrzeć na człowieka i otaczający świat; na mikro- i makrokosmos. Jako artysta wyraża siebie oraz pragnienia i tęsknoty innych – tęsknoty za Prawdą, Dobrem, Pięknem.

Wracając do „Renesansowego psalterza” należy stwierdzić, że stanowi on nie tylko początek drogi literackiej Karola Wojtyły, lecz także pierwszy etap Jego przemyśleń religijnych, historiozoficznych. Zdaniem Tadeusza Nowaka *wiersze Andrzeja Jawienia każdym słowem, każdą linijką potwierdzają późniejsze przemyślenia Karola Wojtyły i dzisiejszą działalność papieża Jana Pawła II*. Tak też należy patrzeć na „Renesansowy psalterz” – młodzieńcze dzieło słowiańskiego Dawida, poety Karola Wojtyły i przyszłego papieża Jana Pawła II.

Nota o autorze: Jerzy Sikora - ksiądz, poeta, krytyk literacki i eseista, autor m.in. kilku tomów wierszy, monografii *Londyńska grupa literacka "Merkuriusza"* i *"Kontynentów"*, adiunkt w Katedrze Literatury XX Wieku na Uniwersytecie Kard. Stefana Wyszyńskiego w Warszawie, członek Stowarzyszenia Pisarzy Polskich. Urodzony w 1959 r. w Rajgrodzie, obecnie mieszka w Elku.

DARIUSZ KULESZA

NOTATKI O KSIĄŻKACH (nie tylko z sezonu 2000 / 2001)

Sylwia Choraży, *Dzień za dniem*

*Wybór Anna Markowa. Białystok 2000. Stowarzyszenie
na Rzecz Twórców Niepełnosprawnych "Nike".*

Powinienem powiedzieć o tym, że tomik Sylwii Choraży zatytułowany "Dzień za dniem" był w tym roku nominowany do Nagrody Literackiej imienia Wiesława Kazaneckiego. Powinienem powtórzyć za Anną Markową rzeczywiście wstrząsającą opowieść o tym, jak podczas promocji swojej debiutanckiej książki nieuleczalnie chora Sylwia nie mogła wpisywać dedykacji. Powinienem, ale przede wszystkim chciałbym Pani Sylwii Choraży podziękować za wiersze, w których najważniejsza jest miłość odzyskująca świat utracony.

Choroba rzeczywiście staje się więzieniem, jeśli nie pozwala dotknąć *ziemi stopą, ani dłonią błękitu nieba i wody*. Poezja jest wyzwoleniem, gdy na białej kartce papieru pozwala utrwaląć to, czego się nie ujrzy, czego się nie dotknie - to, o czym się marzy.

Zieleń listka z brylantami rosy
Ciepło ukochanych rąk
Świt w różowej sukience
Zmierzch pełen aksamitu
Gwiazdy na niebie
Miękość śniegu w zimie
Gorąca radość słońca w lecie

Świat w wierszach Sylwii Choraży jest ukochany i bardzo kocha (całuje słońcem pierwszego dnia wiosny). Można jednak zapytać: gdzie są w tej poezji ludzie? Czy wystarczy "Ciepło ukochanych rąk" wobec lirycznej nadobecności czy wręcz ucieczki w świt, zmierzch, gwiazdy i miękkość śniegu? Owszem, tomik "Dzień za dniem" to *promienie słońca, rosa na ptasich skrzydłach, soczystość jabłek i deli-*

katność kwiatów, to czyste jeziora, ale - uwaga - widziane w tobie.

widzę w tobie
tak wiele i jeszcze więcej
bo cię kocham

Sylvii Choraży starcza surowej, wolnej od czułościowości odwagi, by nie tylko stanąć twarzą w twarz z własnym, lirycznie zuniwersalizowanym nieszczęściem. Doświadczając wynikających z choroby ograniczeń, zapisana w tomiku "Dzień za dniem", Sylwia z niczego nie rezygnuje. Wprost przeciwnie, sięgając po świat z większym trudem niż inni, zdaje się dotykać go głębiej, intensywniej, a przede wszystkim heroicznie i radośnie zarazem.

Jest w tej książce noc i sen, jest smutek nazwany w jednym z tekstów czarnym, unicestwiającym motylem. Są rozczulający się nad sobą hipokryci żądający radości od dotkniętych nieszczęściem. Jest człowiek odrzucający Boga, a później narzekający na samotność w tłumie. Jest też Bóg, który kocha.

To zrozumiałe, że poetycka książka Sylvii Choraży obok utworów, o których opowiadałem, zawiera wiersze słabe, bardziej zapisane niż lirycznie obecne. O ich pustce mówi tekst zatytułowany "Może nie". Nie zmienia to jednak tego, co w tomiku "Dzień za dniem" najważniejsze. Wielka poetycka energia, która poprzez miłość odzyskuje świat, trwa niezwykła. Choroba nie jest dość silna, by się tej energii przeciwstawić.

Jan Dziuba, *Krople czasu*

*Białystok 2000. Wojewódzki Ośrodek Animacji Kultury
w Białymstoku.*

Jana Dziubę poznałem przy okazji drugiej edycji nagrody literackiej imienia Franciszka Karpińskiego. Firmował ją i firmuje w dalszym ciągu białostocki oddział Civitas Christiana, ale dopóki Pan Jan był kustoszem tego wyróżnienia, dopóki nie odszedł na emeryturę, sam zajmował się wszystkim. To była jego nagroda. Miałem szczęście znajdować się wtedy dość blisko i wiele mogłem zobaczyć. Razem jeździliśmy do Warszawy na posiedzenia kapituły, która przyznawała nagrodę Karpińskiego Profesor Irenie Sławińskiej, biskupowi Zawitkowskiemu i Ernestowi Bryllowi. Z tych podróży pamiętam wielką

książkę, która ledwo mieściła się w torbie Pana Jana. To był wybór tłumaczonych przez Mieczysława Jastruna poezji Rilkego.

Dzięki Panu Janowi trafiłem kiedyś do grupki znajdujących się pod jego opieką tak zwanych *młodych poetów*. Nie, nie pisałem z nimi wierszy. Miałem je komentować. Właśnie tam spotkałem Piotra Nowika, najciekawszego (nie tylko moim zdaniem) naszego, białostockiego, młodego poetę.

Dlaczego o tym wszystkim Państwu opowiadam? Wielością wymienionych tu, a przede wszystkim nie wymienionych zatrudnień staram się wytłumaczyć, dlaczego wybór wierszy zatytułowany "Krople czasu" to pierwsza od debiutanckiego tomiku z 1966 roku, poetycka książka Jana Dziuby. Poza tym nie spieszę się z wyznaniem, że teksty osoby, którą znam i szanuję, nie są mi szczególnie bliskie.

Pan Jan Dziuba darzy poezję atencją, która dzisiaj należy już do rzadkości. Jego wiersze nie dzieją się w przestrzeni języka naszych codziennych rozmów. Każde wejście w "Krople czasu" to przekroczenie granicy, za którą tekst i czytelnika obowiązują wysokie wymagania. Tutaj poezja jest święta. Tutaj, to znaczy gdzie? W demokratycznym kraju nie wypada zachwycać się dworską etykietą, ale nie mówię przecież o nawiedzonych monarchistach. Usiłuję powiedzieć o godności poetyckiego słowa, które w wierszach Jana Dziuby bywa traktowane jak *duśa świata*. Poznać je, posiąść, to odkryć niebo, doświadczyć niemożliwego w chaosie codzienności ładu.

Zrobiło mi się wstyd, bo jeśli taka poezja nie jest mi bliska, to raczej nie powinienem przyznawać się do tego. Rzeczywiście. Pan Jan jako poeta może sprawiać wrażenie czcigodnego konserwatysty. Hierarchia obowiązujących w jego królestwie wartości też ustrzegła się rozregulowanej nowoczesności. Godząc się na etyczny konserwizm, wolę jednak wiersze korzystające z takiego języka, który bardziej bezpośrednio komunikuje się ze współczesnością.

Pan Jan doświadczył rewolucji literackiej 1956 roku. Może także stamtąd bierze się jego wiara w poezję. Ja jestem bardziej nieufny. Sięgając do źródeł powojennego, polskiego pisania, trafiam na burzącego liryczne standardy Tadeusza Różewicza. Szukając wierszy nowych, zdających sobie sprawę z tego, że *świat podobny jest do Sodomy*, odnajduję maksymalnie prywatny przekaz Marcina Świetlickiego.

Im bliżej 2000 roku, tym więcej w wierszach Jana Dziuby cizy, sceptycyzmu, a nawet lirycznie zdyscyplinowanej, ale jednak rozpacz. Ta *poezja jest znużona* i nie wiem, Panie Janie, naprawdę nie wiem, jak zdoła ją Pan przed światem ocalić.

Wiktor Kozłowski, *Najdłuższa droga*

Białystok 1998. Biblioteka "Sybiraka".

Nie jestem entuzjastą literatury martyrologicznej. Syberia to Golgota Wschodu, ale kiedy myślę o niej, widzę raczej swoją brataniację, która w okolicach Irkucka uczy języka polskiego. Wspomnienia Polaków zesłanych na Syberię w latach ostatniej wojny skazane są na powielanie powszechnie znanego wzorca. Wiadomo: Stalin, czekał, komuniści - na nich brak przymiotników, a Polacy ? Każdy Polak to bohater.

Książka Wiktora Kozłowskiego zatytułowana "Najdłuższa droga" opowiada historię polskiej rodziny od 1939 roku do lat powojennych, historię syberyjskiej gehenny i powrotu do kraju. Pierwszy raz czytałem ją właściwie z obowiązku, jako rezerwowego członek kapituły nagrody Kazaneckiego. Już wówczas przekonało mnie do niej jedno zdanie: " - Udajmy się do Anglii, zwiedzimy kawał świata i chętnie nas tam przyjmą". Nabrałem otuchy, zacząłem wierzyć, bo wydało mi się wiarygodne takie spieszenie na ratunek Ojczyźnie, które uwzględniła turystyczny aspekt poświęcenia.

Wiktor Kozłowski jest syberyjskim Sienkiewiczem, który pisze ku pokrzepieniu serc, ale jego książka niewiele ma wspólnego z tak zwaną literaturą piękną. "Najdłuższa droga" nie konkuruje z Sołżenicynem, Bukowskim, Szalamowem, Herlingiem-Grudzińskim, Czapskim czy Obertyńską. "Najdłuższa droga" nie powinna też być definiowana jedynie jako osobisty dokument o charakterze historycznym. Najważniejszy w tej książce wydaje mi się niezależny od historii, niezniszczalny, surowo zapisany instynkt życia. Można ubarwiać go zaradnością, patriotyzmem, uzasadnioną niechęcią do władzy radzieckiej. Ja sam chciałbym nazwać go miłością, ale instynkt życia i tak pozostanie sobą - bezcennym, organicznym sprzeciwem wobec śmierci, także tej, którą grozi nam historia.

Po powrocie do kraju Wiktor Kozłowski, zdeklarowany antykomunista, miał poważne problemy ze znalezieniem pracy. Przyjaciele, na którego pomoc liczył, "stalinowscy służalcy wywieźli(...) do Związku Radzieckiego". Wielu Polaków emigrowało wówczas na Zachód. Czy można się dziwić, że nasz bohater, kierowany instynktem życia, też nosił się z taką myślą ? Jego żona miała inne zdanie:

" - Wiktor, sądziłam, że jesteś dobrym Polakiem, a ty po tylu cierpieniach chcesz wszystko zmarnować ? Chcesz iść znowu na tułaczkę. W żadnym wypadku tego nie uczynimy. Nasze miejsce jest

w Polsce (...) Pragnęliśmy zawsze jednego, powrotu do ojczyzny. Teraz Bóg dał, że to się spełniło i dlatego tu zostaniemy do śmierci. Chcę wychować nasze dzieci na dobrych Polaków".

Wśród czterech wstępów do wspomnień Wiktora Kozłowskiego (i jednego posłowania) znalazł się tekst księdza Stanisława Piotrowskiego, tekst zakończony następującym zdaniem: "Niech ta książka uczy, że nienawiść umiera, a zwycięża miłość". Wierzę księdzu Piotrowskiemu, gdy pisze o miłości, która wszystko znosi, we wszystkim pokłada nadzieję, wszystko przetrzyma. Wierzę między innymi dlatego, że ksiądz Piotrowski był więźniem Ostaszkowa.

– **Paweł Lekszycki, *Wiersze przygodowe i dokumentalne***

Białystok 2001. "Kartki".

Kolejny tom (czytaj: tomik) redagowanej przez Bogdana Dudko Bibliotekę "Kartek" nosi tytuł *Wiersze przygodowe i dokumentalne*. Autor tej książki, dwudziestopięcioletni Paweł Lekszycki, mieszka w Dąbrowie Górniczej, ale publikuje między innymi u nas.

Słów kilka o wierszach przygodowych. Nie liczcie Państwo na eskapady rodem z filmów Spielberga o Indiana Jonesie. Przecież prawdziwe przygody dzieją się w autobusach komunikacji miejskiej, na targu, który w Białymstoku nazywa się "Madro", a przede wszystkim w *cichych i pustych norach mrówkowca*. Wiersze przygodowe są narracyjne, ponieważ Paweł Lekszycki opowiada swoją poezję. Znakomicie korzysta przy tym z interpunkcji i podstawowego, składniowego środka stylistycznego zwanego przerzutnią.

Wiersze przygodowe nie istnieją u Lekszyckiego bez wierszy dokumentalnych. Każda tekstowa przygoda musi mieć, czyli ma, wymiar dokumentu. Czasami, w przypiływach polonistycznej powagi nazywam takie pisanie dokumentalnym heroizmem etycznym. Jakkolwiek to brzmi, sprawa jest prosta. Lekszycki chce mówić prawdę, ale wie, że robienie wokół niej zbyt dużego szumu, pisanie jej wielką literą czy wręcz abstrahowanie prawdy nie wzbudza zaufania, bywa po prostu podejrzane. Pozostaje więc szukać i zapisywać ją tam, gdzie chociaż codzienna, pop-kulturalna, zgrzebna, a nawet wulgarna, jednak nie daje się zakwestionować.

Tyle o przygodowości i dokumentalności wierszy Pawła Lekszyckiego. Pozostaje jeszcze sprawa generacyjnych (środowiskowych?), a w konsekwencji estetycznych naleciałości, które sprawiają, że ostatni tomik Biblioteki "Kartek", niezależnie od jego oryginalności, trudno jest traktować jak *samotny biały żagiel*.

Nie wiem czy podczas lektury odniesiecie Państwo podobne wrażenie, ale ja, czytając teksty Lekszyckiego zbyt często dochodziłem do wniosku, że ich antyliryczność to nie tylko sposób widzenia świata, lecz także obowiązkowy, pokoleniowy znak rozpoznawczy, danina płacona za przynależność, za więcej niż poetyckie "bycie razem".

Byłbym bezczelny, zarzucając Lekszyckiemu konformizm czy jakikolwiek inny, "literacki" grzech ciężki. Moje uwagi zmierzają do prostej konkluzji i wynikającego z niej, zwyczajnego pytania. Najpierw mała, prawie-konkluzja: Lekszycki został wygnany z raju liryczności, ale tęskni za nim. Pytanie: dlaczego wygląda tak, jakby podmiot liryczny Pawła Lekszyckiego wstydił się swojej tęsknoty?

Nie zachwycają mnie literackie nieszczęścia, ale wśród *Wierszy przygodowych i dokumentalnych* najbardziej lubię te, które (niezależnie od środowiskowo-generacyjnych ułkonów autora) zapisują samotność, czyli outsiderstwo. Przykład? *Wiersz w którym się podejrzewa*. Nie akceptuję słowa "motłoch". Dużo bardziej odpowiada mi finał tekstu *kicz*

błogostawieni, którzy widząc (...) piekło - wędrując oglądają,
targując kupują,
bywają okradzeni albo kradną sami,
dusząc się są duszeni,
wróciwszy do domów,
na pergaminach dyskietek rzeczy widziane opisują
albowiem sami opisani zostaną

Paweł Lekszycki jako poeta jest szczególnie wiarygodny wówczas, gdy bardziej identyfikuje się z potłuczonym światem niż z pokoleniowymi "kumplami po piórze".

Jan Leończuk, *Wiersze*

Białystok 2000. Wydawnictwo Pymat.

Poznałem go wiele lat temu, gdy zaczynałem studia. Był opiekunem naszego roku. Już przy pierwszym spotkaniu pokazał mi swoje wielkie, spracowane ręce. Wiedziałem, że jest poetą. Bardzo chciał, bym uwierzył w jego prawdziwe, chłopskie, wiejskie życie.

Kiedy jestem na wsi, nie muszę stwarzać świata na swój żałośnie ograniczony, ludzki sposób. Wieś to świat gotowy, wymagający odpowiedzi na niezależne od nas, swoje własne uporządkowanie. Być na wsi, znaczy przyjąć ład, który ją określa. Wieś to kosmos, to uniwersum, to tkwiący w ziemi, możliwy do wydobycia z niej sens. To wiarygodna jak grudka ziemi prawda, zdolna ogarnąć i zorganizować ludzkie życie.

Skąd ta małorolna, nienawożona metafizyka? Nie należy obarczać nią "Chłopów" Reymonta czy powieści Myśliwskiego "Kamień na kamieniu". Wystarczy mieszkać długo w mieście i wybrać się na wieś, ale nie wystarczy przechadzać się wśród pól, *muskając wzruszoną dłońią leniwie kołyszące się kłosa*, nie wystarczy zachwycać się świergoleniem ptasząt i poklepywać ze zrozumieniem tych, którzy przynajmniej według sztandarów *żywią i bronią*. Trzeba wstać wcześnie rano i oporządzić (cokolwiek to słowo znaczy), trzeba dzień po dniu zajmować się ziemią tak, jak ona sobie tego życzy, jak wymaga. Wystarczy słuchać i odpowiadać. Wystarczy uczestniczyć i tworzyć.

Dla świętego spokoju mógłbym napisać, że tomik Jana Leończuka zatytułowany "Wiersze" jest właśnie o tym, o ciężarze istnienia, którego sens zachował ocalany w pamięci, znany od dzieciństwa wiejski krajobraz. Mógłbym tak napisać, ale wówczas powiedziałbym Państwu tylko część prawdy. Jan Leończuk, z właściwym sobie lirycznym kunsztem, potrafi tak szukać przeszłości i rodzinnego domu, by było to poszukiwanie sensu. Najlepszy wśród żyjących, tak zwanych białostockich poetów wie, że szczególną wartość posiada takie dzieło sztuki, które ów sens pokazuje i opowiada, czyli ocala od zapomnienia. Inną powszechnie znaną prawdą jest to, że artystycznym mądrościom zapisującym tajemnice świata tego znakomicie służy osobiste świadectwo mędrca. (Bo tylko to staje się uniwersalne, co posiada wybitnie partykularny - cząstkowy, fragmentaryczny, a w konsekwencji indywidualny charakter.)

Niezależnie od tego co, rzeczywiście lub potencjalnie, w tomiku "Wiersze" się znajduje, mam przykre wrażenie, że Jan Leończuk

pisze tak, jakby za bardzo przejął się swoimi jubileuszami i zrezygnował z niezbędnej przy tworzeniu, estetycznej dyscypliny. Sentymentalno-wspomnieniowe, emocjonalne rozchełstanie "Wierszy" jest zbyt duże. Ton większości tekstów zdeterminowany został rozedrganym rytmem onirycznych westchnień i przeładowany namolnie wracającymi motywami, które snują się po całym tomiku, sprawiając wrażenie wolnych od wszelkiej kontroli. Utwory najkrótsze nic nie mają wspólnego z czystością i przejrzystością liryków łoańskich Mickiewicza, a całość każe czekać na zupełnie inną książkę, zdolną uczcić lata życia i pisania poety, który chociaż wieszczem nie jest i tak nie ma zdolnej zdetronizować go, białostockiej konkurencji.

Konrad Lewandowski, *Stopniowanie bytu*

Łomża 2000.

Są przynajmniej dwa (nieprawdziwe jak wszystkie inne) stereotypy tak zwanego "młodego twórcy". Stereotyp pierwszy: wrażliwy, subtelny, delikatny albo po prostu mięciuch skazany na pisanie wierszy. Stereotyp drugi: młody (przepraszam za słowo) rewolucjonista (może być buntownik, nonkonformista, prowokator, a nawet obrazoburca), czyli ktoś, kto wierzy i walczy. Ktoś, kto krzyczy poezją, prozą albo dramatem. Rodzaj literacki ma tu pewne znaczenie.

Debiutancka książka Konrada Lewandowskiego nosi tytuł "Stopniowanie bytu". To zbiór małych próz i form dramatycznych, jednak (bez względu na sposób zapisu) jedno nie ulega wątpliwości: stopień niezgody na świat, intensywność sporu, jaki z rzeczywistością prowadzi autor, wszystko skazuje ten debiut na dramat, czyli dramatyczny konflikt i dramatyczną formę. Nawet małe prozy Konrada więcej mają wspólnego z jednoaktówkami Mrożka niż z pozytywistycznymi czy postmodernistycznymi nowelami.

Dramat jako rodzaj literacki debiutu jest czymś wyjątkowym, ale staje się nie tylko zrozumiały, ale nawet konieczny, gdy dostrzeże się, że Konrad Lewandowski nie ma w sobie nic z romantycznego Gustawa, a jego imię znakomicie pasuje do nieograniczonej w żaden sposób konfrontacji z rozkładającym się, rozregulowanym, pozbawionym racji innej niż łączywość, niemożliwym do zaakceptowania światem.

Walka Konrada nie jest szlachetnym, choć pozbawionym rozsądku i miary, a w konsekwencji nieskutecznym zamieszaniem. Brak

mu jeszcze literackiej klasy oraz ironicznego dystansu tegorocznej laureatki nagrody Kazaneckiego, Katarzyny Zdanowicz, jednak krzyk "Stopniowania bytu" to coś więcej niż hałas. Konrad korzysta przede wszystkim z doświadczeń Sławomira Mrożka, który nie tylko rzeczywistość PRL-u doprowadzał za sprawą podejrzaną, ale mimo wszystko logiki do demaskującego absurdu. Konrad potrafi już być skutecznie i boleśnie logiczny. Wystarczą mu banalne sytuacje oraz abstrakcyjne jedynie w punkcie wyjścia pytania, by mówić o tych, którym zależy i o tych, którzy nie mogą już tak o sobie powiedzieć.

Logiczne konstrukcje "Stopniowania bytu" nie są pozbawione pęknięć. Konrad nadużywa cierpliwości czytelnika, błędząc po niemożliwym do przejścia labiryncie tekstu "Morderca". Jego "Dialog półprosty" jest raczej zagmatwany, nieprecyzyjny, po prostu niejasny. Intrygi kolejnych utworów nie zawsze są oryginalne (żaden zarzut), ale trudno odmówić im konsekwencji i śmiałości. Sporadyczna banalność point też mnie specjalnie nie martwi, ponieważ Konrad nie odkrywa świata. On zna go na tyle, by usiłować go ocalić.

Nie przeszkadza mi to, że Konrad Lewandowski, sięgając do Mrożka, nie jest tak nowoczesny, czyli męski, jak Andrzej Stasiuk czy Jerzy Pilch, albo magiczny i mityczny jak Olga Tokarczuk czy Magdalena Tulli. Mój niepokój dotyczy czegoś innego. Napisane po opublikowaniu "Stopniowania bytu", ostatnie teksty Konrada wydają mi się zbyt przejrzyste w intencji zwanej "szlachetną". Misja wymknęła się spod literackiej kontroli. Rozmawiałem o tym z Konradem w Białowieży na promocji jego debiutu, którą znakomicie przygotowali uczniowie, nauczyciele i wychowawcy Zespołu Szkół Leśnych. Gratuluję, dziękuję, serdecznie pozdrawiam. Mam nadzieję, że coś z tego będzie.

Andrzej Piotr Nowik, *Ścierniska*

Posłowie Dariusz Kulesza. Białystok 2001. "Kartki".

Tej książki jeszcze nie ma. (Książka już jest. Tekst był pisany tuż przed jej opublikowaniem. D.K.) Nie wiem nawet, jaki będzie jej tytuł: *Ścierniska*, *Drzwi z piasku*, a może *Kroki w miejscu* ? Są już jednak wiersze, jest autorski rękopis, już niedługo pojawi się bardzo dobry i bardzo ważny, drugi tomik Andrzeja Piotra Nowika.

Całość składa się z trzech opowiadających jedną historię, pre-

czyjnie skomponowanych cykli. Cykl pierwszy - *Kroki w miejscu* stara się poetycko nadażyć za chłopską epopeją Wiesława Myśliwskiego, czyli za *Kamieniem na kamieniu*. Nowik buduje swoje wiejskie uniwersum, wyodrębniając je ze świata, wyznaczając mu nieprzekraczalne granice. Gwałtownie "rzuca się" ku czytelnikowi i bezwzględnie skazuje go na wieś, podaną lirycznie, ale także "na surowo", czyli z naturalistyczną i reporterską wiarygodnością.

Warto przetrwać tę próbę, bo po jej zakończeniu Piotr otwarcie i obficie dzieli się swoją (literacko-) chłopską tożsamością, swoim wiejskim rodowodem. Cykl zamykają treny - zapisane (u Myśliwskiego wypowiedziane) pożegnanie z pierwszą i jedyną ojczyzną, czyli ojcowizną niemożliwą do obśmiania nawet przez Gombrowicza.

Cykl drugi - *Kropka*, to zupełnie inna rzeczywistość, nowy świat, ale nie ten pisany wielkimi literami, który tak często opowiada Tadeusz Konwicki. *Kropka* to wieś *po kapitalnym remoncie*, ale przede wszystkim miejska stancja, humanistyczne studia, komputer i dziewczyny. Z jednej strony *usychanie* tego, co było, a z drugiej maskowany lingwistyczną ironią i (po)nowoczesnymi gadżetami ból wykorzenionego życia, o którym najwięcej mówi samotność.

Epizody, czyli cykl trzeci, rozgrywają się w świecie literatury. Tutaj bardziej się zapisuje niż żyje. Więcej się czyta niż zarabia. To miejsce sprawiałoby wrażenie bezpiecznego schronienia, gdyby można było stąd wyjść.

Kroki w miejscu. Najpierw jest miedza, która oddziela już nie dwa pola, lecz zupełnie różne światy. Właściwie istnieje tylko jeden świat, świat ściernisk, a wszystko, co znajduje się poza nim, nie istnieje naprawdę.

W *Kamieniu na kamieniu* Wiesława Myśliwskiego grób ocala rozbitą rodzinę, ma stać się domem na wieczne mieszkanie, a cmentarz to przestrzeń życia. Piotr jest przewrotniejszy. W jego grobowcu kwitną ziemniaki. Nowik nawet pisząc o swojej ojcowiznie, bywa ironicznie i sarkastycznie dwuznaczny. U niego nie grób pozwala trwać odchodzącemu, wiejskiemu uniwersum, nie grób, ale tren.

Andrzej Piotr Nowik napisał książkę, która wydaje się nawet zbyt dobrze skomponowana. Zbyt dobrze, ponieważ tej nadkompozycji towarzyszy niemożliwa do pominięcia rozmaitość form, gatunków i dykcji. Piotr nie musi już udowadniać, że potrafi pisać, że świetnie sobie radzi zarówno w przestrzeni wzniosłego, wiejskiego serio, jak i w smutnie samotnej, nowoczesnej cyberprzestrzeni (*Zoom*). Jego wiersze skutecznie się bronią, ale nie martwiąc się o nie, trudno mi

zrezygnować z pytania, co dalej ? Gdzie ta poezja się zatrzyma ? Na wieś nie ma już chyba po co wracać. Zgodzić się na miasto i prowadzić z nim nieustanną, ironizującą walkę ? Co się wówczas stanie z bezcennym, autentycznym liryzmem, który tak fantastycznie zapisał wiejskie uniwersum, a w mieście nie znalazł właściwie zastosowania ? Może przyszedł czas na prozę.

— **Barbara Sidorowicz, *Życiopisanie***

Wybór, wstęp i opracowanie Jan Leończuk i Henryk Mażul. Posłowie Helena Ostrowska. Białystok 2000. Podlaski Oddział Stowarzyszenia Wspólnota Polska.

Wydawało mi się, że popularność literatury faktu nieco już przeminęła. Przecież po 1989 roku stale przybywa w Polsce prozy fabularnej, która skupia na sobie uwagę, zdobywa nagrody, a nawet (jak niegdyś mawiano) "wyznacza kierunek". Wartość dokumentalnych, zaplątanych w historię, autobiograficznych publikacji ukazujących się w Białymstoku tłumaczyłem niezbyt sprawiedliwie tym, że wydawałaby się ona zapewne mniejsza, gdyby nie regionalny zalew słabego pisania kleconego z fikcji. Szkoda jednak czasu na zajmowanie się takimi kwestiami, gdy czeka książka ważna nie tylko jako historyczny dokument i autobiograficzne świadectwo.

Niezbyt przekonuje mnie tytuł, który brzmi *Życiopisanie*. Przecież wystarczająco wielu czytelników musi skojarzyć go z twórczością Edwarda Stachury, a on naprawdę nie ma nic wspólnego z więcej niż wspomnieniową prozą Barbary Sidorowicz. Czy to drobiazg? Obawiam się, że nie.

Opracowana przez Jana Leończuka i Henryka Mażula książka składa się z dwóch części. Pierwsza, dużo lepsza ma charakter wiarygodnie literacki. Stanowi znakomicie skomponowaną, wręcz nowoczesną sumę fragmentów, które dotycząc różnych osób, miejsc i wydarzeń, rekonstruują więcej niż okółowojenną historię wschodniego pogranicza. Barbara Sidorowicz opowiada o życiu ważniejszym niż polityka i o bezbronności dziecka wykorzystywanej, manipulowanej i dewastowanej nie tylko przez funkcjonariuszy historii.

Owszem, zdarzają się zbędne, czyli nieporadne komentarze, cytuję:

"Dano mu potrzebować karabin.

Nie wiedział, nie rozumiał chłopczyzna, że to orędzie śmierci przekłete i radość dotyku zamieni w rozpacz i boleść".

Na szczęście dużo istotniejsza, a zwłaszcza częstsza niż wiedza i sprawiedliwość, która nie uwzględnia norm literackiego zapisu, jest wiarygodna wstrzemięźliwość świadka, który po prostu nie wie i podaje kilka wersji opowiadanej tragedii.

Druga część *Życiopisania* została zatytułowana *Stara Baśń Nowej Wilejki*. Jej defekt polega na scaleniu tego, co w części pierwszej pozostało dramatycznie rozproszone. Barbara Sidorowicz zakłada niemożliwej do zrozumienia i akceptacji, bezwzględnej, okrutnej, wręcz głupiej historii porządkujący ją, nadający jej sens filtr własnej biografii. Tym samym to, co w części pierwszej słusznie i skutecznie wymykało się wszelkiej racjonalizacji, wszelkiemu łaadowi, zostało w części drugiej oswojone wstrząsającym, ale jednak naturalnie uporządkowanym losem dręczonego dziecka, dzielnej dziewczyny i mądrej kobiety.

Jak typowy, współczesny czytelnik, jestem nieufny. Kiedy zapísane w tekście sprawy stają się naprawdę ważne, łatwiej mi uwierzyć, gdy mówi o nich świadek niż zmyślacz, czyli kreator. Nie zmienia to jednak mojej wiary w literaturę zwaną piękną, literaturę, która "pięknie zmyśla". Nauczono mnie bowiem, że prawda o rzeczywistości najbezpieczniejsza, najtrwalsza jest w przestrzeni literackiego arcydzieła.

szósta wieczór. fama.

Autorzy wierszy: Wojciech T. Brzoska, Mirosław Gabryś, Paweł Lekszycy, Piotr Macierzyński, Bartłomiej Majzel, Elżbieta Michalska, Andrzej Piotr Nowik, Katarzyna Ewa Zdanowicz. Wstęp Darek Kielczewski. Białystok 2001. "Kartki" i Wydział Filologiczny Uniwersytetu w Białymstoku.

Książka jest rezultatem spotkania literackiego tak zwanych "młodych" twórców. Dariusz Kielczewski, autor wstępu, napisał, że wszyscy poeci prezentujący swe wiersze w tej mini-antologii urodzili się w latach siedemdziesiątych. Trudno (czytaj: niepoważnie) byłoby mówić o krajowym charakterze tej publikacji, jednak nie bez przyjemności informuję Państwa, że autorzy kolejnego tomu Biblioteki "Kartek", tomu zatytułowanego „szósta wieczór. fama,, pochodzą nie tylko stąd, czyli z Krupnik, Sidry i Złotorii, ale także z Katowic, Dą-

browy Górniczej, Sosnowca, Dębowca i Łodzi.

Ciekawie wypada konfrontacja "naszych" poetów z poetami-gośćmi. Można to łatwo zbagatelizować twierdzeniem, że Katarzynę Zdanowicz, Elżbietę Michalską i Piotra Nowika znam (w sensie: czytam ich od dawna), a Wojciecha Brzoskę, Mirosława Gabrysia, Pawła Lekszyckiego, Piotra Macierzyńskiego i Bartłomieja Majzla dopiero poznaję, jednak poezja "naszych" wydaje mi się dużo bardziej zindywidualizowana niż obecne w antologii śląsko-łódzkie pisanie, wyrażanie ciężące ku typowości charakterystycznej dla "młodych", zwłaszcza "zbuntowanych".

Zbyt często na spotkaniach literackich w naszym mieście, gdy mowa o środowisku "Kartek", pojawiają się zarzuty nieobyczajności, nieprzystojności, czy wręcz agresywnej wulgarności drukowanych przez Bogdana Dudko tekstów. (Czasem odnoszę wrażenie, iż dużo bezwzględniejsze są reakcje na teksty niż one same, jednak nie zamierzam stwarzać problemu, mówiąc o nim kosztem poezji.) Temat ocen "Kartek" podejmuję z dwóch powodów. Pierwszy to świadomość "obyczajnej" presji wywieranej na pismo, presji, której jestem świadkiem i której lekceważyć nie zamierzam. A drugi to może naiwna i nie wiem nawet, czy komukolwiek potrzebna, ale jednak nadzieja na zwyczajną, spokojną rozmowę między "młodymi zbuntowanymi" i starszymi, którzy powiedzmy, że buntują się już w inny sposób.

O wierszach Elżbiety Michalskiej i Piotra Nowika (także tych obecnych w antologii) mówiłem całkiem niedawno. Dwa nowe wiersze Katarzyny Zdanowicz to jeszcze za mało, by udawać diagnozę pod tytułem "Co nowego u najzdolniejszej, młodej, białostockiej poetki". Poezją Pawła Lekszyckiego chciałbym zająć się za dwa tygodnie. A dzisiaj?

"Młodzi" mówią mocno: jednym długim cięciem oddzielamy tułów dnia / od kończyn nocy. "Młodzi" mają ku temu poważne, egzystencjalne powody: nóż // w którym jesteśmy zamknięci, zmieni / swój kolor na czerwony. "Młodzi" godnie i odważniej stają wobec śmierci niż ich rodzice, ale stać ich też na zupełnie dojrzały szacunek wobec zalegających, uśmierających strach konwencjonalnością ojców. "Młodzi" chcą powiedzieć wszystko (proszę przeczytać grawitację Mirosława Gabrysia), a ich gry (także literackie) są tym dwuznaczniejsze, im bliższe rozpaczy.

Młodzi poeci mają Bursę, Podsiadłę i Biedrzyckiego. Mają też swój pozytywny program.

a przecież mieliśmy wyjść spotkać ludzi których
pokochoamy. mieliśmy powypuszczać zamykane ptaki
i radośnie ujadać na słońcu

lecz widzisz. człowiek jednak nie wszystko
potrafi pokochać co zapragnie.
mam nadzieję że spadnie deszcz i to zdanie zmaże.

Eugeniusz Szulborski, *Bluszcz*

Wybór i postowie Andrzej Wojciech Guzek. Białystok 2001. Nauczycielski Klub Literacki w Białymstoku.

Mam trzy pomysły na ten tekst. Pomysł pierwszy: życziwe plotki o Eugeniuszu Szulborskim. Plotki, bo mówią o tym, jak Pan Szulborski bywa w Białymstoku postrzegany. Życzliwe, bo lubię Pana Szulborskiego. Pomysł drugi: nieco informacji na temat egzotycznych rubajatów i kojarzonego z nimi perskiego poety, który żył na przełomie XI i XII wieku. Pomysł trzeci: dotyczące aktywności zwanej za-
wyczaj kulturalną i dlatego zupełnie jawne dane osobowe prezentujące postać Eugeniusza Szulborskiego.

Kilka lat temu bardzo wpływowa osoba białostockiego, literackiego światka powiedziała mi, że nigdy nie napisze o tym Szulborskim, bo... i tu pojawił się argument będący oceną bardzo bogatego, pisarskiego dorobku Pana Eugeniusza, argument, mówiąc eufemistycznie, mało życziwy, nie widzę więc powodu, by zacytować go w jakiegokolwiek postaci.

Ostatnią książeczką Pana Szulborskiego jest *Bluszcz*, zbiór czterowersowych tekstów stylizowanych na rubajaty. Otrzymałem ją od autora całkiem niedawno, podczas uroczystości wręczania białostockim literatom wysokich odznaczeń państwowych. Byłem wówczas świadkiem sceny, która wydała mi się charakterystyczna. Widziałem entuzjazm ważnej dla kultury białostockiej pani, cieszącej się niezmiernie lekturą tomiku *Bluszcz*.

Rubai to słowo arabskie, oznaczające strofę czterowersową, powiązaną jednym albo dwoma rymami. Tekst oparty na takiej strukturze powinien być zdaniem dotyczącym jednego tematu. Problematyka rubajatów jest właściwie dowolna, od hedonizmu do mistycyzmu, jednak zwykło się przypisywać im charakter refleksyjno-filozoficzny.

Poezja polska przyswoiła sobie ten gatunek głównie za sprawą Marii Pawlikowskiej-Jasnorzewskiej. Jeden z jej wojennych rubajatów nosi tytuł *Ból fizyczny*.

Nie dba o wycie bomby ni o kul poświsty,
Kto zasadzki cierpienia nie poznał wieczystej.
Aż się dowie o prawdzie, gdy mu niespodzianie
Ból, jak Bóg, stanie w nerwach, jak w krzaku ognistym !...

W Europie rubajaty stały się popularne, gdy przetłumaczono te spośród nich, które pisał perski poeta z przełomu XI i XII wieku, Omar Chajjam. Najsłynniejszy, klasyczny rubajatysta był człowiekiem wszechstronnie wykształconym. Zajmował się filozofią, astronomią, fizyką, matematyką i medycyną. Podobno właśnie stąd bierze się tematyczna różnorodność rubajatów.

Mówię o tym wszystkim, bo rubajaty Eugeniusza Szulborskiego nie przekonały mnie do siebie. Pomijając je milczeniem, wolę zwrócić Państwa uwagę na to, że zapomniany już dzisiaj, ale swego czasu ważny, ogólnopolski konkurs poetycki *O Buławę Hetmańską* w latach 1988-1994 organizował Eugeniusz Szulborski. A Galeria imienia Śleńdzińskich i jej kwartalnik *Ananke*, a literacki kwartalnik nauczycieli *Najprościej* ? Wszystko to praca Pana Eugeniusza.

Usłyszałem, że nikt dotąd nie mówił o Panu Szulborskim w Radiu Białystok. Trudno mi w to uwierzyć, ale na wszelki wypadek, z okazji tomiku *Bluszcz*, z najlepszymi poświętecznymi życzeniami... Chyba nie macie mi Państwo tego za złe ?

Śniadanie końca wieku.

Autorzy wierszy: Adam Sawicki, Robert Kasprzyński, Mariusz Maciej Leś, Andrzej Piotr Nowik, Marek Olesiewicz, Dariusz Adam Zeller. Redakcja Marek Olesiewicz i Robert Kasprzyński. Knyszyn 2000.

Sześciu Panów raczy siebie i nas wierszami *końca wieku*. Miejsca tego lirycznego spotkania, tej poetyckiej degustacji szukałbym w okolicach któregoś z knyszyńskich trawników. *Knyszyńskich*, ponieważ rzecz dotyczy szóstej publikacji Biblioteki Gońca Knyszyńskiego. Natomiast *tawnyk* wziął się stąd, że od czasu impresjonizmu każde artystyczne śniadanie, a więc także "Śniadanie końca wieku," powinno

odbywać się na trawie.

Skoro wiadomo już kiedy i gdzie odbywa się tytułowy posiłek (koniec wieku na knyszyńskim trawniku), dobrze byłoby zaprezentować uczestniczące w nim osoby. Na szczęście mogę zrezygnować z tego zadania, bo Autorów znakomicie charakteryzują redakcyjne notki, a przede wszystkim *wstrząsająco* trafnie dobrane fotografie. Sprawdźcie Państwo sami.

Roberta Kasprzyńskiego pamiętam z kursu przygotowującego kandydatów na polonistykę. Już chyba wtedy pisał wiersze. To miło mieć do czynienia z wykształconym poetą, ale chciałbym oczyścić jego teksty z technicznego zawracania głowy, z jaskrawości pomysłów typu "Natręctwo umzilaudiwydni" (gdzie *umzilaudiwydni* to coś w rodzaju lustrzanego odbicia *indywidualizmu*). Chciałbym oczyścić wiersze Roberta Kasprzyńskiego, bo jego głos interesuje mnie dużo bardziej niż niestandardowa umiejętność wierszowania. Kosmos i nieskończoność są na pewno zajmujące, ale ciekawszy wydaje mi się *strumień wody*, który - *uwaga - kąsa dłonie skrywające mydło*.

Mariusz Maciej Leś uczy poetyki na białostockiej polonistyce, a jego praca magisterska dotyczyła twórczości Stanisława Lema. Informacje te bardzo ułatwiają czytanie wierszy proponowanych przez niego na findesieclowe śniadanie. Mariusz głównie pisze o pisaniu, ale najciekawszy staje się wówczas, gdy łączy w tekst poezję (czy raczej poetykę) i science fiction.

Jedna z wyjątkowych studentek IV roku polonistyki powiedziała mi, że najlepsze w knyszyńskiej książce są wiersze Piotra Nowika.

jaka różnica
że koniec lub początek
wieku

między moimi wzgórzami
rzeka ugrzęzła
w piachu
w trumnie doliny

prorocy odeszli

mój ojciec umarł

To nie jest koniec wieku. Tak wygląda koniec świata.

Wiersze Marka Olesiewicza mówią cicho i powoli. Nie wydaje mi się, by była to kwestia niskiego ciśnienia. Anioły powiedziały Markowi, że jest w świecie tylko podróżnikiem między miastem i miastem. Czy w tej sytuacji warto spieszyć się i krzyczeć?

Śniadanie otwiera proza i poezja doktora filozofii Adama Sawickiego. Ostatnie dania serwuje podróżnik Dariusz Adam Zeller. Śniadanie skończone. Pora wstać z knyszyńskiego trawnika i rozejrzeć się za literackim posiłkiem, który lepiej zaspokoi głód końca wieku. Ale nie ma się co łudzić, apetyt jest zbyt duży, by ktokolwiek zdołał sobie z nim poradzić.

Ryszard Warzecha, *Prosto z serca*

Białystok 2001. Wydawnictwo PRYMAT.

Dobrze się stało, że otrzymałem ten tomik do recenzji. Sam mogłbym się nie zdecydować, a tak, po prostu "muszę".

Najpierw jedno, konieczne wyjaśnienie, czy raczej przypomnienie. Moje uwagi o tekstach nie dotyczą ich autorów. Nie pozwałam sobie na mówienie dotyczące tych, którzy piszą. Zajmuję się wyłącznie tym, co zostało napisane.

Mam nadzieję, że zauważyliście Państwo, jak trudno mi przejść do rzeczy. Powód jest prosty. Muszę ostrzec Państwa przed książką Ryszarda Warzechy zatytułowaną *Prosto z serca*. Muszę już choćby dlatego, że sprawa dotyczy nie tylko tej jednej pozycji, ale większości naszej regionalnej twórczości zwanej na wyrost *literacką*.

Wielokrotnie powtarzano mi, że można (a nawet warto) drukować wówczas, gdy publikowany tekst nie rani. Jestem skłonny zgodzić się z tą opinią. Pozwolę sobie nawet ją wykorzystać.

Rany z jakimi najczęściej ma się do czynienia w konsekwencji czytania białostockich książek są przynajmniej dwojakiego rodzaju. Pierwsze dają się określić jako literackie. Drugie nazwałbym ranami aksjologicznymi.

Rany literackie to bolesny nie tylko dla polonisty rezultat konfrontacji tego, co się o literaturze pięknej wie; tego, na ile się ją zna z tym, co można białostockiego przeczytać. Pomijam błędy (w tym ortograficzne), bo odpowiedzialność za nie ponoszą bardziej redaktorzy niż autorzy. (Jak Państwo widziecie, usprawiedliwiam wszystko, co tyl-

ko mogę.) Nie mogę jednak zgodzić się na brak jakiegokolwiek estetycznego (językowego, stylistycznego, wersyfikacyjnego) kształtu publikowanych u nas tekstów. Najczęściej trafiają się utwory zewnętrznie i nieudolnie sugerujące regularność (na przykład za sprawą układu stroficznego), ale ta sugestia jest z reguły nieskuteczna, bo nie ma nic wspólnego ze znanymi poezji polskiej zasadami organizacji wiersza.

Rany aksjologiczne, czyli dotyczące zapisanego w tekstach świata wartości wydają się poważniejsze, bo zawsze można powiedzieć, że sprawy związane z estetyczną wartością utworu to obszar marginalnych zabaw nawiedzonych polonistów, którzy zapominają o tym, co pozaliterackie, a więc najważniejsze.

Białostockie pisanie bardzo często sięga po tematy święte także dla nawiedzonych polonistów. Ryszard Warzecha (jak wielu innych) opowiada o rodzącym się w grudniową noc Bogu, modli się do Bożej Matki, wspomina swoją mamę, przypomina Katyń. To wszystko jest dla mnie tak ważne (najważniejsze!), że nie mogę zgodzić się na pozaliteracki sposób pisania o tym.

Literatura jest bezwzględna. Każdy, kto próbuje istnieć w jej królestwie, musi przyjąć obowiązujące tu, estetyczne reguły. Jeśli ktośkolwiek będzie je lekceważył, nieuchronnie zaszkodzi temu, o czym pisze.

Sylvia Wilczewska, *Szczęście w kolorze żółtym*

Wybór i wstęp Waldemar Smaszcz. Białystok 2000. Wojewódzki Ośrodek Animacji Kultury w Białymstoku.

Kiedy zastanawiałem się nad tym, co Państwu powiedzieć o tomiku Sylwii Wilczewskiej "Szczęście w kolorze żółtym", brałem pod uwagę trzy możliwości.

Możliwość numer jeden (rodem z coraz słabszych filmów Pasikowskiego i coraz mniej znanej prozy Marka Hłaski). Jestem starym, zmęczonym życiem, pozbawionym złudzeń polonistą, który uśmiechając się ze zrozumieniem do słonecznej naiwności Autorki, wypowiada na temat jej wierszy dwuznaczną uwagę w rodzaju: trzeba być bardzo dobrym człowiekiem, żeby uwierzyć w deszcz, któremu zawsze towarzyszy tęcza.

Możliwość numer dwa (swojska, tutejsza, czyli zatroskana). Ściągając brwi i marszcząc czoło (szkoda, że Państwo tego nie widzi-

cie), przeglądam dane o ilości wydawanych w naszym mieście tomików. Białystok to prawdziwe zagłębie poetów, a rozmiary ich produkcji najlepiej ocenić w magazynach, gdzie zalegają paczki książek, których nikt nie chce kupować.

"Szczęście w kolorze żółtym" Sylwii Wilczewskiej czeka ten sam los. A przecież dobrze byłoby zachować kilka zapisanych w tym tomiku wierszy. Zamiast dwudziestu czy trzydziestu książek ważnych jedynie dla Autorów i ich rodzin można przecież wydać jedną antologię poezji zwanej polubownie *samorodną*. Łatwiej wówczas o sensowne redakcyjne opracowanie i o promocję. Nikt nie będzie też musiał uzasadniać więcej niż problematycznej konieczności osobnego istnienia tego czy innego tomiku.

Możliwość trzecia, pod tytułem "Nie chcę wiedzieć o niczym, albo dajcie mi święty spokój i pozwólcie pisać recenzje". Z mojego doświadczenia wynika, że każda książka może być skomentowana pozytywnie. Jeśli nie znajduję w niej nic dobrego (bardzo rzadki przypadek), zawsze mogę mówić o tym, co dobrze rokuje na przyszłość, daje szansę na poprawę, na rozwój, na poetyckie dojrzewanie.

"Szczęście w kolorze żółtym" Sylwii Wilczewskiej to krótki i niezbyt głęboki oddech, ale powietrze, które przynosi ten tomik jest więcej niż czyste, bo jasne i słoneczne. Lubię w tej książce liryczną potoczność "marzeń", przesypującą się lekko, równo i nieprzerwanie od pierwszego do ostatniego wersu. Lubię klejnociki metafor, w których *roztopione złoto / kapie z gałęzi drzew / szkarłat / szeleści pod stopami* ("jesień"), a *kasztany spadają / znużone własną tuszą* ("jak to było"). Ale najbardziej odpowiada mi syta *żółtych mirabelek*, letnia radość "spaceru", bo mam mnóstwo szacunku dla gorącej energii, która *szoruje brzuchem o piasek*.

Sylwia Wilczewska zapisała w swoim tomiku szczęśliwe, domowe dzieciństwo. Poetyckiej kompetencji starczyło jej na tyle, by uchronić się przed zarzutem lirycznej infantylności. Może kiedyś przemówi do nas jako tak zwana *dojrzała* Autorka. Póki co, potrafi wyglądać ślicznie, bo *zdążyła umazać się kolorami tęczy*, jak dziecko, wyjątkowo grzeczne ("na drugim końcu tęczy").

Wszystkie teksty były czytane na antenie Radia Białystok.



Spis treści

Od redakcji	3
Jerzy Binkowski	5
Mieczysław Czajkowski	7
Roman Czepe	10
Tadeusz Dawidejt	12
Józefa Drozdowska	14
Henryk Gała	16
Ks. Tadeusz Golecki	18
Halina Kabac	20
Ks. Ryszard Kotkowicz	22
Agnieszka Krotke	25
Elżbieta Michalska	27
Irena Misztal	30
Zofia Olek-Redlarska	32
Irena Słomińska	34
Anna Sołbut	36
Leonarda Szubzda	39
Eugeniusz Szulborski	42
Wiesław Szymański	45
Jolanta Beziuk	48
Halina Biernacka	49
Sylwia Choraży	51
Małgorzata Dobkowska	54
Barbara Lachowicz	56
Edward Lipiński	58
Krystyna Przekop	60
Wiesław Różański	62
Włodzimierz Sawczuk	64
Grzegorz Stanisławski	65
Jadwiga Sutula-Karp	67
Justyna Wencel	69
Jan Zalewski	71
Dariusz Adam Zeller	73

Potęga Dobra.	
O Edwardzie Jurszewiczu i jego twórczości	75
Józef Budziński	102
Kamil Dąbrowski	103
Sławek Rezanow	104
Tomasz Husky	105
Joanna Pisarska	106
Marcin Silwanow	107
Katarzyna Klebus	108
Monika Borowik	109
Janusz Paliwoda	110
Urszula Kitlasz	111
Urszula Dymnicka	112
Anna Chomczyk	113
Edyta Poskrobko	114
Ryszard Kondratowicz	115
Agnieszka Bojarska	116
Maja Kowalewska	117
Hanna Skowrońska	118
Roman Zasowski	119
Denis Trusow	
<i> tłumaczenie Jan Leończuk</i>	120
Iiri Stanek	
<i> tłumaczenie Wilhelm Przeczek</i>	125
Jewhenija ŻabinŠka	
<i> tłumaczenie Jan Leończuk</i>	128
Tadej Karabowycz	
<i> tłumaczenie Jan Leończuk</i>	130
Jurij Hawryluk	
<i> tłumaczenie Jan Leończuk</i>	133
Anna Markowa	
<i> Jakubowe anioły</i>	135
<i> Krasna</i>	137
Anna Gniewkowska	
<i> Anioły szewca Franciszka</i>	140
<i> 24 miesiące z życia kobiety</i>	141

Tadeusz Dawidejt	
<i>Trol i królowa</i>	145
Józefa Drozdowska	
<i>Ojciec</i>	153
Janina Kozak-Pajkert	
<i>„Ni z pierza, ni z mięsa”</i>	155
Wiesław Szymański	
<i>Skrawkoteca /fragmenty/</i>	160
Wojciech Załęski	
<i>Istotą bytu jest jego trwanie</i>	164
Irena Misztal	
<i>Kolejkowe zmagania w Białymstoku</i> <i>jesienią 1940 roku</i>	172
Aleksander Omiljanowicz	
<i>Jedenaście małych szyszek</i>	178
Apoloniusz B. Ciołkiewicz	
<i>Niby-bajki</i>	185
Kazimierz Słomiński	
<i>Aforyzmy</i>	188
Zbigniew Waydyk	
<i>Miniatury Kresowe</i>	191
Waldemar Fiedorowicz	
<i>Kazanecki i inni</i>	194
Jerzy Sikora	
<i>Poetyckie pieśni słowiańskiego Dawida</i> <i>(O „Renesansowym psalterzu” Karola Wojtyły)</i>	201
Dariusz Kulesza	
NOTATKI O KSIĄŻKACH	208